

ALMUDENA GRANDES

*Pocutki
składane
na chlebie*

Z języka hiszpańskiego przełożyła
Katarzyna Okrasko



Tytuł oryginału: LOS BESOS EN EL PAN

Copyright © Almudena Grandes, 2015

This edition published by agreement with Tusquets Editores, Barcelona, Spain.

Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz

Ilustracja na okładce: natalia_maroz (fotolia.pl)

Redakcja: Krystyna Borowiecka-Strug

Korekta: Edyta Malinowska-Klimiuk, Joanna Rodkiewicz, Aleksandra Mól

ISBN: 978-83-7999-989-7

Ta książka została wydana dzięki dotacji
Hiszpańskiego Ministerstwa Edukacji, Kultury i Sportu



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

SPIS TREŚCI

I. PRZEDTEM

II. TERAZ

III. PÓŹNIEJ

Moim dzieciom, które nigdy nie całowały chleba

I. PRZEDTEM

Jesteśmy w jednej z centralnych dzielnic Madrytu. Jej nazwa nie ma znaczenia, mogłaby to bowiem być każda ze starych dzielnic, w granicach której znajdziemy i miejsca imponujące, i sypiące się ruiny. Nie ma w niej zbyt wielu zabytków, ale jest piękna, bo tętni życiem.

Ulice mojej dzielnicy są niezwykle różnorodne. Zdarzają się szerokie, porośnięte rozłożystymi drzewami, ocieniającymi balkony niższych pięter, ale więcej jest wąskich. Na nich też rosną drzewa, ale jakby bardziej ściśnięte, starannie przycinane, by nie zajmowały zbyt wiele miejsca, gdyż brakuje go tu nawet dla powietrza – drzewa zielone, delikatne na wiosnę, ale najwspanialsze w lecie, kiedy poranny spacer po dopiero co zroszonych chodnikach to bezcenny luksus i przyjemność, która nic nie kosztuje. Wiele tu placów, a raczej placyków, każdy z nich ma swój kościół i swój pomnik na środku, posąg bohatera lub świętego oraz ławki, place zabaw i wybiegi dla psów, wszystkie identyczne – to zapewne skutek jakiegoś zamówienia publicznego ratusza, o które lepiej nie dopytywać. W przeciwieństwie do nich zaułki – nieliczne, ale urocze, odwiedzane zwłaszcza przez sekretnych kochanków i nastolatki na wagarach – oparły się bohatersko, rok po roku, planom eksterminacji opracowanym dla nich w biurach urbanistycznych urzędu miasta. I żyją nadal, podobnie jak cała dzielnica.

Ale najbardziej wartościowym elementem tego pejzażu są ludzie, tak różnorodni i odmienni, uporządkowani bądź chaotyczni, jak zajmowane przez nich budynki. Wielu z nich mieszkało tu zawsze w solidnych mieszczańskich kamienicach – z portierami, windami i klatkami schodowymi wyłożonymi marmurem – stojących przy szerokich ulicach, a niekiedy także tych wąskich, lub w biedniejszych budynkach, ze zwykłą stróżówką albo nawet i bez niej. W tej dzielnicy zawsze występowały obok siebie marmurowe schody i ścianki z gipsu, byli bogaci i biedni. Najstarsi mieszkańcy przeżyli exodus lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy stały się modne przeprowadzki z centrum na peryferie; znieśli wrzenie lat osiemdziesiątych, gdy spadek cen przywiódł tu nowych kolonizatorów, przybyłych z regałami kupionymi na Rastro, plakatami z Che Guevarą i indyjskimi tkaninami, z których można było uszyć narzutę na łóżko, ozdobić nimi ścianę albo obić starą kanapę ocaloną ze śmietnika; i wytrzymali nową falę lat dziewięćdziesiątych, czasy początków bańki nieruchomościowej, gdy znów uznano, że mieszkanie w centrum miasta jest naprawdę *cool*.

Potem rzeczywistość zaczęła się sypać i odczuli to wszyscy. Na początku było to jakby drzenie ziemi osuwającej się spod nóg, ale sądzili, że to tylko złudzenie optyczne. Nic poważnego, powtarzali sobie, a jednak sprawa była poważna, i chociaż na pozór nic się nie zmieniło, to asfalt na ulicach pękał i ostry, duszący zapach zatruwał powietrze. Nikt nie dostrzegwał tych szczelin, ale wszyscy czuli, że ucieka przez nie spokój, dobrobyt, przyszłość. Nie wszyscy zareagowali tak samo. Ci, którzy się poddali, już tu nie mieszkają. Pozostali walczą ze smokiem

dostępną sobie bronią, każdy na swój własny sposób.

Starsi nie boją się tak bardzo.

Pamiętają, że jeszcze nie tak dawno temu, w mroźne zimowe poranki, służące biegały po ulicach Madrytu z rękami skrzyżowanymi na piersiach, by nie uронić ani odrobiny ciepła, jakie zapewniał cienki wełniany płaszcz; miały gołe nogi, cienkie buty i po prostu musiały biec, by nie zamarznąć. Pamiętają też posępnych mężczyzn, którzy chodzili powoli, z postawionymi kołnierzami kurtek i kartonowymi walizkami w dłoniach. My, dzieci, patrząc na nich, zastanawialiśmy się, czy nie jest im zimno, i chociaż podziwialiśmy ich niezłomność, powstrzymywaliśmy się od wścibskich komentarzy.

W latach siedemdziesiątych XX wieku ciekawość była niebezpieczną przywarą nas, hiszpańskich dzieci, dorastających pośród fotografii – czasem stojących w ramkach na komodzie, czasem schowanych na dnie szuflady – młodych uśmiechniętych osób, których nigdy nie poznaliśmy.

– Kto to jest?

– To... – I byli to wujkowie, narzeczeni, kuzynki albo siostry, dziadkowie albo przyjaciele, i wszyscy bez wyjątku nie żyli.

– A kiedy umarł?

– Ojjoj... – I dorośli zaczęli się denerwować. – Bardzo dawno temu.

– Ale jak, dlaczego, co się stało?

– Podczas wojny albo tuż po wojnie, ale to smutna historia, lepiej o niej nie rozmawiać... – I na tym otoczonym tajemnicą konflikcie, o którym nikt nie chciał wspominać, chociaż uwierał dorosłych jak niezagojona rana, zainfekowana strachem lub poczuciem winy, kończyły się wszystkie rozmowy. – A odrobiłeś już lekcje? To idź się bawić. Albo nie, lepiej się wykąpać, potem chcecie się myć wszyscy razem i nie starcza ciepłej wody...

W ten oto sposób, my, dzieci z lat siedemdziesiątych, nauczyliśmy się nie pytać, mimo że współcześni Hiszpanie nie lubią tego wspominać. Nie pamiętają również tego, że żyliśmy w biednym kraju, chociaż nie była to żadna nowość. My, Hiszpanie, zawsze byliśmy biedni, nawet w epoce, gdy nasi królowie panowali nad światem, a złoto z Ameryki pojawiała się na Półwyspie Iberyjskim i znikało z niego, nie pozostawiając śladu poza tumanami kurzu, który unosił się spod kół karoc jadących do Flandrii, żeby spłacić długi zaciągnięte przez Koronę. I w połowie XX wieku w Madrycie porządny płaszcz stanowił luksus, nie mogli sobie na niego pozwolić ani służące, ani robotnicy spacerujący po ulicach, żeby skrócić oczekiwanie na pociąg, który zawiezie ich bardzo daleko, do jakiejś niemieckiej fabryki albo na winobranie do Francji. Tak, bieda była przeznaczeniem wielu rodzin, jedynym dziedzictwem, jakie rodzice mogli zapisać w spadku dzieciom. Ale w tym dziedzictwie było coś jeszcze, pewien rodzaj bogactwa, którego my, Hiszpanie, nie utraciliśmy nigdy dotąd.

Dlatego najstarsi się nie boją. Przypominają sobie swoją młodość i pamiętają wszystko: chłód, inwalidów wojennych żebrzących na ulicach, przemilczenia, nerwowość ogarniającą ich rodziców za każdym razem, gdy mijali na chodniku policjanta, i stary zwyczaj, którego nie umieli, a może nie chcieli przekazać potomkom. Kiedy kawałek chleba spadał na podłogę, dorośli kazali dzieciom podnosić go i całować, zanim wracał na tacę. Ich rodziny bowiem, w czasach gdy zginęły te wszystkie osoby, o których nikt nie chciał rozmawiać, poznały, co to znaczy głód.

My, którzy jako dzieci nauczyliśmy się całować chleb, wspominamy nasze dzieciństwo i dostrzegamy ślady głodu, którego sami nigdy nie zazналиśmy: te obrzydliwe pseudojajecznicze, które smażyły nasze babcie, kiedy skończyły panierować rybę, a pozostało im jeszcze trochę jajka. Ale nie pamiętamy smutku.

Wściekłość, owszem, zaciśnięte szczęki kobiet i mężczyzn, którzy w swoim życiu doznali tylu nieszczęść, że mieli prawo załamać się kilka razy, ale trwali nadal, jakby byli z żelaza. Gdyż trzydzieści lat temu w Hiszpanii dziedziczyło się po rodzicach biedę, ale też godność, pozwalającą przeżywać tę biedę bez poczucia poniżenia, nie przestając walczyć o przyszłość. Mieszkali w kraju, w którym nędza nie była powodem do wstydu, a tym bardziej do tego, żeby dać za wygraną. Nawet Franco podczas trzydziestu siedmiu lat żelaznej dyktatury, rozpoczętej przez wojnę, którą sam rozpętał, nie zdołał sprawić, żeby jego nieprzyjaciele, nierzadko żyjący w koszmarnych warunkach, się poddali, zrezygnowali z zakładania rodzin, zrezygnowali ze szczęścia. Nie tak dawno temu szczęście było również sposobem na to, żeby przetrwać.

Potem ktoś nam powiedział, że powinniśmy zapomnieć, bo przyszłość wymaga, by puścić w niepamięć to, co było wcześniej. Że jeśli chcemy zbudować demokrację, musimy patrzeć w przód, jakby tu nigdy nic się nie stało. I zapominając o tym, co złe, my, Hiszpanie, zapomnieliśmy też o tym, co dobre. Nie zważaliśmy na to, bo byliśmy piękni, nowocześni, podążaliśmy za modą. Po co wspominać wojnę, głód, setki tysięcy zabitych, całą tę nędzę?

Tak oto, wypierając ze świadomości kobiety bez płaszczy, mężczyźni z kartonowymi walizkami i pocałunki składane na chlebie, mieszkańcy tej dzielnicy, jedynej w swoim rodzaju, a zarazem podobnej do wielu innych dzielnic jakiegokolwiek hiszpańskiego miasta, utracili więź z własną tradycją, a ona mogłaby im teraz pomóc zwalczyć tę niespodziewaną nędzę, która zaatakowała ich znienacka, z samego serca Europy, mającej uczynić z nich bogaczy. Zostali pozbawieni skarbu, którego nie można kupić za pieniądze.

Dziś mieszkańcy tej dzielnicy czują się bardziej bezbronni niż zrujnowani, pogrążeni w paraliżującym poczuciu bezradności, zdezorientowani jak rozpieszczone dziecko, któremu zabrano zabawki i które nie wie, jak ma zaprotestować, jak domagać się tego, co do niego należy, zgłosić kradzież i złapać

złodziei.

Gdyby zobaczyli nas nasi dziadkowie, umarliby najpierw ze śmiechu, a potem z żalu. Bo dla nich nie byłby to żaden kryzys, najwyżej drobne przeciwności losu. Bo my, Hiszpanie, którzy przez tyle stuleci potrafiliśmy żyć w biedzie i zachować godność, nigdy wcześniej nie byliśmy tak potulni.

Nigdy, aż do dziś.

To historia spleciona z wielu historii, historia pewnej madryckiej dzielnicy starającej się przetrwać w oku cyklonu, w samym środku kryzysu, który zagroził, że wywróci wszystko do góry nogami, ale jeszcze nie zdołał tego dokonać.

W tej dzielnicy mieszkają rodziny; pary z psami lub bez psów; z dziećmi i bez nich; i osoby samotne: młode, dojrzałe i starsze; Hiszpanie i cudzoziemcy; ludzie czasem szczęśliwi, a czasem nie, najczęściej jednak szczęśliwi od czasu do czasu. Niektórzy się załamali, ale większość daje sobie jakoś radę, samodzielnie albo z pomocą innych, próbując zachować dawne rytuały, dawne zwyczaje, aby pozostać tym, kim do tej pory byli, aby sąsiedzi mogli ich rozpoznać i zawołać po imieniu.

Salon fryzjerski Amalii był o krok od katastrofy, kiedy otwarto naprzeciwko chiński salon piękności, ale klientki pozostały jej wierne. Niestety, Amalia nie miała wyjścia, musiała obniżyć ceny.

Przetrwał też bar Pascuala, chociaż coraz mniej przypomina bar, a coraz bardziej siedzibę rozmaitych stowarzyszeń: stowarzyszenia sąsiadów usiłujących zachować mieszkania komunalne, które ratusz po cichu sprzedał funduszowi spekulacyjnemu; organizacji kobiecej, gdyż nie dostała dofinansowania i straciła siedzibę; szkolnych kółek zainteresowań: im też obcięto fundusze i nie mają pieniędzy na wynajem szkolnych sal. Właścicielowi to nie przeszkadza. Pascual jest pogodnym, spokojnym mężczyzną, prosi tylko, żeby przynajmniej co trzeci członek którejkolwiek z organizacji coś zamówił. Pozostajej dwójce, jeśli nie ma innego wyjścia, podaje z uśmiechem szklankę wody.

Wiele dawnych sklepów zniknęło. Otwarto nowe, zwykle prowadzą je Chińczycy, handlujący od świtu po późną noc podstawowymi produktami spożywczymi. Cukiernia, apteka, sklep papierniczy i targ nadal znajdują się w tym samym miejscu – to ważne punkty dzielnicy, tak dawniej, jak i dziś.

Poza tym we wrześniu rozpoczyna się rok szkolny, w grudniu są święta Bożego Narodzenia, w kwietniu rozwijają się liście, w lecie nadchodzą upały, a życie dzielnicy toczy się dalej swoim trybem.

Chodźcie ze mną przyjrzeć mu się z bliska.

II. TERAZ

Rodzina Martínez-Salgado wraca z wakacji w tym samym czasie co większość madryckich rodzin. Dzielnica powoli się zapełnia.

Trzy samochody wjeżdżają do miasta jeden za drugim, w tej samej kolejności, w jakiej wyruszyły tego ranka z nadmorskiej miejscowości, odległej od stolicy o czterysta kilometrów.

W pierwszym, który przeszedł już wprawdzie dwa obowiązkowe przeglądy, ale jest duży i zadbany, wraca Pepe Martínez z rodzicami i córką Marianą.

W drugim, nieco skromniejszym, bez widocznych nalepek i tak brudnym, jakby jego właścicielka postanowiła przywieźć ze sobą pół plaży, wraca Diana Salgado z matką i młodszym synem Pablem, który urozmaicał im podróż, zadając co dwa, trzy kilometry to samo odwieczne pytanie: „Daleko jeszcze?”

Trzeci samochód należał kiedyś do Pepego, potem do Diany, a kolekcja kolorowych nalepek na prawym krańcu przedniej szyby powiększała się na nim przez lata. Teraz prowadzi go Jose, najstarszy syn Pepego i Diany, obok niego siedzi jego dziewczyna, a z tyłu, w piekielnym narzędziu tortur zwanym transporterem, kot Tygrys.

– No i znowu w domu – wzdycha Pepe, wkładając ostatnią walizkę do windy w domu rodziców. – Wakacje zawsze mijają tak szybko! Jaka szkoda!

– Tak. – Matka wiesz mu się na szyi i całuje w policzki ze smutną miną. – Tak świetnie się bawiliśmy.

– Dziękujemy za wszystko, synku. – Ojciec przytula go delikatnie, bo od czasu gdy Pepe skończył dziesięć lat, wstydzi się objąć go mocno. – Ale idź już, żeby nie wlepili ci mandatu za złe parkowanie.

Pepe wraca do samochodu, czeka jeszcze chwilę, aż ojciec wyjdzie na balkon, pomacha mu, dając znać, że wszystko w porządku, a potem odjeżdża. Nie wie, że podczas gdy ojciec macha, jego własna matka wykrzykuje z entuzjazmem:

– Co za ulga, mój Boże! Wiesz, co mam zamiar teraz zrobić?

– Oczywiście. – Podchodzi do żony i obejmuje ją. – Zdejmiesz stanik.

– Nie, to za chwilę. Najpierw wyjdę kupić największe ucho świni, jakie tylko znajdę, a potem namoczę soczewicę...

– Oj, tak! – Potakuje i aż cieknie mu ślinka. – Koniec z sałatkami ze szpinaku i surowych pieczarek.

– I piersi indyka na kolację. Dziś zrobię tortillę z chorizo, szynką i groszkiem.

– Wspaniale! Puszczę Bambino, by to uczcić.

– Świetnie! – Ona się śmieje, unosi jedną ręką spódnicę i tańczy rumbę w rytm muzyki, która rozbrzmiewa tylko w jej głowie. – Starczy już tych wakacji!

Chwilę później, głucha na protesty matki, Diana odprowadza ją do samych drzwi.

– No cóż, wszystko, co dobre, kiedyś się kończy – mówi, kładąc ostatnią

torbę w korytarzu swojego rodzinnego domu. – Szkoda, prawda, mamó? Wakacje zawsze mijają za szybko!

Jednym zwinnym ruchem matka obejmuje ją, całuje i popycha delikatnie w kierunku schodów.

– Tak, ale idź już, mały został sam w samochodzie, niczego nie potrzebuję, naprawdę...

Potem zamyka drzwi, zdejmuje sandały i odrzuca je za siebie, wychodzi na balkon, by pomachać wnukowi, a kiedy samochód córki znika jej z pola widzenia, rozkłada ramiona, odwraca się na pięcie i wzdycha:

– Mój Boże, co za ulga!

Potem otwiera walizkę, wsuwa do niej rękę, jakby doskonale wiedziała, gdzie znaleźć to, czego szuka, wyjmuje paczkę papierosów i zaciąga się trzy razy z zamkniętymi oczami. Zanim pociągnie czwarty raz, idzie do kuchni, a gdy wydmuchuje dym po raz piąty, parzy sobie kawę, dokładnie taką, jak lubi, a jakiej córka nie pozwala jej pić: czarniejszą niż dusza samego szatana. Z filiżanką w ręku wchodzi do swojego gabinetu, włącza komputer, porusza myszką, naciska na ikonkę z żołnierskim hełmem i wzrusza się trochę na dźwięk muzyczki, za którą tak bardzo tęskniła.

– Przekłęci Achajowie! – mamrocze, uruchamiając grę *Niech spleonie Troja* w trybie multiplayer. – Andromacha wróciła! – I zapala kolejnego papierosa, wybierając kampanię, której nie zdążyła dokończyć przed wyjazdem. – Achillesie, twoje dni są policzone.

Pepe wraca do domu wcześniej niż żona i zastaje na wycieracze biednego Tygrysa, nadal w transporterze.

– Cholerny smarkacz – mruczy Pepe, uwalniając zwierzaka z więzienia. Po chwili ma całą koszulę w wilgotnej sierści woniejącej klasycznym aromatem kocięj szczyny. – Do czego mu się tak spieszy?

– Tato... – wzdycha Mariana, bardzo dojrzała jak na swój wiek siedemnastolatka, która mija go w korytarzu, szybka jak strzała, i odwraca się na chwilę w progu swojego pokoju, zanim zamknie za sobą drzwi na klucz. – Ty czasem nic nie rozumiesz.

– Jasne...

A jednak kiedy stawia kota na podłodze i rozgląda się wokół, przychodzą mu do głowy te same słowa, które wykrzykuje Mariana, włączając swój superkomputer, ze wszystkimi możliwymi ustrojstwami świata i ultraszybkim Internetem, dzięki któremu strona Google'a włącza jej się w mgnieniu oka.

– O mój Boże, co za ulga!

Nie musi już się bić z pozostałymi członkami rodziny o dostęp do jedynego laptopa ani dzielić z nikim sypialni, ani czekać na swoją kolej, żeby wziąć prysznic po powrocie z plaży, ani kąpać się w morzu z dwiema babciami trzymającymi ją za

rękę, jak wtedy, kiedy miała pięć lat.

– Co za ulga! – powtarza ciszej, jakby chciała upewnić się w swoim szczęściu, porusza myszką, gładzi pieszczotliwie klawiaturę, wpatruje się w monitor w przypiływie miłosnego uniesienia, potem wchodzi na Facebooka i znów znajduje to imię, które wyprowadza ją z równowagi: Andromacha. Ciągle ta Andromacha. Co za nudziara! Nie chce się odczepić...

Próbuje wyrzucić ją ze wszystkich swoich kontaktów, ale zaproszenie do grona znajomych pojawia się znowu, jak uparta plama ropy na wybrzeżu Morza Śródziemnego.

Kto to może być?, zastanawia się Mariana.

Pepe tymczasem umówił się z dwoma przyjaciółmi, że pójdą następnego dnia na mecz, pierwszy mecz na własnym boisku, i to jeszcze z przeciwnikiem, który dopiero co awansował do pierwszej ligi, prezent powitalny, małe piwko przed meczem, kilka głębszych po nim, a w poniedziałek z powrotem do pracy, och tak, pójdzie do niej z wielką ochotą, on sam we własnym gabinecie z klimatyzacją, gdzie może w spokoju projektować silniki samolotowe, czyli robić to, co doskonale potrafi, a nie rozstawiać parasole, które przewraca wiatr, ani grillować mięso, które mu się przypala, ani organizować wycieczki dla dziadków, których wszystko nudzi, ani stać pół godziny w kolejce do kasy w supermarkecie, a w dodatku potem wysłuchiwać pretensji córki, że jogurty zaraz się przeterminują, poza tym prosiłam o jogurty z błonnikiem, nie sojowe, sojowe je mama, mógłbyś się wreszcie nauczyć...

– Mój Boże, co za ulga! – wzdycha w końcu, a potem wyciąga z lodówki piwo, by wprawić się w dobry nastrój przed meczem.

I z okna w kuchni widzi samochód żony, która musi zaparkować na ulicy, bo on wprowadził swoje auto do garażu.

Pablo z oczywistych względów nie czeka, aż matka znajdzie wreszcie wolne miejsce.

Znika natychmiast, gdyż czekają na niego koledzy, wybiegają na widok samochodu, by go porwać, Felipe z piłką do kosza, Alba z otwartymi ramionami. Wszyscy troje obejmują się w przedpokoju, jakby nie widzieli się od lat, a nie od trzech tygodni. Potem Pablo idzie do pokoju, otwiera drzwi, rzuca torbę na podłogę, popycha ją nogą i znika na schodach, krzycząc na odchodnym:

– Tatooooo, wychodzę!

To jedyny członek rodziny Martínez-Salgado, który tego popołudnia nie mówi: „mój Boże, co za ulga”, ale na klatce schodowej wygłasza podobne zdanie:

– Super być z powrotem w domu! Nie mogłem się doczekać. Nie da się z nimi wytrzymać, mówię wam.

Mówiąc „oni”, ma na myśli babcię Aurorę, która chwyta go za brodę i wykrzykuje: „ależ przystojny jest ten mój wnuczek”, i babcię Adelę, czochrającą

mu włosy i wzdychającą: „widziałaś, Auroro, jakiego ślicznego wnuka się doczekaliśmy?”, i dziadka Pepego, męczącego go nieustannie, żeby nauczył go układać kostkę Rubika, i ojca, z jego ciągłymi pretensjami: „Pablo, pobaw się z dziadkiem”, i matkę: „tak trudno poświęcić mu kilka minut?”, i siostrę, „Pablo, no pokaż mu”, i brata: „Pablo, nie bądź chamski, ułóż natychmiast tę cholerną kostkę”.

Diana jest ostatnia, bo musi otworzyć walizki, ale nie rozpakowuje ich do końca, przecież jutro przychodzi gosposia, przypomina sobie z uśmiechem.

Potem wrzuca brudne ciuchy do kosza na bieliznę, ale nie nastawia prania, przecież jutro przychodzi gosposia, myśli i uśmiecha się jeszcze szerzej.

Potem zagląda do lodówki i robi listę zakupów, ale nie idzie do supermarketu, zrobi to jutro gosposia, a ja mam jeszcze tydzień urlopu, myśli i uśmiech nie mieści się jej na ustach.

– Czy ktoś ma coś przeciwko temu, żebym zamówiła pizzę na kolację? – krzyczy w pustkę korytarza.

Nikt nie odpowiada, nie przypomina jej, że jest endokrynolożką, że przecież pomaga swoim pacjentom schudnąć, więc zamyka się w pokoju, włącza wentylator na suficie, zdejmuje ubrania, kładzie się na łóżku, rozkłada nogi i ramiona i znów się uśmiecha:

– Mój Boże, co za ulga!

Sofía Salgado, słysząc ten odgłos po raz pierwszy, nie rozpoznaje w nim płaczu.

Apartament jest brzydki, mały i przytłaczający. Z widokiem na morze, tak dalekie, że nawet nie wydaje się niebieskie. Z punktu widzenia mieszkanki Madrytu zupełnie nie sposób pojąć, jak to się wszystko stało: jak z tych ścian, szkieł, pościeli i mebli prowansalskich z promocji – „Umiebluj całe mieszkanie za jedyne 500 euro!” – może unosić się tak koszmarna wilgoć, tutaj, w tym słońcu, które dało im się solidnie we znaki w trzy minuty, jakie zajęło im przejście z parkingu do domu. Sofía zaraz po wejściu natrafia spojrzeniem na smutnego pajaca z kolorowego szkła, stojącego na półce w charakterze ozdoby, i trójkąt wypalonych w obiciach koloru dachówek dziur po petach, ale nic nie mówi. Jej przyjaciółka Marita, jak zwykle zdecydowana i skuteczna, odsłania okna, wkłada pajaca do szuflady, podchodzi do Sofii i kładzie jej dłoń na ramieniu.

– Lepiej?

Sofía kiwa głową i próbuje się uśmiechnąć, nie bardzo jej to wychodzi, próbuje raz jeszcze, do skutku. Bo to nie wina Marity, najlepszej przyjaciółki od czasów szkolnych, że życie Sofii to jedna wielka katastrofa.

Co prawda Marita też źle wybrała męża, rozstała się z nim po wielu latach małżeństwa, również ma z nim syna, który spędza ostatnie dni sierpnia z ojcem, ale szczęście sprzyjało jej bardziej niż Sofii. Maricie mąż przestał się podobać na długo przedtem, zanim on uznał, że podoba mu się inna, a poza tym nigdy nie nakryła go w jego gabinecie z osobistą trenerką, gdy oboje, nadzy, uprawiali swoje ćwiczenia na dywanie.

To właśnie spotkało Sofię, nauczycielkę w podstawówce, pewnego wiosennego dnia, kiedy zebranie skończyło się o wiele wcześniej i wpadła na pomysł, żeby zajrzeć do pracy Agustína i wyciągnąć go na wspólny obiad. Kiedy sobie o tym przypomina, czuje nieodpartą chęć otwarcia szuflady, wyciągnięcia z niej nieszczęsnego pajacyka i wybuchnięcia płaczem, dokładnie tak samo, jak owego dnia, gdy wybiegła jak szalona z gabinetu męża, żeby poszukać schronienia w mieszkaniu Marity.

– A najgorsze jest to... Gdybyś tylko ją zobaczyła. – Tego samego popołudnia opowiedziała jej wszystko. – Trzydzieści lat, imponujące ciało, kręcone blond włosy, długie fale opadające jej na piersi... Wenus z obrazu Botticellego, nawet bez makijażu i wizyty u fryzjera, jakby przysłała na świat z tymi włosami, dziwka jedna...

– I co z tego? – Marita przerwała jej, zanim zdążyła dodać, że te cycki nawet nie wyglądały na zoperowane. – Masz trzydzieści sześć lat, moja droga, i na pewno nosisz stanik większy o co najmniej dwa rozmiary. I powtarzam: co z tego? Twój mąż będzie musiał wydać więcej na jej utrzymanie. Olej to!

– Jasne, łatwo ci mówić...

I to była prawda. Łatwo było mówić, więc Marita zamknęła się i nie wracała do tematu. Ograniczyła się do opiekowania się przyjaciółką, dotrzymywania jej towarzystwa, spędzania z nią długich godzin, dopóki nie mogła zaproponować jej czegoś atrakcyjniejszego.

– Słuchaj, pomyślałam, że mogłybyśmy wyjechać razem na tydzień, gdzieś nad morze, co? Żeby nic nie robić, tylko jeść, pić na umór, poznawać fantastycznych facetów...

W ten oto sposób znalazły się w tym ohydny apartamencie, który w nocy, kiedy wracają z miasteczka, bez żadnego fascynującego faceta, ale za to po zbyt wielu drinkach, nie wydaje się już Sofii taki zły. A jednak nie może usnąć. Nie upłynęły jeszcze nawet trzy miesiące, odkąd mąż zaczął ją zdradzać ze swoją trenerką, i sypianie w pojedynkę nadal wydaje jej się katorgą.

Dlatego gdy stara się przywyknąć do wąskiego materaca i wilgotnej pościeli, słyszy ten odgłos, na początku monotonny jak rytmiczny, niski pomruk, który nagle zmienia się w łoskot, niemal pisk, by potem znów opaść do stłumionego, głuchego echa. Pierwszej nocy nie potrafi go zidentyfikować; pies, myśli, a może dziecko, też nie, zbyt dobrze zna dziecięcy płacz, żeby go z czymkolwiek pomylić. Zasypia, zanim uda się jej rozwiązać zagadkę, przy śniadaniu pyta o to Maritę, ale ona zasnęła natychmiast, spała jak kamień, zawsze tak jest, kiedy przyjeżdżam nad morze, wyznaje, nic nie słyszałam. Następnego dnia – plaża, bar przy plaży, sardynki z rusztu, mojito, znów plaża, znów bar przy plaży, kolejne mojito – Sofia zapomina o tajemniczych odgłosach dobiegających z sąsiedniego apartamentu, ale w nocy znów je słyszy, i wtedy rozumie, co się dzieje za ścianą.

Od tamtej chwili poświęca więcej uwagi sąsiadowi niż własnym rozrywkom. Gdyż ten szloch, uparty i nieutulony, dobywa się z ciała i duszy samotnego mężczyzny między czterdziestką a pięćdziesiątką, o głowie ogolonej, żeby zamaskować łysinę, chudych nogach i niezbyt okrągłym brzuchu – to pewnie dzięki przebieżkom, z których wraca dwa razy dziennie, rano i po południu, zlany potem. Nie jest ani przystojny, ani brzydki, lecz atrakcyjny w ten nieświadomy, bezceremonialny sposób, w jaki bywają atrakcyjni ogoleni na zero mężczyźni, z których emanuje testosteron. Ale bije od niego smutek. Jest przede wszystkim smutnym mężczyzną.

Jak nic przyłapał swoją żonę z osobistym trenerem, myśli Sofia, i codziennie przybywa jej danych przemawiających za tą hipotezą. Apartament sąsiada ma trzy sypialnie, ale otwarte są okna tylko jednej z nich.

– A gdzie są Javi i Elena? – Któregoś dnia spotyka go w bramie, gdy rozmawia z dziećmi sąsiadów. – Kiedy przyjadą?

– No więc w tym roku – odpowiada mężczyzna, wbijając wzrok w ziemię – w tym roku raczej nie przyjadą. Przykro mi, przekażę im, że o nich pytaliście.

Innego dnia Sofia spotyka go w supermarkecie i widzi, jak wkłada do wózka

sześć kartonów pełnotłustego mleka, potem patrzy na nie zdziwiony, odstawia na półkę i bierze tylko jeden karton mleka z kwasami Omega-3. A więc w dodatku masz, biedaku, wysoki cholesterol, myśli, czując niezrozumiały przyływ czułości do nieznajomego.

– Nie masz chyba zamiaru go podrywać? – pyta Marita z teatralnym grymasem na twarzy, który po chwili znika. – Chociaż jak dobrze się zastanović, może to nie taki zły pomysł...

– Nie... – odpowiada. – Zupełnie nie o to chodzi.

Nie o to chodzi, a jednak rozpacz tego mężczyzny, który śpi za ścianą, towarzyszy jej nawet wtedy, gdy sąsiad przestaje płakać. Odgłosy bezsenności: włączenie światła, jęki materaca, kroki pomiędzy łóżkiem a łazienką usypiają ją co noc niczym kołysanka.

Nigdy nie odważyła się z nim porozmawiać, nie wie nawet, jak on ma na imię. Pierwszego dnia września, tak bardzo letniego i promiennego, jak tylko potrafią być ostatnie dni wakacji, spotykają się na schodach. Sofía schodzi z walizką, on wchodzi na górę z wielkim afiszem NA SPRZEDAŻ i madryckim numerem telefonu. Schody są tak wąskie, że nie mieszczą się na nich oboje naraz. On robi jej miejsce i się uśmiecha, ona odwzajemnia ten uśmiech i idzie dalej, nie odzywając się słowem.

– Zobacz, Sofí – mówi Marita, wskazując palcem na budynek i wkładając kluczyki do stacyjki – powiesił plakat. Mam zapisać numer telefonu?

– Chyba zwariowałaś? Daj spokój, jedźmy już!

Na schodach Sofía Salgado miała dostatecznie dużo czasu, by dostrzec kątem oka nazwę agencji nieruchomości zajmującej się sprzedażą apartamentu.

Nie ma zamiaru nigdy w życiu dzwonić do Agencji Nieruchomości Prisma, ale sama nie wie, dlaczego wraca do Madrytu w o wiele lepszym nastroju.

Carlos otwiera drzwi swoim kluczem i natychmiast zdaje sobie sprawę, że zaszło tu coś dziwnego.

– Babciu?

Od czasu gdy zaczął studia, przychodzi prawie codziennie na obiad do tego starego, spokojnego mieszkania na trzecim piętrze, gdzie parkiet tak błyszczy i meble są tak zadbane, że nie wyglądają na swoje lata. Za drzwiami zaczyna się długi korytarz, z boku jest wejście do kuchni, a z przodu do salonu, przez dwa okna balkonowe zasłonięte wydzierganymi na szydełku firankami prześwituje kaskada pelargonii we wszystkich kolorach tęczy. Jego właścicielka, chociaż skończy niedługo osiemdziesiąt lat, daje sobie radę sama. I w dodatku rozpieszcza wnuka do granic możliwości.

– Babciu...

Idąc korytarzem, dostrzega jakiś absurdalny blask migających, kolorowych światełek, którego pochodzenia nie potrafi sobie wyjaśnić. Na początku myśli, że zainstalowali jakiś nowy neon na elewacji naprzeciwko, reklamę sklepu lub coś podobnego, ale jest w pół do trzeciej, dopiero zaczęła się jesień, łagodna, pełna światła i względnie ciepła. Biorąc pod uwagę ceny prądu, nikt nie marnowałby go na podświetlanie reklamy o tej godzinie, kiedy jeszcze świeci słońce, myśli Carlos. Idzie więc korytarzem ostrożnie, krok za krokiem, widzi, że podłoga w przedpokoju jest brudna, i naprawdę czuje strach. Bez wątplenia dzieje się tu coś dziwnego. Brud, w jakiegokolwiek postaci, jest absolutnie niezgodny z charakterem babci, ale kiedy się schyla, widzi okruch czegoś białego, potem następny i kolejny. Przypominają okruszyny chleba, lecz kiedy naciska je palcem, zdaje sobie sprawę, że to kawałki styropianu, takiego, jakiego używa się do ochrony delikatnych pakunków. Tego już za wiele, dlatego woła babcię po raz trzeci, tym razem po imieniu i głośniejszym niż poprzednio.

– Martina!

Idzie dalej, aż w końcu czuje zapach, który każe mu przystanąć. Babcia jest głucha jak pień, ale nadal gotuje, że klękajcie narody, a z kuchni unosi się aromat pisto. Nie takiej zwykłej potrawy z cukinii, jaką robi jego matka w malakserze, bez którego nie może już żyć, a wychodzi jej pomarańczowe purée, mdłe i nijakie, nie sposób odróżnić papryki od cukinii, ale pisto babci, w którym prawdziwe pomidory usmażone są oddzielnie, gdzie papryka jest papryką, cebula cebulą, o cukinii nawet nie wspominając. Cudowna potrawa, w której to, co ma być chrupkie, chrupie, to, co ma być miękkie, jest miękkie, a nos Carlosa wyczuwa nieomylnie tę apetyczną woń. Uspokaja się na chwilę, a potem przez myśl przechodzi mu niepokojąca możliwość, że Martina zemdląca, kiedy skończyła przyrządzać obiad. Biegnie do kuchni, ale nikogo w niej nie ma.

– Ojej, kochanie, ależ mnie wystraszyłeś.

Carlos odwraca się i widzi babcię w drzwiach, z ręką na piersi.

– Poczekaj, muszę włączyć aparat. – Przez chwilę gmera przy uchu, a potem rozkłada ramiona i podchodzi do wnuka. – Jak się masz, kochanie? Jak zajęcia?

Carlos obejmuje ją i całuje wiele razy, a potem wyznaje, że to ona napędziła mu stracha i że dzieje się tu coś podejrzanego.

– Zauważyłeś? – Martina uśmiecha się jak dziewczynka, która coś przeskrobała. – Spryciarz z ciebie. Zaraz ci pokażę, ale najpierw musisz zamknąć oczy. Bo to niespodzianka!

Słucha jej, napawając się spokojem, który nastął po chwili paniki. Wyciąga rękę do staruszki, żeby poprowadziła go tak samo, jak kiedy był mały. Ona wiedzie go korytarzem, uprzedza o przeszkodach, zakrętach, a wnuk bez trudu domyśla się, że zmierzają do salonu, iskrzącego się od kolorowych blasków, od których wszystko się zaczęło.

– Teraz już możesz spojrzeć. – I Carlos posłusznie otwiera oczy. – Tadam...

Ogromna choinka, którą on sam musiałby ubrać za trzy miesiące, pełna jest bombek, gwiazdek, aniołków, krasnali, domków, a ze dwieście chyba lampek miga bez przerwy różnobarwnymi światełkami, od purpurowych po bladożółte. Carlos przygląda się temu chwilę z otwartymi ustami, rozpoznaje ozdoby, bombkę w kształcie słońca, którą rodzice przywieźli z miodowego miesiąca, porcelanowe aniołki kupowane przez babcię na pierwsze Boże Narodzenie każdemu z jej wnuków, gwiazdkę z kolorowego kartonu, którą zrobił sam jeszcze w podstawówce, urocze ozdoby z kolorowego szkła, w kształcie wydłużonych płomieni, pamiątki Martiny z dzieciństwa. Ten widok wyjaśnia wszystko: blaski w korytarzu, brudną podłogę, milczenie babci, ale Carlosa znów ogarnia niepokój. Babcia to zauważa, lecz tylko się uśmiecha.

– Wszystko ze mną w porządku, zapewniam cię, doskonale wiem, że mamy wrzesień, nie zwariowałam, ale... Ty wychodzisz, masz kontakt ze światem, bawisz się. Ja siedzę tu całymi dniami, słucham radia, oglądam telewizję, w kółko trąbią, że nie ma przyszłości, że nie ma pracy, że prywatyzują szpitale, że mają zamknąć naszą przychodnię, obniżą mi emeryturę... Wychodzę tylko do fryzjera, a tam ta sama śpiewka. Zrób sobie pasemka, nie mogę, nie mam pieniędzy, a twoja siostra, dawno jej nie widziałam, no tak, wiesz, zwolnili jej męża, a mojemu za miesiąc kończy się umowa, mój syn jeszcze nic nie znalazł, i tak wszystkie co do jednej, ciągle to samo, problemy i smutki...

Martina zawiesza głos, opiera się o poręcz fotela, a potem wyciąga z kieszeni fartucha chustkę, by osuszyć łzy, które nie zdążyły się jeszcze pojawić, i znów spogląda na Carlosa.

– Póki nie zwolnili twojej matki, jakoś się tym nie przejmowałam. Biedna Marisa, inteligentna, wykształcona, perfekcjonistka w każdym calu. To takie niesprawiedliwe. Tyle lat w tej samej firmie i nagle, z dnia na dzień... Przecież miała umowę na czas nieokreślony. I to w państwowej telewizji. Jak mogą

zwalniać ludzi z państwowej telewizji?

– Uchwalając ustawy, które to umożliwiają, babciu. – Carlos podchodzi do Martiny, siada obok i ją przytula. – Ale mama prędzej czy później znajdzie pracę, nie przejmuj się.

– Sama nie wiem, w jej wieku... – Wnuk uświadamia sobie, że babcia naprawdę uzależniła się od serwisów informacyjnych. – Poza tym to, co się dzieje, jest okropne. Póki widzimy, że nieszczęście dotyka innych, mówimy: nic się nie stało; dopóki nie dotknie nas... I oczywiście w końcu nas spotkało, musiało nas spotkać, dlaczego mielibyśmy być lepsi, podczas gdy inni padają jak muchy? Gdybym była młodsza, nie martwiłabym się tak bardzo, bo jeśli chodzi o kryzysy, sporo już ich przeżyłam, o wiele gorszych. Ale my dawaliśmy sobie radę, byliśmy silni, przywykliśmy do cierpienia, emigracji, walki o swoje, a teraz... Nie obraż się, ale nie jesteście ulepieni z tej samej gliny co my. Można was utopić w szklance wody. Zaczęłam się zastanawiać, co mogę zrobić, żeby poprawić sobie nastrój, dodać mojej rodzinie otuchy. Jak mam dać jej do zrozumienia, że nie trzeba przyjmować tego, co nas spotyka, z taką biernością, lecz stawić czoło sytuacji, starać się ją naprawić, nie przyjmować do wiadomości całej tej ruiny? Wiem, może wydawać ci się to błahostką, ale mam już dość widoku smutnych ludzi, a nie zostało mi zbyt wiele czasu, więc...

– Nie mów tak, babciu...

– Dlaczego? A co mam powiedzieć? Skończę niedługo osiemdziesiąt lat. Ile mi zostało? Pięć, może dziesięć.

– Albo dwadzieścia – odpowiada Carlos, nie patrząc jej w oczy.

– Niech ci będzie, może dwadzieścia. – Martina uśmiecha się na myśl o optymistycznych kalkulacjach wnuka. – Ty masz dwadzieścia, a jeszcze nic w życiu nie przeżyłeś. Rzecz w tym, że nie chcę spędzić ostatnich lat przytłoczona smutkiem, rezygnacją, która osacza mnie ze wszystkich stron. Nie chcę, nie mam ochoty, powiedziałam więc sobie: splątam figła kalendarzowi. Wiesz, jak bardzo lubię ubierać choinkę, zapalać lampki, wiesz, jak lubię te bożonarodzeniowe tradycje.

Wnuk patrzy na nią, patrzy na choinkę, znów patrzy na nią.

– Wesółch wrześnieowych świąt, babciu.

Ona śmieje się głośno i wpada mu w objęcia.

– Wesółch świąt, kochanie. Wesółch świąt...

Chinki pojawiają się nagle. Nagle i po cichu.

– Amalio, za długo już mam tę farbę na głowie.

– Spokojnie, zostało ci jeszcze dziesięć minut.

Pewnego dnia, wchodząc rano do zakładu fryzjerskiego, Amalia widzi zamieszanie w lokalu naprzeciwko: drzwi otwarte na oścież, nieprzepisowo zaparkowana furgonetka, osiem Chinek – pięknych, szczupłych, niewysokich, o czarnych prostych włosach obciętych w połowie szyi – wyładowuje puszkę z farbą. Wszystkie ubrane są tak samo: w białe spodnie i białe koszulki. Wszystkie mają identyczne, nieskazitelnie białe tenisówki, a na twarzach maseczki. Wszystkie poruszają się z gracją baśniowych wrózek. Poszczęściło się właścicielom lokalu z naprzeciwka, myśli wówczas fryzjerka: szybko znaleźli kolejnego najemcę po tym, jak zbankrutował ten z kurczakami z różną.

– Czemu gapisz się na nie cały boży dzień?

– Patrzę, bo mam oczy. Nic ci do tego. Zostało ci – spogląda na zegarek – jeszcze osiem minut. Poczytaj sobie i daj mi spokój.

Tego samego dnia zaczynają malować. Poważne, zdyscyplinowane, pracowite jak mróweczki, dzielą się na cztery ekipy, po dwie na każdą ścianę, i natychmiast zabierają się do roboty: jedna maluje górną część ściany pędzlem na długim kiju, druga zaś dół, używając wałka. Z okien swojego zakładu fryzjerskiego Amalia patrzy na nie z podziwem. Nie miała pojęcia, że Chińczycy, a tym bardziej Chinki, zajmują się malowaniem ścian. Myśli, że mogłaby je zatrudnić, by odmalowały w lecie ten zakład, nie widziała bowiem nigdy, by ktoś malował tak starannie i szybko. Naprawdę miło popatrzeć, jak pracują, mówi na głos, jakby zapraszała swoje pracowniczki i klientki do oglądania spektaklu z naprzeciwka. Później wiele razy będzie żałować, że w porę nie ugryzła się w język.

– No dobra, zapraszam do umywalki, zmyję ci farbę.

– Ale minęło osiem minut? Żeby się nie okazało, że nie pokryje mi odrostów.

Czterdzieści osiem godzin później Amalia nie przygląda się im już z takim zachwytem. Bo te same dziewczyny, w tych samych białych strojach i tych samych nieskazitelnych tenisówkach, znów rozładowują furgonetkę, ale tym razem nie wyjmują z niej puszek farby, tylko części drewnianych mebli pomalowanych na biało. Więc nie tylko malują, myśli fryzjerka, ale w takim razie czym naprawdę się zajmują? Może stolarstwem, zgaduje, remontami, malowaniem, gdyż z tą samą godną podziwu, spokojną skutecznością, którą wykazały się dwa dni wcześniej, pracują w parach, skręcając niewielkie meble, trochę podobne do stołu, a trochę do lady. Amalię ogarniają nagle złe przeczucia.

– Chce zobaczyć, czy to ciągle te same, czy się zmieniają – szeptem Lorena na ucho wścibskiej klientce.

– Ale dlaczego?

Zanim zobaczy stoły i krzesła, które składają Chinki, Amalia sądzi, że dawny lokal z kurczakami z różną zmienią się w jeden z tak popularnych w Madrycie sklepów spożywczych prowadzonych przez Chińczyków, ze słodyczami, konserwami, pieczywem, kilkoma lodówkami pełnymi napojów chłodzących i piwa. Kiedy okazuje się, że intuicja ją zawiodła, czuje rozczarowanie i jakiś nieokreślony lęk, jakby te dziewczyny, które tak bacznie obserwuje, nie miały prawa zaskakiwać ją innym rodzajem działalności niż ta, jaką dla nich przewidziała. To nie będzie sklepik spożywczy, na pewno nie, ale do czego mogą potrzebować dwóch rzędów stołów, każdy z dwoma stanowiskami pracy do korzystania na przemian.

– To gruba przesada! Chyba złożę skargę, nie na nie, na ich szefa, kierownika... ale wszystkie wydają się identyczne, żadna nie wygląda na szefową.

– Daj spokój, przecież to nie burdel.

Osobiście wołałaby burdel.

Burdel, albo nawet dyskotekę dla gangsterów, a nawet jakiś biznes będący tylko przykrywką dla handlu narkotykami, cokolwiek, myśli Amalia. Wygląda przez okno i udaje, że nie słyszy szeptów przy umywalce. Bo to, co wyrabiają Chinki z naprzeciwka, to rozbój w biały dzień, manicure hybrydowy za osiem euro to ma być ich działalność, kraść, oszukiwać, nieuczciwie konkurować z nią i innymi fryzjerkami w tej dzielnicy. W dniu, w którym podświetlany szyld MANICURE SZANGHAJ rozwiął wszystkie jej wątpliwości, Amalia poczuła się bezradna jak mała dziewczynka. Całe godziny płakała, rozpaczała, krztusiła się ze złości między kolejnymi kubkami melisy. Następnego dnia nie poszła do pracy. Punkt ósma rano stawiała się w ratuszu, spróbowała złożyć skargę, nie pozwolili jej, poinformowali, że dokumenty Chińczyków są w porządku. Od tamtej pory żyje przyklejona do okien swojego zakładu i co noc przed snem zażywa walerianę.

– To po prostu niemożliwe...

Amalia odchodzi od okna i żali się swoim klientkom, dziś ma tylko trzy, wszystkie trzy przyszły na farbę, bo nikogo już nie stać na to, żeby się uczesać.

– Niemożliwe, nie potrafię tego zrozumieć. Przecież płacę wszystkie podatki, podatek od nieruchomości też, składki na ubezpieczenie moich pracowniczek, rachunki za wodę i prąd... i mimo wszystko musiałam wyrzucić biedną Mercedes, bo nawet z kuponami zniżkowymi inkasowałyśmy za manicure hybrydowy osiemnaście euro, nie dało się zejść z tej ceny, nie mówiąc o podatku VAT, którego podwyżkę przełknęłam, nie podnosząc cen. Jakim cudem one, płacące te same podatki co ja, mogą brać za to osiem euro? Nie rozumiem, naprawdę nie rozumiem, jak to jest możliwe?

Zapada cisza. Lorena, pracująca tu od wiosny jako praktykantka, skupia się na głowie, którą właśnie myje, by nie podsuwać szefowej złych pomysłów. Marisol, fryzjerka najdłużej pracująca w zakładzie, wspomina biedną Mercedes,

zawijając kolejne wałki na głowie pani Domínguez. Sandra, najmłodsza z nich wszystkich i zarazem najbardziej zdenerwowana, bo to ona jest pierwsza w kolejce, gdyby trzeba było zredukować personel, manipuluje szczotką i suszarką z niemal bolesną intensywnością.

– Aj! Znów mnie oparzyłaś!

Chyba naprawdę ją oparzyła, bo María Gracia nigdy się nie skarży. Nie zagląda tu zbyt często. Jest Hiszpanką, ale jej rodzice wyemigrowali do Wenezueli, kiedy była mała. Przywiozła stamtąd dwuczłonowe imię i karaibski akcent i za godzinę swojej pracy nie zarabia więcej niż Chinki za swój manicure, chociaż jest pewna, że pracuje o wiele ciężiej od nich. María Gracia jest sprzątaczką i tyra jak wół, ale jedyne luksusy, na jakie może sobie pozwolić, to śniadanie w barze i, od czasu do czasu, wizyta u fryzjera, tylko na farbę oczywiście.

– Bardzo przepraszam. – Sandra uśmiecha się do niej w lustrze. – Spieszę się, zwykle masz tak mało czasu...

Amalia spogląda nagle na klientkę. Scena przypomina kreskówkę, w której Chinki z przeciwka byłyby wrózkami, a w jej głowie zapala się nagle żarówka.

– Kiedy zobaczysz Martinę – zwraca się do Marii Gracji – powiedz, żeby zajrzała do nas czasem. – Bo Amalia ma w pamięci wszystkie klientki, które ją zdradziły i poszły do tańszej fryzjerki, te, które oszczędzają na siłę. – Pewnie ma już okropne odrosty.

– Dobrze. – María Gracia zastanawia się chwilę i uznaje, że nie ma nic złego w tym, że powie się prawdę, ani nic hańbiącego w tym, że ktoś stracił pracę. – Powtórzę jej, chociaż mam wrażenie, że oszczędza. Odkąd Marisa straciła pracę...

– Wyrzucili Marisę? – cztery fryzjerki pytają naraz. Po chwili Amalia odpowiada za wszystkie: – Teraz rozumiem, dlaczego nie przychodzi.

– Tak, bardzo smutna historia. Pani Martina ubrała nawet choinkę. Mówi, że chce dodać otuchy sobie i rodzinie, ale tak naprawdę jest bardzo smutna, bidulka.

Koszmar, myśli Amalia, i bezwiednie spogląda w stronę umywalki, bo jeśli tak dalej pójdzie, Lorena, praktykantka, która będzie unikać jej spojrzenia do przerwy obiadowej, pójdzie niechybnie w ślady biednej Mercedes.

Przeklęte Chinki, myśli. Przeklęte Chinki, powtarza. Przeklęte Chinki, dodaje raz jeszcze w duchu, jakby powtórzona trzy razy klątwa miała zyskać jakąś magiczną moc, zmienić się w zaklęcie przeciw temu szokującemu absurdowi.

– Idę do toalety – oświadcza, chociaż powinna raczej powiedzieć: muszę natychmiast zapalić, ale w tym momencie rozlega się dźwięk zawieszonoego nad drzwiami dzwonka, więc nie rusza się z miejsca. Słyszy znajomy głos.

– Dzień dobry, nie byliśmy umówione, ale może nie jesteście bardzo zajęte...

– Bardzo co? – pyta ironicznie Amalia. – Nie, tego czasownika nie używamy tu od dawna.

– Wspaniale! – Diana Salgado przyszła sama, ale nadal mówi w liczbie mnogiej. – W takim razie zostajemy!

– My, to znaczy kto?

Nowo przybyła patrzy w lustro, które ma przed sobą, i widząc, że nikt jej nie towarzyszy, odwraca się i pyta:

– A gdzie się podziała moja siostra? – Rozpuszcza włosy, wychodzi na ulicę i nie wypuszczając z ręki klamki, krzyczy: – Sofí? Co tam robisz?

Młodsza z sióstr Salgado wchodzi prędko do zakładu. Wygląda na nienaturalnie podekscytowaną, czerwony kolor jej policzków kontrastuje z wyrazem ogromnego zdziwienia na twarzy.

– Przepraszam. Zagapiłam się. Tam, naprzeciwno...

– No tak, Chinki. – Amalia kiwa głową ze zrozumieniem. – Ja gapię się na nie przez cały czas. To, co się tam dzieje, jest bardzo dziwne, myślę, że wymieniają je co tydzień, bo nikt nie wytrzymałby tak morderczego rytmu pracy, od dziewiątej rano do jedenastej w nocy. To nie może być legalne, po prostu nie może.

– Jakie Chinki? – pyta zdumiona Sofía, nie mając bladego pojęcia, o czym mówi fryzjerka. – Nie, nie chodzi mi o Chinki, mówię o tym nowym budynku na rogu, widziałyście?

– Nie – odpowiada Amalia. – To znaczy, widziałam, ale nigdy nie przyjrzałam mu się uważnie. Coś z nim nie tak?

– Agencja Nieruchomości Prisma – odpowiada Sofía. – Czy nie wydaje się to wam... – I gryzie się w język, gdyż zdaje sobie sprawę, że sama mówi w tej chwili po chińsku. – A zresztą, nic takiego, chciałam się ostrzec i położyć farbę bez amoniaku. Mogę teraz czy muszę się zapisać?

Marisa pamięta jeszcze tamto zmęczenie.

Zaczynała pracę o dziewiątej, ale budzik dzwonił o wpół do siódmej. Dziesięć minut na to, by oprzytomnieć, pięć w łazience, a potem wybuchała wojna.

W pół godziny musiała zrobić śniadanie, obudzić Roberta, sama jadła w pośpiechu i nastawiała coś na obiad. On pił kawę i przystępował do swojej ofensywy: budził dzieci, ubierał je i półprzytomne prowadził do kuchni. Druga tura: gorące mleko, rozpuszczalne kakao, grzanki dla jednej, płatki dla drugiego, w tym czasie obiad już się gotował. Podczas gdy szykowała im kanapki do szkoły, szybkowar zaczął gwizdać.

– Znowu soczewica? – jęczało któreś z dzieci, a ona przystępowała do kontrataku:

– Spakowałaś wszystkie zeszyty?

Albo:

– Dziś masz WF, prawda?

Albo:

– Wzięłaś pieniądze na wycieczkę?

Potem sprawdzała, czy są dobrze ubrani, całowała na pożegnanie i wykrzykiwała w pośpiechu ostatnie instrukcje.

– Pamiętajcie, że dziś przyjdzie po was babcia, nie chcę, by na was czekała. I odróbcie pracę domową. Odróbcie, bo się pogniewam.

Dzieci zbiegały po schodach za ojcem, który odwoził je do szkoły, Marisa zaś wracała do sypialni, wkładała ubranie przygotowane dzień wcześniej, chwytając w pośpiechu torbę i sama, nie ociągając się, wychodziła. Całą operację wykonywała w zaledwie pięć minut. Potem szybki makijaż na przystanku autobusowym, już w autobusie albo w toalecie na pierwszym piętrze. I punkt dziewiąta siadała za swoim biurkiem jak prawdziwa mistrzyni świata.

Kiedy zaczynała pracę, już była zmęczona, ale uważała to za zaletę, nie za wadę. Obowiązki domowe, dzieci, zebrania rodziców, przebrania na przedstawienie gwiazdkowe, na bal karnawałowy, na koniec roku, spotkania z nauczycielami, szczepienia, to wszystko wyczerpywało ją tak bardzo, że czas spędzony w pracy nie wydawał się jej aż tak męczący. Była utalentowaną dziennikarką, zdolną, systematyczną, i kiedy jej program „Madrid Directo” przebiegał bez wpadek, czyli prawie zawsze, praca była dla niej oazą spokoju pośród codziennej szamotaniny. Ale nie uważała się za osobę nieszczęśliwą. Wręcz przeciwnie, czuła się uprzywilejowana, czuła, że żyje pełnią życia, życia zbyt wyczerpującego, naszpikowanego obowiązkami, to prawda.

Na tym polegał jej problem: lubiła swoją pracę, lubiła swojego męża i lubiła swoje dzieci, i nie zrezygnowałaby ani z pracy, ani z rodziny, żałowała tylko, że doba jest taka krótka. Oddałaby wszystko za dodatkowe dwie, trzy godziny, które mogłaby po prostu zmarnotrawić. Położyć się na kanapie i napawać beczynością.

Tylko za tym naprawdę tęskniła. Zdarzało się, że jakaś przyjaciółka opowiadała jej, że odkryła cudowne sole z Morza Martwego, olejki eteryczne, relaksujące świece.

– Napełniasz wannę po same brzegi – mówiła, a Marisa w tym momencie wybuchała śmiechem i zaczynała żywo gestykulować.

– Daj spokój. Od wieków nie brałam kąpeli. – Bo czas, który mogła przeznaczyć na prysznic, też miała dokładnie wyliczony. – Pod prysznicem spędzam od dwóch do trzech minut. W lecie trzy, bo wtedy depiluję nogi.

Teraz tamto życie wydaje się jej nierzeczywiste. Pamięta je mgliście, jakby widziała to wszystko w jakimś filmie, jakiejś lekkiej kobiecej komedii z happy endem, chociaż ona sama już nie liczy na szczęśliwe zakończenie. I wspomnienie tego wyczerpania, które jednak przynosiło owoce, zrodzonego z ciągłej aktywności, pragnienia, by robić dobre rzeczy, rzeczy użyteczne, boli ją jak wyrzut sumienia, blizna nieustannego poczucia winy. Teraz bowiem, kiedy kładzie się spać i nie musi nastawiać budzika, i wstaje, kiedy zmęczy się już leżeniem w łóżku, najgorsza, najbardziej gorzka wydaje się jej pokusa, by obwinać samą siebie o to, co się stało. Kto mi kazał narzekać?, zastanawia się. I nie pamięta nawet, że tak naprawdę nigdy głośno nie narzekała.

Doba Marisy nadal ma dwadzieścia cztery godziny, ale teraz te, których jej kiedyś brakowało, dłużej się w nieskończoność. Mogłaby oczywiście napełnić po brzegi wannę i wylegiwać się w gorącej wodzie, dopóki nie ostygnie, ale to byłoby jak akt kapitulacji po klęsce, której nigdy nie miała ponieść.

Marisa, redaktorka telewizji Telemadrid przez prawie trzydzieści lat, była zatrudniona na umowę na czas nieokreślony w publicznej instytucji. Jedno z tych stanowisk, których po prostu nie można było stracić. Dopóki nie zmieniły się reguły gry. Dopóki hiszpański rząd nie zaczął przekonywać obywateli, że urzędnicy państwowi i osoby zatrudnione w publicznych instytucjach to obiboki, które przez cały dzień tylko popijają kawę. Dopóki rząd autonomiczny nie zaczął narzekać, że stacja jest deficytowa, jakby publiczna telewizja musiała rzeczywiście przynosić kokosy. Dopóki masowe zwolnienia nie przejechały po niej jak gąsienice wozu opancerzonego. Dostała odszkodowanie: wynagrodzenie odpowiadające dwudziestu dniom pracy za każdy przepracowany rok. Kiedy jej mężowi obcięto pensję, chociaż pozostał szefem działu zagranicznego swojego dziennika, postanowiła tę kwotę zaoszczędzić na studia podyplomowe starszej córki, na studia magisterskie syna.

Dzisiaj, w kolejce do urzędu pracy, Marisa wspomina tamto zmęczenie jako najlepszy okres w życiu i ogarnia ją wściekłość silniejsza niż przygnębienie.

Od ponad roku widują się codziennie o wpół do dziewiątej rano, przy tym samym kontuarze tego samego baru nieopodal stacji metra.

María Gracia nigdy nie czuła się atrakcyjna, ale był w jej życiu okres, kiedy kształty wklęsłe i wypukłe jej figury współgrały ze sobą w szczęśliwej harmonii. Poza tym miała olśniewające włosy, kasztanowe, kręcone, długie, które przyciągały uwagę, sprawiając, że nie dostrzegało się jej pospolitej twarzy o zbyt małych oczach, kwadratowej szczęce i zbyt cienkich, niemal niewidocznych ust, które zupełnie nie pasowały do wenezuelskiego akcentu. Ale upływający czas pozbawił Marię Gracię świetnej figury, zostawiając ją tylko z tymi wąziutkimi wargami, kwadratową szczęką, niewielkimi oczami i znieawidzoną oponką tłuszczu tam, gdzie kiedyś – w czasach, kiedy spoglądając w lustro, widziała ciało, a nie prostokątny kształt – zwykła zapinać pasek.

Już od dawna nikt na nią nie patrzy. Pierwszy raz, gdy czyni to on, María Gracia uważnie się sobie przygląda, upewnia się, czy nie wdepnęła w psią kupę, czy spodnie nie pękły jej w kroku albo nie wyszła z domu w piżamie. Kiedy okazuje się, że wszystko w porządku, myśli, że to pewnie przypadek.

Antonio nigdy nie był przystojny, a już najmniej w młodości. Z wiekiem krosty pokrywające kiedyś jego twarz przyschły, pozbył się nadwagi upodabniającej jego nos do niekształtnego kartofla, a jego gęsta grzywka ustąpiła miejsca zakolom, łysinie, która go przygnębia, ale jest mu z nią do twarzy, a może na odwrót. Reszty dopełnił alkohol. W młodości zazdrościł szczupłym chłopakom, a teraz, przez to, że ciągle pije, została z niego skóra i kości. A że w życiu nie ma nic za darmo, koniak sprawił, że twarz miał jak Indianin. Ogólnie różowy odcień jego cery nabierał intensywności na policzkach, przeoranych siatką popękanych naczynek, które dzień po dniu rozgałęziały się coraz bardziej, żeby w końcu dotrzeć do skrzydełek nosa.

Codziennie o wpół do dziewiątej rano widują się przy tym samym kontuarze tego samego baru nieopodal stacji metra. Ona jest w drodze do pracy, sprząta mieszkania. On już nie pracuje, ale co wieczór nastawia budzik, jak wcześniej, nie może pozwolić sobie na to, by do poczucia porażki dodać jeszcze najwyższe poniżenie: wylegiwanie się w łóżku do południa. Poza tym po przebudzeniu zawsze męczy go pragnienie, pragnienie i samotność we wszystkich swoich odcieniach, tak dojmująca, że nie potrafi jej znieść. Dlatego chodzi do baru, chce czuć się otoczony ludźmi, przywitać się z właścicielem i spotkać przyjaciela, Sefarína, podobnie jak on bezrobotnego i bez widoków na pracę, uzależnionego od automatów do gry tak rozpaczliwie, jak Antonio od alkoholu: nie może się obyć bez dwóch kieliszków koniaku na śniadanie, chociaż tak naprawdę wcale nie łagodzą jego porannego smutku.

María Gracia też jest samotna. Też kiedyś była mężatką, została porzucona przez męża, też nie znalazła nikogo innego, też pamięta lepsze czasy i nigdy nie

wiodło się jej tak źle jak teraz. Antonio, kiedy widzi ją po raz pierwszy, czyta to wszystko z jej twarzy jak z otwartej księgi i przypomina mu się niezbyt eleganckie przysłowie, które powtarzała jego matka: „Każda potwora znajdzie swego amatora”. Potworem jest bez wątpienia on sam, ale gdyby mógł na kogoś liczyć, znaleźć w kimś ukojenie, gdyby mógł dzielić się z kimś swoją porażką, może znalazłby siły, by znów poskładać z kawałków człowieka, a nie potwora. Amatorką powinna być kobieta, niezbyt młoda i niezbyt ładna, ani wystarczająco atrakcyjna, przytłoczona samotnością i smutkiem. Bo tylko kobieta z krwi i kości, silna, ale zupełnie zdesperowana, mogłaby być zdolna uchwycić się tej ostatniej deski ratunku, zbutwiełej i najeżonej gwoździami jak to, co ma do zaoferowania Antonio. Dlatego zwrócił uwagę właśnie na nią. Idealską, przeraźliwie samotną.

I patrzy na nią w chwili, gdy upłynęło wiele, zbyt wiele lat, odkąd ktoś spojrział na nią po raz ostatni, więc María Gracia kolekcjonuje wszystkie jego spojrzenia. Klasyfikuje je, bada, kontempluje i w końcu zaczyna stawiać się na miejscu swojego adoratora, dostrzega w nim jakąś romantyczną aurę, urok nieszczęśliwego detektywa alkoholika z czarnego kryminału, osoby nieuchronnie skazanej na porażkę. Nigdy nie pociągały jej podobne klimaty, nie ulegała tego typu urokowi, nikt podobny nie wydał się jej atrakcyjny. Wie, że okłamuje samą siebie, ale nie ma to dla niej większego znaczenia. Kobiety takie jak ona nie mają wyboru, więc María Gracia uznaje, że wcale nie jest taki zły. Jeśli się do niej odezwie, chętnie pozna go bliżej.

Tak jest prawie od roku.

Za każdym razem kiedy ma wreszcie podejść do niej i się przywitać, María Gracia zostawia na kontuarze kilka monet i czym prędzej wychodzi. Za każdym razem kiedy próbuje się do niego uśmiechnąć, on odwraca głowę, zanim zdoła zobaczyć jej uniesione kąciki ust.

Ten wrześniowy poranek, któremu chyba wydawało się, że jest porankiem październikowym, zimny i wietrzny, ma być inny niż wszystkie. Ona nie zaglądała do baru prawie przez miesiąc, bo jej pracodawcy wyjechali na wakacje. Wczoraj była u fryzjera ufarbować włosy. On przez ten miesiąc myślał o niej intensywnie, ale na jej widok nagle stracił pewność siebie.

– Cześć – odzywa się w końcu tak cicho, że nikt go nie słyszy.

Marii Gracii wydaje się, że coś powiedział, i uśmiecha się na powitanie. Potem zamawia kawę z mlekiem i dwie porras, jak co rano.

Antonio nie wie, czy uśmiechnęła się do niego czy do Marii Carmen, właścicielki baru.

Jutro też jest dzień, myśli on.

Jutro też jest dzień, myśli ona.

Dopiero w poniedziałek, otwierając bar, Pascual doznaje nagłego olśnienia.

– Synku, czy opowiadałam ci już kiedyś o Edelmirze?

Pierwszego dnia jesieni matka Pascuala nadal przebywa w szpitalu. Przyjęli ją pod koniec lipca i chociaż rokowania nie są jeszcze zbyt pesymistyczne, od kilku dni jest bardzo zdenerwowana. Jej dzieci to zauważyły, lecz pielęgniarki uspokajają, z ciśnieniem wszystko w porządku, a wyniki badań nie wskazują na nic szczególnie niepokojącego.

– O Edelmirze? Nie, nigdy o niej nie słyszałem.

– No to ci opowiem...

– Ale mam... – Pascual przysuwa krzesło do jej łóżka, bierze matkę za rękę i całuje. – Powinnaś odpoczywać.

– Wiem, ale mówienie wcale mnie nie męczy, a chcę ci opowiedzieć o Edelmirze, więc proszę, posłuchaj. Edelmira była moją przyjaciółką i wyszła za mężczyznę, który nazywał się Juan, i mieszkała w domu teściów z mężem i jego bratem, trochę od niego starszym, który miał na imię... No właśnie, ze szwagrem. Szwagier długo mieszkał w Niemczech, a potem wrócił...

Dwa tygodnie po śmierci matki Pascual jedzie z rodzeństwem do domku na wsi. Podjęli już decyzję, że go sprzedadzą, ale przedtem mają sporo do zrobienia. Muszą zatrudnić kogoś, kto go opróżni, kogoś, kto posprząta, kogoś, kto chciałby kupić meble. A najpierw muszą otworzyć szuflady, żeby ocalić wszystko, co ma jakąkolwiek wartość sentymentalną, rodzinne pamiątki. Zadanie nie należy do przyjemnych. Dzieli się pomieszczeniami i Pascualowi przypada w udziale kuchnia, ale zanim zdoła mniej więcej zorientować się, co w niej jest, Ana, najmłodsza z rodzeństwa, woła wszystkich do sypialni rodziców.

– Widzieliście kiedyś to zdjęcie?

Na grubym kartonie z postrzępionym obramowaniem Pascual dostrzega uśmiechniętego mężczyznę, mniej więcej trzydziestoletniego, z twarzą ogorzałą od słońca, w kraciastej koszuli i roboczych spodniach podtrzymywanych paskiem nieprzeplecionym przez szlufki.

– Nie – odpowiada. – Ale jest na nim mama.

I wskazuje na kobietę, opaloną tak, jakby właśnie wróciła z wakacji, biała bluzka, granatowa spódnica. Uśmiecha się jeszcze promienniejsze niż mężczyzna.

– Jesteś pewien? – waha się Alfredo. – Mnie się też tak wydawało, ale... Ślicznie wygląda, nie?

– Tak, może dlatego trzymała tę fotografię w szufladzie nocnego stolika – zastanawia się na głos Ana. – Znalazłam ją w paszporcie, nieważnym od milionów lat, pod stertą papierów.

Ale w tym momencie Pascual nie pamięta o szpitalu, ani o tym, jak brzmiał głos jego matki, gdy opowiadała o życiu Edelmiry.

– Była z niej dobra dziewczyna, ale nie miała w życiu szczęścia, a może

właśnie miała, sama nie wiem. W każdym razie pewnego dnia miała pojechać ze swoim mężem na jarmark bydła w Talaverze, lecz poprzedniej nocy mąż wstawał wiele razy i wymiotował. Nie przejęli się tym zbyt, myśleli, że coś mu zaszkodziło, ale wszyscy jedli to samo, a następnego dnia tylko on wstał z gorączką. Nie szkodzi, rzekła Edelmira, sprzedamy cielaki za miesiąc, jednak jej mąż się uparł. Nie, Edelmiro, w żadnym wypadku, nie, nie i jeszcze raz nie. Potrzebujemy pieniędzy teraz, by zapłacić pracownikom za winobranie. Ty pojedziesz, a mój brat będzie ci towarzyszył. Słuchasz mnie?

– Tak, mam, słucham.

Ale Pascual nie przykładął zbyt wagi do historii Edelmiry. Telewizor w sali był włączony i kiedy matka mówiła, on spoglądał kątem oka na ulubiony serial żony, telenowelę, w której dzieci zaginione trzydzieści lat temu odnajdują się, oczywiście nie są dziećmi swoich rodziców i zakochują się w swoich siostrach, zupełnie o tym nie wiedząc. Mimo wszystko zauważa, że matka całkiem dobrze się bawi. Z jakiegoś powodu historia przyjaciółki bardzo jej się podoba i opowiadanie działa na nią uspokajająco. On się z tego cieszy, ale nie zastanawia się dlaczego.

– A ten facet? – Trzy miesiące później w domku na wsi jego brat bierze fotografię w dłonie i przybliży do twarzy. – To jej brat? Jakiś narzeczony?

– Pokaż. – Pascual, najstarszy z rodzeństwa, wkłada na nos okulary, przygląda się mężczyźnie, którego wcześniej obrzucił tylko przelotnym spojrzeniem, i coś mu się przypomina. – To chyba wujek Alfredo.

– Wujek Alfredo? – pyta siostra.

– Tak, starszy brat taty.

– Przecież on wyjechał do Niemiec.

– Tak, ale... – Pascual odwraca fotografię, widnieje tu napis: „Talavera de la Reina, sierpień 1963”. Pewnie przyjechał na wakacje.

Bo jego matka też miała szwagra.

Podobnie jak Edelmira.

– Była z niej porządna kobieta, żebyś sobie nie myślał... – W tym momencie córka z nieprawego łoża zaczyna się kłócić z żoną swojego ojca. – Pascual! Mógłbyś na chwilę przestać gapić się w telewizor i mnie wysłuchać?

– Tak, mam, przecież cię słucham. – I żeby nie zdenerwowała się bardziej, przysuwa krzesło do jej łóżka, tak sprytnie, by nie odwrócić się plecami do ekranu. – Powiedz mi, co takiego przytrafiło się Edelmirze?

– Była dobrą kobietą, uczciwą, i wyszła za mąż za uczciwego człowieka. Juan nie był jej pierwszym narzeczonym i właśnie dlatego, że zostawiła dla niego poprzedniego chłopaka, była pewna, że się nie pomyliła. Jej szwagier nie mógł przybyć na ślub. Nie przepracował jeszcze roku w swojej fabryce i nie chcieli mu dać urlopu. Przyjechał rok później, latem, i wtedy poznał Edelmirę. Jej powodziło się świetnie, do pełni szczęścia brakowało jej tylko dziecka. Ale kiedy przyjechał

szwagier, zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Za każdym razem kiedy znaleźli się blisko siebie, przeskakiwały iskry, a kiedy byli sami, choćby na moment, ona dostawała palpacji. Dlatego kiedy jej mąż chciał ich wysłać razem na targ, próbowała go przekonać, że to zły pomysł, chciała zostać w domu. Niech pojedzie twój brat, nalegała, ja się na tym nie znam, zostanę w domu, żeby się tobą opiekować... Ale mąż, który był uparty jak osioł, powiedział, że nie ma mowy. Pojedziesz, jesteś przecież właścicielką tych cielaków, to nie takie trudne, Edelmiro, przy odrobinie szczęścia wrócicie na kolację. I mieli szczęście, bo dogadali się z kupcem jeszcze przed obiadem, dobili targu po południu, ale nie wrócili do domu na noc. Szwagier Edelmiry zadzwonił do karczmy na głównym placu wioski, w której mieszkali Edelmira i jej mąż, i poprosił, żeby przekazano Juanowi, że najbardziej zainteresowany z kupców jeszcze nie podjął decyzji, że umówili się z nim na następny ranek i że prześpią się w gospodzie. To też nie była prawda, bo wynajęli wprawdzie dwa pokoje w gospodzie, ale nie zmrużyli oka, rozumiesz, Pascual?

– Oczywiście, mam... – Odwrócił się dyskretnie i dostrzegł ojca obejmującego córkę, oboje płakali rzewnymi łzami. – Przeleciał ją, tak?

– Przeleciał, przeleciał! Oni nie znali takich określeń, byli bardzo młodzi – mówi matka, lecz nie udaje długo oburzenia, zaraz wybucha śmiechem.

– Dobrze, dobrze... – Pascual nie pamięta, kiedy jego matka ostatnio tak głośno się śmiała. Śmieje się wraz nią. – Tak tylko palnąłem.

Przez resztę swojego życia Pascual będzie sobie wmawiał, że gdyby choroba jego matki była łaskawsza, gdyby tak szybko nie powaliła jej z nóg, chociaż do samego końca zachowała przytomność umysłu, on przypomniałby sobie o historii Edelmiry i jej szwagra, zanim będzie za późno.

– Może to ten jedyny raz, kiedy przyjechał. – Siostra Pascuala, Charo, druga z czworga rodzeństwa, bierze do ręki zdjęcie i przygląda się mężczyźnie. – Nigdy go nie widziałam.

– W końcu ożenił się z Niemką i już tam został, ale wcześniej odwiedził Hiszpanię kilka razy. – Pascual jest już zupełnie pewien. – Naprawdę nie pamiętasz? Ja owszem, przypominam go sobie.

– Sama nie wiem. – Charo, tylko o rok młodsza od brata, wydaje się wahać. – Może masz rację.

– A potem już nie wracał? – pyta Ana. – To trochę dziwne, prawda?

– Niekoniecznie. W tamtych czasach Niemcy były bardzo daleko.

– Musieli się lubić, to widać od razu. Spójrzcie na mamę, jaka rozpromieniona. Nigdy nie widziałam fotografii, na której wyszłaby tak ładnie.

Kiedy serial się skończył, córka pacjentki z sąsiedniego łóżka, z oczami opuchniętymi od płaczu, zasłania zasłonką i żegna się z Pascuałem.

– Ja też już pójdę, mam... zrobiło się późno.

– Nie, nie... Zostań jeszcze chwilkę, muszę ci opowiedzieć tę historię do końca. – Pascual próbuje wstać, ale matka unosi się na łóżku i chwyta go za ramię.
– Zostań, synu, to tylko chwila, naprawdę. Dwa dni po targu szwagier Edelmiry wrócił do Niemiec, a ona, za każdym razem kiedy ktoś o nim wspomniał, zrywała się z krzesła i biegła do kuchni. Biedaczka, nie rozumiała, co się właściwie stało. Nie umiała tego nazwać. Nie była zadowolona, wstydziła się tego, co zrobiła, ale zawsze gdy zostawała sama, w łóżku przed zaśnięciem albo w kinie, udając, że ogląda film, myślała o swoim szwagrze i ogarniała ją mieszanka emocji, zimnych i gorących jednocześnie, i bezwiednie się uśmiechała. Najgorsze, że zaszła w ciążę i nie była pewna, kto jest ojcem. Syn urodził się podobny jak dwie krople wody do rodziny jej męża. Edelmira westchnęła, kiedy go zobaczyła, bo wiedziała, że nawet jeśli jej mąż nie był jego prawdziwym ojcem, nikt nigdy tego nie zauważy.

– Nie macie nic przeciwko temu – najmłodsza siostra spogląda pytająco na rodzeństwo – żebyśmy wzięła sobie tę fotografię?

Potem Pascual pożałuje i tej decyzji; w końcu każde z nich ma takie samo prawo do tego zdjęcia.

– Spokojnie, już blisko do końca.

– Nie, mamo, martwię się o ciebie, o tej porze powinnaś już spać.

– I tak cierpię na bezsenność, synu, to jest właśnie najgorsze ze wszystkiego. W każdym razie szwagier Edelmiry wracał na wieś w każde wakacje, przez sześć lat zapewniał ją, że ją kocha, namawiał, żeby zostawiła męża i wyjechała z nim do Niemiec. Więc jesienią, zimą i wiosną Edelmira była przykładną żoną i matką, przekonywała się, że tak naprawdę jest bardzo szczęśliwa, obiecywała sobie, że ta historia ze szwagrem skończy się raz na zawsze, ale potem nadchodziło lato i on przyjeżdżał. Kiedy go widziała, przytulała na powitanie, czuła jego zapach, a on patrzył na nią wymownie, uśmiechał się do niej... Nie mogła mu się oprzeć. Pokusa była zbyt wielka. Edelmira czuła, że jeśli go nie pocałuje, uschną jej wargi, jeśli go nie obejmie, to się rozchoruje, i tak rok w rok, a często, kiedy wyjeżdżał, okazywało się, że Edelmira znów jest w ciąży. Ale chociaż wyrobiła sobie paszport, nigdy nie odważyła się uciec z kochankiem, i nie tylko z powodu dzieci, których miała już czworo – a szwagier oświadczył jej, że jeśli Edelmira go nie kocha, ożeni się z narzeczoną ze Stuttgartu i nigdy nie wróci – ale ze względu na Juana, który był porządnym człowiekiem, upartym jak osioł, ale porządnym, i nie zasługiwał na to, żeby stracić wszystko za jednym zamachem.

– I tak to się właśnie skończyło?

– Tak. Edelmira nigdy więcej nie zobaczyła szwagra i nigdy więcej nie zaszła w ciążę.

– To bardzo smutne zakończenie.

– Owszem, ale takie jest przecież życie, nie?

Kiedy żegnał się z nią tamtego dnia, matka Pascuala czuła się o wiele lepiej

i wyglądała na o wiele spokojniejszą. Następnego dnia jej stan znacznie się pogorszył, ale umierała przez trzy kolejne tygodnie.

– Słuchajcie, jeśli Alfredo ożenił się w Niemczech, być może mamy tam kuzynów? – mówi imiennik wuja, adwokat. Tylko jemu przemknęła ta myśl. – Może powinniśmy ich odszukać? Przecież ten dom należał do ich dziadka.

– Nie, Alfredo nie miał dzieci. – Najstarszy Pascual znów okazuje się najlepiej poinformowany z całej czwórki. – Wiem to od taty, powiedział mi wiele lat temu.

– No dobrze – ucina Alfredo. – W takim razie wracamy do roboty! Jeszcze masa pracy przed nami.

Kiedy kończą przeglądać szpargały, porządkować je, myć podłogi i wycierać kurze, mają wrażenie, że dotarli do finału smutnej historii, i wracają do Madrytu przygnębieni, a ich melancholijny nastrój potęguje drobny, gęsty deszcz, który towarzyszy im od Navalcarnero aż do samego Madrytu. Jednak winę za ich smutny nastrój ponosi nie jesienna słońca, lecz Charo, która zanim zamkną drzwi do domu dziadków, kładzie ręce na ościeżnicy, jakby chciała zagrozić drogę rodzeństwu, i zadaje pytanie, którego żadne z nich nie chce usłyszeć.

– Naprawdę chcecie sprzedać ten dom?

Jej sylwetka na tle pięknego, malowniczego pejzażu rodzinnego gospodarstwa pod koniec października, szczyty dalekich wzgórz odcinające się w świetle zmierzchu, szmer wody w kanałach nawadniających, lekki wiaterek poruszający czerwonymi liśćmi drzew, które płoną jesiennym ogniem, nigdy się nie spalając...

– Nie krwawią wam serca na samą myśl o tym? – naciska Charo, a żadne z rodzeństwa nie ma odwagi odpowiedzieć.

Pascual kładzie się spać bardzo późno i bardzo długo nie może zasnąć, na dobrą sprawę nie zasypia chyba wcale. Jednak musi otworzyć bar, więc wstaje, bierze prysznic i się ubiera, w pośpiechu pije w kuchni poranną kawę i zbiega po schodach.

I wtedy, dopiero wtedy, w progu baru, przypomina sobie historię Edelmiry.

– Co jest, szefie, dziś nie otwieramy?

Sześć minut później kelnerka z rannej zmiany zastaje go w tej samej pozycji, na progu, z wyciągniętą prawą ręką, w której trzyma klucz, sztywnego jak posąg.

– Otwieramy – odpowiada, przebiegając w myślach daty urodzenia, swoją i rodzeństwa, początek kwietnia, dwoje w maju, jedno na początku czerwca. – Włącz ekspres do kawy, proszę.

Potem, bardzo wolno, niezbyt skoordynowanymi ruchami wyjmuje klucz z zamka i wchodzi do lokalu. Wkłada fartuch i staje za barem. Teraz nie może sobie wybaczyć, że był taki głupi, ale po chwili uznaje, że tak jest najlepiej, bo jego matka umarła, mając czyste sumienie, wolna od tajemnicy, która na pewno jej

ciężyla przez całe życie, a w dodatku nie musiała odpowiadać na wścibskie pytania. Tak to właśnie bywa, kiedy się jest kobietą inteligentną, Pascual uśmiecha się do siebie, a w dodatku ma się syna przygłupa.

Tego dnia w barze rozmawia się tylko o Niemczech. Banki, dług, Merkel, Grecy, mój wnuk, który się tam wybiera, mój sąsiad z naprzeciwka też, córka dozorczyńi spod dwunastki już wyjechała, ale na razie siedzi na zmywaku w restauracji...

Pascual milczy, ale myśli, że któregoś dnia i on powinien wybrać się do Niemiec.

Złożyć kwiaty na grobie ojca.

Pepe Martínez kładzie się spać i czuje, że żuchwa ćmi go po lewej stronie, jakby ktoś dał mu w pysk. Dziwne, myśli, chociaż może młody uderzył go głową rano, kiedy grali w siatkówkę na boiskach parku Conde Duque. I chociaż nie przyznaje się do tego przez długą chwilę, dobrze zna ten ból.

Po raz pierwszy odczuwa go, mając siedemnaście lat, kiedy jego narzeczonej – tej niziutkiej dziewczynie o jasnych włosach, która właściwie była nijaka, ale biust miała fantastyczny, jak ona się nazywała? Marisa, Maribel... Nie, Marisol, miała na imię Marisol – spóźnia się okres. Cały dzień ściska go w żołądku, w nocy nie może nawet zmrużyć oka, a rano wstaje z opuchniętą lewą stroną żuchwy. Matka jest przerażona, natychmiast wiezie go do dentysty, kupuje całe opakowanie antybiotyków. Pepe połyka pierwszą dawkę, kiedy dzwoni telefon.

– Już po strachu.

– Naprawdę? – pyta, zupełnie idiotycznie.

– No oczywiście, nie zgrywaj durnia.

Za chwilę opuchlizna z dziąsła zaczyna schodzić jak powietrze z przedziurawionego balonika. Mimo wszystko bierze antybiotyk do końca, zażywa każdą kolejną dawkę, jakby wznosił toast na cześć swojego szczęścia.

Za drugim razem ma prawie trzydzieści trzy lata i ból przychodzi niespodziewanie, bo Diana rodziła już dwa razy, szybko, naturalnie i bez komplikacji.

– To dziecko jest źle ułożone – ostrzega go położna, która w tym momencie wydaje mu się przeraźliwie brzydka, gruba i odpychająca. – Dziecko jest niewielkie, źle ułożone i owinięte pępowiną, nie ma czasu na cięcie, spróbujemy kleszczy.

– Mogę wejść?

– Nie.

Potem wszystko dzieje się bardzo szybko, ale jemu nie mówią nic, póki matka nie zostaje przewieziona do sali, a dziecko, które jest wprawdzie małe, ale nie tak małe, jak się spodziewali, i było źle ułożone, ale nie tak tragicznie, jak myśleli, i trochę się nacierpiało, ale nie tak, jak przypuszczali, nie znajdzie się

w inkubatorze na piątym piętrze.

– Przepraszam, bardzo mi przykro, naprawdę. – Pielęgniarka przechodzi przez poczekalnię i znajduje go tam samego, porzuconego na pastwę losu. Zanim otworzy usta, robi się cała czerwona ze wstydu. – Mieliśmy straszną noc i zapomnieliśmy o panu. W końcu obyło się bez komplikacji, dziecko musi trochę przybrać na wadze, ale jest silne, dojrzałe, za trzy, cztery dni będą je państwo mogli zabrać do domu, żona czuje się dobrze i... Co pan ma na twarzy?

Kiedy Pepe ma chwilę czasu i dość odwagi, by przejrzeć się w lustrze, znów widzi opuchniętą twarz, prawa strona żuchwy zwisa mu tak, jakby kość oddzieliła się od stawu. Dostaje kolejne opakowanie antybiotyków od lekarza z oddziału położnictwa, zażywa je równie skrupulatnie, jak skrupulatnie skupia się na myśleniu o tym, żeby synowi się udało.

Teraz Pablo ma trzynaście lat, prawie dorównuje mu wzrostem i potrafi zjeść kilka kotletów za jednym razem. Niezbyt dobrze się uczy, to też prawda, jest z tych, co mają poprawki we wrześniu i ledwo przechodzą do następnej klasy, ale to nie marne świadectwo syna odpowiada za opuchliznę, przez którą Pepe znów nie może zmrużyć oka.

– Słuchaj, Pepe, w poniedziałek rano, jak tylko przyjdiesz do pracy, zajrzyj do mojego gabinetu. Musimy porozmawiać o restrukturyzacji przedsiębiorstwa...

W piątek niespecjalnie się tym przejmuję. Już przed wakacjami wszyscy podejrzewali, że to musi się wkrótce wydarzyć, teraz, w listopadzie, optymiści zaczęli przebąkiwać, że może szefowie zmienili zdanie. Ale tak naprawdę restrukturyzacja wisi nad firmą od jakiegoś czasu. Od miesięcy jej oczekują, lecz wszystkie prognozy wskazują na to, że Pepe nie ucierpi. Wszyscy doskonale wiedzą, które działy przynoszą zysk, a które nie. Ten, w którym pracuje Pepe, należy do najbardziej rentownych, a on sam pozostaje w bardzo dobrych stosunkach ze swoim bezpośrednim przełożonym. Mimo wszystko w sobotę w porze obiadowej zaczyna boleć go brzuch i czuje, że nie przełknie ani jednego ziarna białej fasoli, którą tak bardzo lubi.

– Co ci jest, Pepe? – dziwi się jego żona.

– Sam nie wiem – przyznaje. – Wczoraj, kiedy grałem z Pablem w kosza, przemarzłem na kość. Może się przeziębilem.

– Jasne. – Diana kiwa głową. – Już przestawiliśmy czas i coraz wcześniej robi się ciemno. Mówiłam, żebyście się ciepło ubrali. A w dodatku pewnie pocicie się jak myszy.

– Mamo, ja mam apetyt. – Pablo broni swojej niewinności, a jego ojciec nie otwiera ust.

Po co ma im psuć humor. W sobotę nic nie je, a w niedzielę budzi się głodny jak wilk. Wydaje się, że żołądek przestał się buntować. W nocy za to zaczyna go boleć szczęka.

– Matko Boska! Co ty masz na twarzy? – krzyczy żona, kiedy Pepe pojawia się w kuchni, żeby zjeść śniadanie.

– Tato, wyglądasz jak jakiś stwór z *Gwiezdnych wojen* – wtóruje matce najstarszy syn.

– No co ty! – Córka z trudem powstrzymuje się od śmiechu. – Wygląda znacznie gorzej niż Chewbacca.

I kto mi kazał mieć troje dzieci, zastanawia się po cichu Pepe Martínez, ciesząc się, że milczy przynajmniej najmłodszy, chociaż uczy się najgorzej z całej trójki.

– Diano, mamy w domu jakiś antybiotyk?

Przed wyjściem połyka pierwszą tabletkę, mając nadzieję, że wszystkie pozostałe zażyje bez potrzeby, jak wcześniej.

Tego dnia w porze obiadu opuchlizna zaczyna ustępować. Prawie tego żałuje, wkurza go, że jego ciało z taką łatwością przyjmuje do wiadomości, że go nie zwolnili, jedynie obniżyli mu pensję o dziesięć procent.

Dni upływają powoli, podobne do siebie, według tego samego scenariusza.

Budzik dzwoni mniej więcej o tej samej porze co kiedyś, ale Sebastián chodzi teraz do pracy pieszo. Stara się nie pamiętać, ile by dał jeszcze niedawno za ten luksus. W ogóle unika wspomnień, bo wspomnianie boli. A jednak na swój sposób ma szczęście i bardzo dobrze o tym wie. Nie ma pojęcia, ilu pomocników architekta, mających ponad czterdzieści lat, dałoby wiele, by znaleźć się w jego sytuacji, zanim stracą prawo do zasiłku dla bezrobotnych. Z pewnością jest ich całe mnóstwo.

– Słuchaj, mam pewien pomysł...

Kiedy wraca z tygodniowych wakacji nad morzem, które poświęcił na opróżnianie apartamentu, umawia się na kawę z Tomásem, właścicielem agencji nieruchomości, której zlecił jego sprzedaż. Tomás to porządny facet, przyjaciel Sebastián z epoki tłustych lat, prawdziwy przyjaciel, niewielu zgodziłoby się na ten układ, żeby pomóc kumplowi spłacić długi. Tak niewielu, że kiedy Sebastián widzi, jak unika jego spojrzenia, waha się, nerwowo miesza kawę z mlekiem, w której z pewnością nie został ani jeden nierozpuszczony kryształek cukru, boi się, że Tomás się wycofa.

– Wiem, że za ten apartament nie dostaniesz...

– Nie, nie i nie! – Tomás kręci głową, jakby chciał się pozbyć wiszącego mu na szyi węża, i macha rękami, jakby chciał odstraszyć kolejnego, czerwieniąc się przy tym trochę. – Nie o to chodzi, co do apartamentu już się umówiliśmy i w tej kwestii nic się nie zmienia... – I nagle jego policzki robią się purpurowe, niemal fioletowe, jak u nastolatka, który wpakował się w tarapaty. – Miałem pewien pomysł, ale... Cholera, Sebastián, aż wstyd mi o tym mówić.

Kiedy jego pracownia architektoniczna bankrutuje, Sebastián postanawia sprzedać wszystko. Dom w Soto de la Moraleja, apartament nad morzem, samochód, biżuterię żony, swój laptop, a nawet obraz z salonu, prezent ślubny od kolegi z roku, który został uznanym malarzem. W ten sposób likwiduje hipoteki, spłaca długi, rosnące od czasu, gdy jego firma zaczęła iść na dno, i zostaje ze skromną sumą pieniędzy. Oszczędności nie wystarczy mu na długo; nie wystarczy na pewno, żeby zacząć od nowa, wynająć mieszkanie, umeblować nawet meblami z wyprzedaży, żaden bank nie udzieli mu teraz kredytu. Wsparcie oferuje jedynie ojciec.

– Wróć do domu, Sebas. Mieszkanie jest duże, mnie dobrze zrobiłoby twoje towarzystwo, towarzystwo wnuków. Mówię poważnie. Od czasu gdy mama zachorowała, w domu jest bardzo smutno.

Żona mówi, że nie ma mowy, ona zostaje w El Soto, u swojej siostry. Kocha go, owszem, ale nie chce mieszkać z teściami, nie wyobraża sobie mieszkania z teściową, przykutą do łóżka, cierpiącą na miażdżycę, skomplikowaną jeszcze przez chorobę Parkinsona, a może na odwrót, i z gosposią z Hondurasu, która

potrafi gotować tylko potrawy swojej lokalnej kuchni, i na dodatek teściem, pokornie wcinającym ryż z fasolą, byle tylko nie zostać sam na sam z niepełnosprawną żoną.

– Zrozum mnie, Sebas, jestem jeszcze młoda, mam prawo zacząć życie od nowa, bardzo mi przykro, że cię to spotkało, naprawdę, zrobiłabym wszystko, żeby ci tego oszczędzić, ale... Nie potrafię unieść twojej porażki, przepraszam, wiem, że jestem nikim, zwykłą dziwką, ale jeśli przeprowadzę się tam z tobą, umrę z rozpaczy. – I wybucha płaczem. – Po prostu umrę, dla mnie byłoby to gorsze niż śmierć.

W tej chwili Sebastián czuje się całkowicie bezsilny, pogrążony po same uszy. Wie o tym, bo zawsze był bardziej zawistny, niż gotów był przyznać, nie potrafi wybaczać, wie również, że to największa z jego wad, a w tej chwili nie potrafi nawet porządnie się zezłościć.

Podczas gdy jego żona wylewa nad sobą krokodyle łzy, on przełyka rozczarowanie w milczeniu, pakuje walizkę i przeprowadza się sam do domu rodziców. A kiedy je z nimi na kolację niesłoną zieloną fasolkę i panierowanego morszczuka – to jego inicjacja w zdrową dietę trzeciego wieku, której przyjdzie mu przestrzegać jeszcze przez długi czas – obiecuje sobie, że pierwsze zaoszczędzone pieniądze zainwestuje w adwokata specjalizującego się w rozwodach.

Osiem miesięcy później osiągnął tylko tyle, że udało mu się sprzedać apartament nad morzem. Próbował wszystkiego, nie znalazł pracy i nie zarobił ani centa. Tomás doskonale o tym wie, ale i tak nie może znaleźć słów, żeby przedstawić swoją propozycję.

– Więc właśnie inaugurujemy nowy budynek, niedaleko stąd – Sebastián już chce zapytać, czy potrzebują kogoś do robót wykończeniowych, ale w porę przypomina sobie znaczenie napuszonego słowa „inaugurować” – i wiem, że znów mieszkasz w tej dzielnicy, więc pomyślałem... Nie obraż się na mnie, Sebas, obiecuję, że się nie obrazisz, bo chcę ci tylko pomóc. Wiem, że to nie praca dla ciebie, doskonale o tym wiem, ale może chciałbyś, zanim znajdziesz coś lepszego...

Teraz codziennie chodzi do pracy pieszo. Znów nosi garnitur i krawat, chociaż nie może decydować o swoim stroju. Korporacyjny *dress code* wymaga niebieskiego garnituru, ciemnego krawata i białej koszuli dla wszystkich pracowników działu. Zbytek elegancji, jak na człowieka, który spędza osiem godzin w budce, podnosząc szlaban parkingowy, ale Sebastiánowi wszystko jedno, bo nie musiał sam kupować uniformu. I chociaż Tomás nie może w to uwierzyć, Sebastián jest mu bardzo wdzięczny za tę posadę, pensja nie pozwala mu wprawdzie zaoszczędzić na adwokata i się rozwieść, ale może przynajmniej przysyłać alimenty na dzieci i opłacić swoją część pensji Daisy, opiekunki matki, którą odkąd popadł w ruinę, płacił za niego ojciec, nie mówiąc ani słowa

pozostałym członkom rodziny.

Poza tym nowe zajęcie pozostawia mu dużo wolnego czasu. Budynek jest jeszcze prawie pusty i zdarza się, że rano podnosi szlaban dwudziestu samochodom. Potem nie ma wiele do roboty, może spokojnie czytać, rozwiązywać krzyżówki, za darmo surfować po sieci, bo na stanowisku pracy ma firmowy laptop. Rano wertuje ogłoszenia o pracy, popołudniami wysyła swoje CV, ale jak dotąd nikt jeszcze nie oddzwonił.

Sebastián stara się nie wspominać, bo wspomnianie boli. Żyje z dnia na dzień, skupiając się na małych nowościach, które przynosi każdy tydzień. Otóż ten tydzień przynosi wiadomość niemal sensacyjną: wynajęto całe pierwsze piętro budynku, gigantyczną, nieskazitelnie białą przestrzeń, firmie budowlanej, z tych większych, poważnych, twierdzi Tomás. Więc od kilku dni Sebastián stara się nie tylko nie wspominać, ale też nie robić sobie nadziei, chociaż przychodzi mu to z trudem. Może firma będzie potrzebowała ekipy, żeby wykończyć swoje biuro, może w przyszłości będzie szukała pracowników, może to jakiś cudzoziemiec mający kupę forsy, ale pozbawiony kontaktów na miejscu, w Hiszpanii, a może to jednak Hiszpan, ale poszukujący personelu skłonnego pracować za granicą, może...

Tego dnia Sebastián zrywa się z łóżka, zanim zadzwoni budzik. Goli się, bierze prysznic, czesze się staranniej niż zwykle, a potem szczotkuje marynarkę garnitur. I nie zabiera do swojej budki żadnej książki ani nawet gazety, a na miejscu nawet nie włącza komputera. Nie spogląda w stronę chodnika, którym zwykle przechodzi za kwadrans dziewiąta kobieta, którą poznał pod koniec sierpnia, kiedy wynajmowała z przyjaciółką apartament nad morzem, sąsiadujący z apartamentem należącym kiedyś do niego, a teraz będącym własnością zatrudniającej go firmy. Kolejne minuty dłużą się w nieskończoność, aż w końcu, o wpół do dwunastej, najnowszy model audi zatrzymuje się przed szlabanem.

– Dzień dobry – mówi kierowca, a potem milknie, bo rozpoznaje stróża Agencji Nieruchomości Prisma, stojącego najniżej w firmowej hierarchii i najgorzej opłacanego.

Sebastián długo patrzy w oczy temu mężczyźnie, który pograżył w długach jego pracownię architektoniczną i w końcu doprowadził ją do plajty, wciska przycisk podnoszący szlaban, ale nie odpowiada na dzień dobry.

Pierwsza zauważyła to gospoia.

– Przysięgam, proszę pani, przysięgam. – Nieczęsto zdarza się jej dzwonić do pracy Diany, a już na pewno nie tak nieustępliwie, póki nie podniesie słuchawki.

– Tak, Swietłano, ale proszę, uspokój się! – Diana nie przejmuję się zbyt, wie, że ich pochodząca z Ukrainy gospoia jest panikarą i boi się własnego cienia, nie ma na świecie równie strachliwej osoby. – Kiedy wrócę do domu, porozmawiam z Pablem, niepotrzebnie się pani denerwuje.

– Niepotrzebnie, łatwo powiedzieć. To benzyna, proszę pani. Przysięgam, benzyna.

Diana odkłada słuchawkę, chowa komórkę do szuflady, przeprosza pacjenta i kontynuuje swój wykład o balonie żołądkowym. Potem przychodzi kobieta cierpiąca na otyłość, młody diabetyk odbywa rutynową wizytę kontrolną, następnie zjawia się pacjent, u którego diagnozuje niedoczynność tarczycy. Wychodząc z przychodni, napotyka na korytarzu zaimprovizowane zebranie. Stowarzyszenie Obrony Publicznej Służby Zdrowia miało nadzieję, że program cięć budżetowych, mający skutkować zamknięciem ośrodka, ruszy dopiero po świętach Bożego Narodzenia, ale dziś już odbyła się debata nad nim w autonomicznym parlamencie, a jest dopiero listopad.

Na zewnątrz zrobiło się już ciemno. Zaczyna drobny deszczyk, jest zimno, ale Diana łamie wszystkie zasady, których tak skrupulatnie każe przestrzegać każdemu członkowi rodziny: nie zapina płaszcza i nie rozkłada parasolki. Niezdecydowana mżawka, bezlitosna jak chmury zbierające się na horyzoncie, powoli przesącza się przez jej ubranie, a Diana idzie jak robot, rozmyślając nad zbliżającym się nieszczęściem. Kiedy dociera do domu, nie pamięta już o telefonie gospoisi, ale Pepe wita ją pytaniem:

– Słuchaj, czy ostatnio w domu nie śmierdzi ci benzyną?

I opowiada, że Marcos, sąsiad mieszkający pod numerem 34, ojciec Alby, która jest najlepszą przyjaciółką Pabla, zaczepił go dziś na ulicy.

– Zapytał, czy zauważyłem, że dzieciaki ostatnio coś knują, a ja odpowiedziałem, że nie mam o niczym pojęcia. Opowiedział mi więc, że przy śniadaniu jego młodszy syn pokłócił się z siostrą o płatki czekoladowe i zagroził, że skoro zjadła mu wszystkie, on powie, co takiego trzyma pod łóżkiem. Luisa udawała, że nie słyszy, ale kiedy dzieci poszły do szkoły, zajrzała pod łóżko Alby. I wiesz, co znalazła?

– Kanister z benzyną? – zgaduje Diana, a Pepe tylko kiwa głową. – Tak, Swietłana dzwoniła do mnie dziś rano, żeby powiedzieć, że w pokoju Pabla śmierdzi benzyną, ale prawdę mówiąc, nie przejęłam się tym specjalnie, wiesz, jaka ona jest.

O zamknięciu przychodni nie wspomina ani słowem, bo i po co. Po tylu

latach razem ona i Pepe są do siebie bardziej podobni, niż przypuszczają. Oboje reagują identycznie na własne problemy, a ponieważ nigdy nie dzielą się złymi wiadomościami, żadne z nich dotąd tego nie zauważyło.

Pablo miał zawsze tych samych przyjaciół, dwóch chłopaków i dziewczynę, rówieśników mieszkających na tej samej ulicy, chodzących do jednej klasy. Wszyscy czworo nauczyli się jednocześnie jeździć na rowerze, grali w tej samej drużynie koszykówki, zapisywali się razem na te same zajęcia dodatkowe i jeździli latem na te same letnie obozy. Już nie, bo zostało ich tylko troje.

Rodzice Daniela stracili mieszkanie, zanim skończył się poprzedni rok szkolny, po miesiącach rozpaczliwej walki z bankiem, agencjami nieruchomości, które nie mogły go sprzedać, sądem, który ostatecznie wydał nakaz eksmisji, a policja wtargnęła siłą do mieszkania, rozpędzając czworo dzieci i tłum dorosłych, którym udawało się zapobiec eksmisjom w przeszłości, ale tym razem się nie udało.

Dla Pabla był to dramat. Dla Daniela tragedia. Bo wy zostajecie w tej dzielnicy, powiedział przyjaciółom, nie musicie się stąd ruszać, będziecie razem. Ja muszę się wyprowadzić, to ja przegrałem, i nie wiecie, jak bardzo będę za wami tęsknił. Będzie mi was brakowało, okropnie... Począwszy od tego dnia, Pablo i jego przyjaciele zachowują się dziwnie i robią dziwne rzeczy.

– Ja o niczym nie wiem – przyznaje Marta, matka Felipe – ale mam tyle na głowie, że mogłam nie zauważyć.

– Ale – Marcos jest jedyny, który ma odwagę zadać to pytanie – co się właściwie stało?

– Wejdźcie, proszę. Napijcie się kawy?

Marta jest kobietą tajemniczą.

Nie mieszkała w tej dzielnicy od urodzenia, jak Pepe czy Diana, ani nie wprowadziła się po ślubie, jak Marcos czy Luisa. Nie wiedzą, czy w ogóle kiedyś była mężatką. Po prostu zjawiała się tu któregoś dnia z pięcioletnim synem.

Kiedy Felipe nawiązuje w szkole pierwsze przyjaźnie, opowiada, że zna swojego ojca, chociaż nie widział go od dawna. W rozmowach z rodzicami Pabla czy Alby Marta napomyka czasem, że mieszkała niedaleko rzeki, w starym, niskim i rozpadającym się domu, odziedziczonym po przodkach, wyburzonym podczas rozbudowy obwodnicy M-30. Czasem w roztargnieniu wspomina jakieś mieszkanie, w którym wychowywała wcześniej Felipe. A raz na targu, przy stoisku z wędlinami, Diana słyszy, jak rozmawia ze sprzedawcą o nowych blokach w Vicálvaro i przyznaje, że kiedyś tam mieszkała. Jedno w tej wersji się nie zmienia: teraz Marta i Felipe zajmują niewielkie, lecz słoneczne mieszkanie w bloku budownictwa społecznego, wzniesionym niedawno na miejscu rozsypującego się galeriowca.

Nikt nie wie nic więcej o tej młodej jeszcze kobiecie, która zawsze jest sama

albo ze swoim synem. Marta niewiele mówi, ciągle się uśmiecha, ale nie jest szczęśliwa. A jednak fortuna sprzyja jej przynajmniej w kwestiach, o które ostatnio najtrudniej. Jest kierowniczką, a może właścicielką, to kolejna z otaczających ją tajemnic, maleńkiego sklepiku z biżuterią i dodatkami galanteryjnymi. Zanim nadszedł kryzys, interes kręcił się na tyle dobrze, że była w pracy tylko rankami. Przed trzema laty musiała jednak zwolnić sprzedawczynię pracującą popołudniami, lecz nadal była spokojna o swoje utrzymanie. Sytuacja zmieniła się siedem miesięcy temu.

Pod koniec kwietnia Marta dostała list, w którym Miejski Zakład Gospodarowania Nieruchomościami zapowiadał wypowiedzenie umowy najmu, zawierającej klauzulę o bezwarunkowym dwuletnim przedłużeniu dla najemców, których dochód nie przekracza 250 procent pensji minimalnej i którzy nie posiadają innego lokalu mieszkalnego we wspólnocie autonomicznej Madrytu. To niemożliwe, myśli, to nie do pomyślenia, ale wkrótce przekonuje się, że nie miała racji. Miesiąc po tym, jak otrzymała list, rachunek za wynajem nie przychodzi na jej konto bankowe. Próbuje to wyjaśnić przez telefon, ale nikt nie potrafi jej udzielić żadnej wiążącej informacji, próbuje zapłacić osobiście, gotówką, jednak urzędnicy ratusza nie chcą przyjąć pieniędzy. Od pół roku do wszystkich tajemnic otaczających Martę dochodzi jeszcze jedna: niechcący została skłoterką. Tymczasem ona krok po kroku dochodzi, w czym rzecz.

Madrycki ratusz sprzedał cały blok funduszowi spekulacyjnemu, agencji nieruchomości, która chce ją teraz wyrzucić i wynająć jej mieszkanie komu innemu, po cenie rynkowej. Mówią, że mieszkanie nie należy do niej, a prawo własności jest nadrzędne wobec praw przysługujących najemcy.

– I nie jestem jedyna, wcale nie – mówi, stawiając tacę na niskim stoliku w salonie i podając gościom kawę. – Wszyscy sąsiedzi, którzy mieszkają tu dłużej niż pięć lat, dostali takie same pisma. Ale nie mamy zamiaru się wynosić. Utworzyliśmy stowarzyszenie, napisaliśmy do rzecznika praw obywatelskich i zaskarżyliśmy ratusz, każdy z lokatorów osobno, aby sparaliżować sprzedaż. Odbyły się już dwa procesy i oba wygraliśmy. Chyba wygramy wszystkie, ale praca dla stowarzyszenia zajmuje mi kupę czasu, ciągle spotykam się z prawnikami i... No właśnie, przez to nic do mnie ostatnio nie dociera.

Wysłuchawszy jej opowieści, rodzice Marcosa i Pabla spoglądają po sobie, a potem patrzą na nią.

– Czy uważacie...? – pyta Marta z niedowierzaniem, ale nikt nie ma odwagi odpowiedzieć. – Ale... Naprawdę sądzicie, że...?

– Tak.

Tej nocy Alba, najinteligentniejsza ze wszystkich, najlepsza uczennica, przyznaje się pierwsza. I robi to podniesionym głosem, stanowczym tonem, dość niespotykanym u trzynastolatki, więc cała piątka dorosłych uświadamia sobie, że

organizowanie tego spotkania w pizzerii to nie był najszczęśliwszy pomysł.

– Potrzebujemy benzyny do koktajli Mołotowa, jeśli tak bardzo chcecie wiedzieć!

– Albo! – gani ją matka. – Bądź uprzejma mówić ciszej, to nie są sprawy, o których należy krzyczeć. Potem porozmawiamy w cztery oczy...

– Pozwól jej wyjaśnić, Luiso – wtrąca mąż. – Mów dalej. – I widząc minę żony, natychmiast dodaje: – Tylko błagam, nie krzycz.

– No, nie ma dużo do opowiadania, wydało się nam to takie proste, widzieliśmy, jak to się robi w filmach. Ci durnie chcieli szukać przepisu w sieci, ale uznałam, że to bez sensu, na fali paranoi z islamistami na pewno wykasowali już z YouTube'a wszystkie tutoriale. A poza tym potem widać to na historii strony i z tym zabezpieczeniem rodzicielskiej kontroli, które zainstalowaliście, nic nie da się skasować. Ja mniej więcej wyobrażałam sobie, jak je zrobić, ale na wszelki wypadek sprawdziłam w encyklopedii w szkolnej bibliotece, tam wszystko zostało dokładnie opisane.

– Ja tłumaczyłem, że to bez sensu, mamó – dodaje Felipe, a matka myśli, że próbuje się usprawiedliwiać, ale okazuje się, że nie ma racji. – Mówiłem, że jeśli to dla mnie... No bo Dani już się wyprowadził. No więc jeśli teraz ja będę musiał odejść, bo nas wyrzucą i tak dalej... Wydawało mi się niesprawiedliwe, że chcą zrobić to dla mnie, a dla Daniego nie zrobiliśmy nic.

– Gadasz głupoty, Felipe. – Pablo uzupełnia wyznanie z tym samym spokojem i przekonaniem co do słuszności swojej decyzji co reszta przyjaciół. – Kiedy wyrzucali Daniego, jeszcze nie wiedzieliśmy, jak je zrobić, dlatego nie mogliśmy obrzucić nimi tamtego banku. Ale teraz już umiemy, więc...

– Chwileczkę, chwileczkę, chwileczkę... – Marta zakrywa oczy dłońmi, pociera nimi kilka razy twarz, a potem spogląda na każde z dzieci z osobna, jakby widziała je po raz pierwszy. – Kupujecie benzynę, żeby zrobić koktajle Mołotowa i obrzucić nimi mój bank, jeśli nas wyrzucą? Czy naprawdę macie taki zamiar? Matko, czy ja śnię?

– Nie, nie bank, mamó – wyjaśnia cierpliwie Felipe. – Chcieliśmy obrzucić ratusz. Bo w naszym przypadku akurat bank nie ma z tym nic wspólnego.

– Nie rozumiem, czemu się tak na nas gapicie – wtrąca się Pablo. – Naprawdę nic z tego nie rozumiem. Czy to nie wy ciągle powtarzacie, że trzeba coś z tym zrobić, że to nie do wiary, że nikt się nie buntuje, wszyscy tylko podkulają ogony?

– No właśnie – przytakuje Alba. – Poza tym mówicie, że ktoś w końcu musi zacząć. Powinniście być z nas dumni!

– Dzieci były wtedy w mieszkaniu.

– Co ty opowiadasz? Nie wierzę!

– A jednak. Zdaje się, że posłał je do pokoju, zabarykadował drzwi komodą

i tam już zostały. Policjanci, kiedy dotarli na miejsce, usłyszeli płacz i zabrali je stamtąd jak najszybciej, zasłaniając im oczy, żeby niczego nie zobaczyły. Teraz są u dziadków.

On – jego imienia nikt nie ma teraz odwagi wymówić – mieszkał na drugim piętrze budynku, w którym znajduje się bar Pascuala. Ojciec tych dzieci. Ona, zaimek nieobecny w rozmowach na schodach, nieobecna już całkowicie i nieodwołalnie, była jego żoną, matką jego dzieci, dopóki mąż nie osaczył jej poprzedniego wieczoru w rogu kuchni i pobił tak dotkliwie, że straciła przytomność, a później zadźgał najostrzejszym nożem, jaki znalazł w szufladzie kredensu. Potem zawiadomił policję. Funkcjonariusze musieli wyważyć drzwi i znaleźli go, siedział na fotelu w salonie, w ubraniu zbryzganym krwią, i patrzył w pustkę. Wtedy policjanci usłyszeli płacz dzieci.

Wiadomość obiega lotem błyskawicy całą dzielnicę, budynek za budynkiem, piętro za pięciem, zamrażając jak język góry lodowej ich miny, uśmiechy, gesty. Podczas gdy sąsiadów dręczą na przemian niedowierzanie i poczucie winy, wszyscy, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, robią rachunek sumienia i przegląd wspomnień.

Rzeczywiście nie przebierał w słowach, był śliski, agresywny, ale nikt nie przypuszczał, że do tego stopnia. Żaden z sąsiadów nie słyszał nigdy typowej ścieżki dźwiękowej domowego horroru, krzyków, błagań, głuchego echa ciała obijającego się o ściany i meble. Wszyscy słyszeli jednak gorzkie, ostre słowa wyrażające pozornie trywialną codzienną pogardę: jesteś nic niewarta, nie wiem, jak z tobą wytrzymuję, nie potrafisz nic zrobić, jesteś idiotką, każdy głupi by to wiedział, nie wiem, jak można być aż taką kretynką...

Te słowa rozbrzmiewają teraz w głowach sąsiadów, a towarzyszą im obrazy jeszcze bardziej wymowne. Małżeństwo wraca z supermarketu, ona dźwiga zakupy, on ma ręce w kieszeniach. Stoją na schodach, on ma o coś pretensje, ona słucha ze spuszczoną głową, w milczeniu, dzieci uczone jej nóg. Albo w barze na dole, on zamawia piwo, napoje dla dzieci, coś na przekąskę, ona się nie odzywa, a kiedy Pascual pyta, czego się napije, odpowiada, że niczego, bardzo dziękuję.

Sąsiadka z drugiego piętra nosiła bluzki z długim rękawem nawet w lecie, zapięte pod samą szyję, a na twarz nakładała grubą warstwę podkładu. Rzadko się uśmiechała. Niektóre matki pamiętają, że widywały czasem uśmiech na jej twarzy, zawsze, kiedy była w parku, sam na sam z dziećmi, ale jej twarz pochmurniała niezmiennie przy wejściu do budynku. Tam jej skóra natychmiast szarzała, spojrzenie stawało się potulne, a kiedy wchodziła po schodach, nie odzywała się ani słowem, kuliła ramiona i spuszczała głowę, jakby szykowała się, tak myślą teraz, na kolejny cios. Była osobą uprzejmą, kulturalną, zawsze odpowiadała na dzień dobry, dopytywała się o zdrowie sąsiadów, kiedy ktoś z nich zachorował.

Jej mąż próbował być sympatyczny. Był o wiele bardziej gadatliwy

i towarzyski niż żona, ale chociaż stawiał wszystkim piwo, nigdy się z nikim nie zaprzyjaźnił. Teraz rozumieją dlaczego, teraz, kiedy jest już za późno, przypominają sobie, jak zwracał się do niej w połowie ożywionej rozmowy, zamknij się, mówiłem ci, żebyś nie gadała głupot, a potem jak gdyby nigdy nic wracał do płomiennego ataku albo żarliwej obrony Cristiana Ronaldo, Obamy albo kogokolwiek innego.

Oni byli przy tym, byli świadkami takich scen, słyszeli te słowa, ale nie odważyli się wyciągnąć wniosków. Dlatego teraz to samo przerażanie, które przez lata musiało zmienić życie tamtej kobiety w koszmar, łamie im serca i gasi uśmiech na ich twarzach. Bo przecież wszystko widzieli, wszystko słyszeli, a po powrocie do domu ograniczali się tylko do komentarzy: ten facet to skurwiel, kanalia, zły człowiek, biedna kobieta, powinna go zostawić, uciec, skończyć z tym raz na zawsze. Tak myśleli, rozmawiali o tym, ale nikt nic nie zrobił.

Ona, owszem, próbowała. Teraz, kiedy już nie żyje, dowiedzieli się o tym. Nigdy nie złożyła na niego doniesienia, ale wynajęła adwokata i rozpoczęła proces rozwodowy, złożyła pozew, zmieniła zamki w drzwiach, próbowała wyrzucić go z domu. I wtedy ją zabił. Zabił tę kobietę, która nie nadawała się do niczego, była dla niego ciężarem od tego feralnego dnia, kiedy się poznali. Zabił ją, zaszlachtował kuchennym nożem i pozwolił, żeby się wykrwawiła. A teraz ona nie żyje i wszyscy sąsiedzi czują się współwinni tej zbrodni, bo nikt nie próbował go powstrzymać, nikt nie próbował jej pomóc, nawet nie zadzwonił, by go zadenuncjować.

– Myślałem o tym – mówią sobie teraz na schodach, w barze, w kolejce do kasy w supermarkecie. – Przysięgam, że kiedyś o tym myślałem, ale ona nigdy się nie skarżyła, nic nie mówiła, więc... Jakoś mi było głupio.

Teraz wszyscy powtarzają to samo.

Wszyscy oprócz Marty, która jak zwykle tylko słucha w milczeniu.

Chociaż upłynęło już osiem lat od tamtej nocy, wspomina ją tak, jakby była skazana wciąż przeżywać ją od nowa.

Kiedy zdawało się, że dochodzi czwarta nad ranem, odwróciła delikatnie głowę na poduszce i spojrzała na budzik. Zielone cyferki na wyświetlaczu wskazywały 3:58, ale sprawdziwszy godzinę, nie zrobiła żadnego ruchu. Jeszcze nie. On chyba jeszcze spał, ale nie ufała mu ani kiedy spał, ani kiedy czuwał. Zaczekała jeszcze chwilę, do 4:02, a potem dotknęła go, żeby odwrócił się do niej plecami i przestał chrapać. Dopiero wtedy, bardzo ostrożnie, wysunęła lewą stopę spod kołdry i dotknęła nią podłogi. Kiedy udało się jej bezszelestnie wstać, była już 4:11. Miną jeszcze trzy minuty, zanim uda się jej prześlizgnąć przez drzwi sypialni, które zostawiła uchylone, kładąc się spać.

Poprzedniego dnia, w porze obiadowej, zadzwonił, żeby powiedzieć, że nie przyjdzie na obiad.

– Umówiłem się z Fernandem, wiesz, że po śmierci matki jest bardzo przygnębiony. Kocham cię, bardzo cię kocham, najbardziej na świecie, przecież wiesz... Wybacz mi, musisz mi wybaczyć, wariuję już od tego, jak bardzo cię kocham...

Marta była już przyzwyczajona do takich telefonów, eksplozje miłości, które następowały po wcześniejszych eksplozjach, lepki, przymilny ton głosu, który bolał prawie tak samo jak poprzedzające go ciosy. Zawsze tak było, zawsze ta sama historia – dlaczego nie mógł po prostu wrócić do domu, zjeść z nią kolacji, obejrzeć czegoś w telewizji, zapytać syna, co tam w szkole – i zawsze dzień później umawiał się z przyjaciółmi, nie było go dwadzieścia cztery godziny, a potem wracał taki jak wcześniej, ten sam mężczyzna, za którego Marta wyszła za mąż. Zawsze tak było, ale tym razem miało być inaczej.

Myślała o tym setki razy, lecz zawsze sądziła, że nie da rady. A jednak tego dnia dotarło do niej wreszcie, że potrafi to zrobić, bo on przyjdzie późno i będzie pijany, bo był lipiec i Felipe wyjechał z jej rodzicami do domku w górach, bo jeśli włoży sukienkę na ramiączkach, w delikatne wzorki, jej mąż pomyśli, że to koszula nocna, teraz mogła tylko wyjść z sypialni, włożyć klapki i wybiec na ulicę, musiała to zrobić, nie mogła dłużej tak żyć, musiała uciec, uciekała... I uciekała.

Pod kanapą zostawiła parę sandałów i notkę, w której wyjaśniła, że była w komisariacie, że złożyła zawiadomienie o przemocy domowej, więc nie powinien jej szukać. Wyjęła kartkę spod kanapy i położyła na stole w kuchni, mając nadzieję, że mąż nie zlokalizuje schroniska, w którym zamierzała się zatrzymać, zanim odwiedzi go policja. Po wyjściu z komisariatu spakowała najpotrzebniejsze rzeczy do walizki i zawiozła ją do schroniska na drugim krańcu miasta. Mieszkanie było maleńkie i smutne, tak jak zamieszkujące je kobiety, a kiedy je poznała, pomyślała, by opuścić swoje mieszkanie w najdroższej części Vicálvaro, które zdobyła z takim wysiłkiem i kosztowało ją tyle pieniędzy, i było takie nowoczesne, radosne, wydał się jej jeszcze smutniejszy, a jednak się nie zawahała. Myślała, że po tej decyzji już wszystko przyjdzie jej łatwo. Myliła się.

W ostatniej chwili, trzymając prawą rękę na klamce drzwi wejściowych, odwróciła się jeszcze raz, by spojrzeć na dom, który opuszczała, na meble, które tak pieczołowicie wybierała, fotografie syna, ten koszmarny portret, który podarował jej Felipe z okazji Dnia Matki, wiszący w ramkach w korytarzu, zdjęcia ze ślubu, pamiątki z podróży, figurkę z Korfu, emaliowaną szkatułkę przywiezioną z wakacji w Maroku, szklaną kulę, śnieg prószący na wieżę Eiffla...

Przez chwilę myślała, że zostawia za sobą życie, całe swoje życie, wszystkie wspomnienia, hobby, codzienne przyjemności. Być może już nigdy nie będzie miała domu takiego jak ten, być może nigdy już nie będzie szczęśliwa, spędzi resztę życia zupełnie sama. Przez chwilę miała ochotę obrócić się na pięcie, wybuchnąć płaczem, cichym, bezgłośnym, zawrócić po swoich krokach i położyć

się do łóżka, i zasnąć, a potem żyć jak wcześniej, jak w te poranki, kiedy zaraz po obudzeniu chciała tylko umrzeć.

I wtedy nagle, zupełnie niespodziewanie, po policzkach popłynęły jej potulne, ciche łzy, a ona bezwiednym gestem otarła je z twarzy.

Ból okazał się nie do wytrzymania i w oczach pojawiły się kolejne łzy, zupełnie różne od tych wcześniej przelanych, a z ust dobył się jęk, przytłumiony odgłosem otwieranych drzwi.

Zanim się zorientowała, już była na ulicy.

Tak właśnie wygląda prawdziwa historia Marty.

Od czasu gdy zaczął się kryzys, grudzień jest ulubionym miesiącem Pascuala. I chociaż zacznie się dopiero za pięć dni, już brakuje mu miejsc w zeszycie, w którym zapisuje rezerwacje.

– Przykro mi, Roque, ale teraz nikt nie śmierdzi groszem i wszyscy chcą urządzać firmowe wigilie w barach, a nie w restauracjach... Jeśli chodzi o kolację, sprawa wygląda kiepsko. Mam tylko dwa wolne terminy, ósmy i piętnasty.

– Kurczę, Pascual, ale to poniedziałki – protestuje agent ubezpieczeniowy, który w zeszłym roku obchodził firmową wigilię w snobistycznej restauracji w dzielnicy Salamanca.

– Wiem, że to poniedziałki, ale tak wygląda sprawa. Mam małą salę, mogę robić tylko jedną imprezę naraz i uwierz mi, że bardzo tego żałuję. – Kartkuje jeszcze raz swój zeszyt z rezerwacjami i wpada na pomysł. – Słuchaj, a może zrobicie obiad? W porze obiadowej mam jeszcze trochę luzu.

– No tak, ale pracujemy popołudniami. Wyobraź sobie: najemy się, napijemy wina, nie sposób potem wsiąść za kierownicę i jechać do klienta...

W tej chwili Pascual, chociaż nadal trzyma komórkę przy uchu, nie słyszy już głosu Roque'a.

– ... a potem do następnego. Nie, to bez sensu... Kolacja to lepszy pomysł, niech już nawet będzie w poniedziałek...

Bo na ekranie telewizora Juan Francisco González staje naprzeciw chmary kamer i mikrofonów, przed którymi oświadcza, że nie będzie odpowiadał na pytania, chce tylko zapewnić o swojej niewinności i nieskazitelnej karierze zawodowej oraz zaprzeczyć wszystkim oskarżeniom.

– A, pomyślałem jeszcze o jednym. Niedziela, siódmego. Ósmego jest święto, można się wyspać. Chociaż nie, lepiej nie, ludzie będą wyjeżdżać na długi weekend.

– Ja pierdołę – szepcze w końcu Pascual.

– Słucham?

Pytanie Roque'a zupełnie do niego nie dociera.

Pascual poznał Juana Francisca Gonzáleza pewnego sobotniego popołudnia i natychmiast poczuł do niego antypatię. A ten narzeczony twojej siostry, zapytał później przyszlą żonę, kiedy zegnali się w bramie, dlaczego ma dwa imiona, a nie jedno, jak normalni ludzie? Zanim otworzyła usta, obrzuciła go wrogim spojrzeniem. Skąd mam wiedzieć, dlaczego ma dwa imiona. Pochodzi z dobrej rodziny, wiesz?

– Co ty pieprzysz, Pascual? Odjechałeś? – Roque wydaje się tracić cierpliwość.

– Przepraszam, Roque, nie mówiłem do ciebie. Zastanów się spokojnie, pogadaj z kolegami.

– Nie, powiedziałem już, że piętnasty, słyszałeś? Piętnasty grudnia,

dziewiąta wieczór.

– Dobrze. – Pascual notuje w swoim zeszycie. – Bardzo dobrze, piętnasty, już zapisałem. Najpierw kilka wspólnych przystawek, a na drugie do wyboru ryba albo mięso.

Gdyby zależało to od niego, widywaliby się kilka razy w roku, w Boże Narodzenie i urodziny dzieci, ale Mari uwielbia odwiedzać siostrę i szwagra, lubi umawiać się z nimi na kolacje, spędzać kilka dni wakacji w ich willi na Costa del Sol. To upodobanie, źródło odwiecznych konfliktów, wiele razy mąciło spokój małżeństwa Pascuala. Zwłaszcza w lecie.

Pascual bardzo kocha swoją żonę, lubi jej ciało i charakter. Chociaż z wiekiem nieco przytyła, Mari nadal jest ładna, a w dodatku zabawna, ma poczucie humoru, jest czuła i lojalna, ale nie doskonała, to jasne, nikt nie jest bez wad. Na nieszczęście Pascuala główną wadą Mari jest jej szwagier, słabość, jaką do niego czuje, to, że śmieje się z jego głupich dowcipów, ślepe uwielbienie, które nie pozwala jej dostrzec jego arogancji i buty, i zwyczaj cichego porównywania własnego męża ze szwagrem, a siebie z siostrą, która przez całe życie nazywała się Maribel, póki jej skretyniały małżonek nie zdecydował, że María Isabel brzmi o wiele bardziej dystyngowanie.

Pascual jest dobrym człowiekiem, haruje jak wół w swoim lokalu z barem, stolikami i salą jadalną, otwartym od świtu do zmierzchu, od śniadania do kolacji. Chociaż za każdym razem kiedy o tym wspomina, pluje sobie w brodę, nigdy nie miał ochoty studiować, ale udało mu się utrzymać rodzinę, zapewnić dzieciom możliwość studiowania, spłacić wszystkie pożyczki, a nawet co nieco zaoszczędzić. Zanim nadszedł kryzys, zamierzał zainwestować oszczędności w domek nad morzem, nie tak duży ani z tak wielkim ogrodem, ani tak blisko plaży, jak willa szwagra, maleńki apartament, wystarczający jednak, by zaspokoić najdawniejsze niespełnione pragnienie żony. Teraz się rozmyślił. W obecnych czasach nie kupuje się domków nad morzem. Oszczędności pozwoliły mu przetrwać czas zawieruchy, nie musiał nikogo zwalniać, wydłużać godzin pracy podwładnych ani obniżać im pensji. Nie mógł ich również podnieść, ale i tak jego pracownicy uważają się za szczęściarzy.

Jak wielu Hiszpanów, Pascual przywykł do kryzysu, kupuje tylko tyle, ile mu potrzeba, nie przesadza z zamówieniami, wypełnia witrynki na kontuarze tyłoma porcjami tapas, ile może sprzedać, ani jednej więcej, rozpieszcza swoich stałych klientów. I nie idzie mu źle. Kiedy odkłada słuchawkę i wsłuchuje się w wiadomości, przekonuje się, że idzie mu wręcz bardzo dobrze. Wtedy do baru wpada Mari, na jej twarzy maluje się niepokój.

– Słyszałeś?

– Niedokładnie, bo akurat dzwonił klient.

– Ma sprawę w sądzie. – Wymawiając te słowa, pochyla się nieco do przodu,

jakby samo ich wypowiedzenie zrobiło jej dziurę w żołądku. – O korupcję, dostał nie wiem ile państwowych zleceń bez przetargu, coś w tym rodzaju. Cała historia wygląda okropnie, oskarżony jest jeszcze jeden przedsiębiorca, jakiś jubiler, dwóch deputowanych i kilku polityków. Nawet nie mam odwagi zadzwonić do Marii Isabel, biedaczka, co musi przeżywać. A dzieci? Tylko pomyśl o dzieciach. Co za koszmar!

Pascual obejmuje żonę, wie, że to bardzo nieładnie cieszyć się, że szwagrowi powinęła się noga, ale choćby nie wiem jak się starał, nie potrafi mu współczuć. Zbyt wiele lat musiał znosić jego chamskie przytyki, zbyt wiele lat przymykał oko na to, jak się wywyższa, puszy i przemawia do niego mentorskim tonem, zdecydowanie zbyt wiele lat.

– Czemu nie przepisziesz dzieci z Uniwersytetu Complutense na prywatną uczelnię, gdzie chodzi Cristóbal? Powiem ci jedno, Pascual, przyszłość należy do prywatnych uczelni. Nie widzisz, że kiedy tylko dostaną dyplom, biją się o nich najlepsze firmy? Nie mówiąc już o kampusie, lepiej wyposażonych pracowniach, komputerach, po prostu wszystko tam jest lepsze. – Juan Francisco serwuje mu dżin z tonikiem na ganku domu nad morzem, i chociaż paraduje w kąpielówkach, nie zdejmuje złotego roleksa.

– Kupiłem Marii Isabel wystrzałową kolię z pereł, całkiem tanią, naprawdę. Tak tylko mówię, jakbyś chciał się kiedyś szarpnąć i kupić żonie coś ładnego. Mam przyjaciela jubilera, to kolega z partii, bardzo dobry kompan – wspomina niby mimochodem Juan Francisco w białym polo i spodniach w cienkie prążki, na pokładzie jachtu jednego z niezliczonych przyjaciół, który zaproponował im wspólny rejs po zatoce.

– Może wreszcie mnie posłuchasz i zainwestujesz sensownie swoje oszczędności, zamiast trzymać je w skarpecie, Pascualu. Przedstawię ci dyrektora oddziału firmy, w którym pracuję, sprzedają bardzo opłacalne produkty finansowe. Słyszałeś kiedyś o preferencyjnych udziałach? – Juan Francisco peroruje przy barze restauracji, w której trzeba rezerwować stolik pół roku wcześniej, w dodatku oddalonej o dwadzieścia pięć kilometrów od jego willi, ale w której musi się pokazać przynajmniej raz w roku, żeby potem móc opowiadać o tym w Madrycie.

I tak ciągle, rok w rok, a Mari przytakuje, wpatrzona w szwagra:

– Ach tak? No, to świetny pomysł, dzięki za radę, powinieneś posłuchać Juana Francisca, zobacz, jak dobrze mu się wiedzie!

– Całe szczęście, że nigdy go nie posłuchałeś, kochanie – mówi teraz Mari, a on przytula ją jeszcze mocniej, ale nie otwiera ust.

Tak zaczyna się grudzień. Zanim upłynie tydzień od tamtego wydania wiadomości, Juan Francisco dzwoni wieczorem do Pascuala, żeby zapytać, czy może poświęcić mu chwilę. Umawiają się w barze na następny dzień. I kiedy Juan Francisco staje w drzwiach, Pascual już sam nie wie, co o tym myśleć, wydaje mu

się, że widzi tego człowieka pierwszy raz w życiu.

Jeśli chodzi o aparycję, nie zmienił się wiele. Płaszcz z wielbłądziej wełny, pod nim niebieski garnitur, markowy krawat – wszystko starannie wyprasowane – siwe kręcone włosy starannie przyczesane. Na zewnątrz wygląda jak dawniej, ale w środku wszystko jest inne. Pascual dostrzega to w oczach rozmówcy unikających jego wzroku, w drzeniu jego ust, kiedy się z nim wita, w zapamiętaniu, w jakim zwija i rozwija serwetkę od momentu, gdy usiedli przy stoliku.

– Czego się napijesz?

Najpierw macha ręką w geście „jest mi naprawdę wszystko jedno”, jakby nie miał ochoty na nic na świecie. Potem prosi o piwo, ale ledwie moczy usta w pianie.

– Słuchaj, Pascual... Prawda jest taka, że przychodzę prosić cię o przysługę.

Piwo służy mu tylko do wpatrywania się w kufel, dotykania go, obracania kompulsywnie na blacie, kiedy mówi, nie patrząc w oczy rozmówcy, który słucha w skupieniu przemowy, gładkiej, poukładanej, jakby Juan Francisco przećwiczył ją przed lustrem. Ale Pascual i tak nie może uwierzyć własnym uszom.

– Ale, przecież... – Pascual nie wie, co powiedzieć, i szczerze żałuje, że nie potrafił współczuć temu kompletnemu idiotcie, którego ma przed sobą. – Nie wiem, jak mam to rozumieć, nie wiem, jaką pracę mógłbym zaoferować twojemu synowi. Nie może zostać menadżerem, nie wie nic o tej branży, poza tym jest Braulio, który pracuje tu od dwudziestu lat. A oprócz stanowiska menadżera... No, chyba możesz sobie wyobrazić, trzeba podawać do stolików albo stać za barem, albo przygotowywać dania w kuchni, a chłopak taki jak on skończył studia, zna języki i...

Szwagier patrzy na niego w milczeniu.

Pascual nie potrzebuje nowego pracownika, ale dla swojej siostrzenicy Andrei, tej trochę dziwacznej dziewczyny, która kiedy była mała, spędzała z nimi co drugi weekend, bo zaprzyjaźniła się z jego córką Lucią, zdobyłby się na wysiłek wypłacania jeszcze jednej pensji. Dla Andrei, owszem, ale dla tego kretyna Cristóbala, który jest chodzącą kopią ojca...

Kiedy te myśli przebiegają przez głowę Pascualowi, Juan Francisco nadal uparcie się w niego wpatruje.

– Dobrze, niech stawi się tu jutro, punkt ósma, i jeśli mu się spodoba, może zostać. W święta zawsze brakuje rąk do roboty.

Sofia dowiaduje się wszystkiego od Marity i przez chwilę znów obie mają po czternaście lat.

– Wrócił! – Głos przyjaciółki podskakuje w słuchawce jak tresowany delfin demonstrujący wyuczone akrobacje. – Przyjechał do domu na święta, kochana, spotkałam go w niedzielę, kiedy kupowałam gazetę, i prawie usłyszałam muzyczkę z reklamy świątecznych czekoladek. Nie mogłam w to uwierzyć, nic się nie zmienił, powinniście...

– Ale... O kim ty mówisz?

On z kolei, jedząc niedzielną paellę w rodzinnym gronie, obok smętnej choinki, z gałązkami opadającymi pod ciężarem ozdób i światełkami, z których co drugie się przepaliło, dowiaduje się wszystkiego od brata Miguela. Mama ubrała ją trzy miesiące temu – zdradza mu siostra Marisa konfidencjonalnym szeptem – ale nie wspominaj o tym, proszę, zrobiła to, żeby dodać nam animuszu...

– Nie wiem, czy wiesz, ale miłość twojego życia od roku jest w separacji...

– Miłość mojego życia... – Pedro marszczy brwi. – Która z nich?

Dla obojga była to pierwsza miłość. Poznali się w liceum. On miał wtedy piętnaście lat, ona czternaście. Ona była ładna, on – przystojny, każde z nich miało własny styl, on trochę abnegacki, ona z kolei zgrywała panienkę z dobrego domu, ale ta przesada z obu stron pozornie się sumuje i w wyniku daje zero, stanowi doskonałą równowagę. Jakby każde z nich urodziło się tylko po to, żeby zakochać się w tym drugim, taka piękna z nich para, i oczywiście zakochują się w sobie tą gwałtowną i zachłanną miłością, miłością radykalnie naiwną, naiwnie gwałtowną, jaka przydarza się jedynie nastolatkom.

Mijają lata, a oni nadal są parą, przekonani, że pozostanie tak do końca życia. Ale kiedy kończą dwadzieścia lat, on wyjeżdża w podróż po Europie z dwójką przyjaciół, a ona spędza wakacje nad morzem, w domku letniskowym rodziców Marity. Wracają do Madrytu i on nie dzwoni. Kiedy jest już pewna, że to nie przypadek, telefonuje do niego. Za trzecim razem on w końcu odbiera i umawiają się w barze, w którym zawsze się spotykali, w którym rozbrzmiewa ta sama muzyka i ten sam co zwykle kelner stawia przed nimi te same piwa przy tym samym co zawsze stoliku. Rozstają się w sposób cywilizowany i spokojny, bo oboje są tego samego zdania.

– Nie jestem już niczego pewna – mówi ona, z dnia na dzień mniej landrynkowa.

– Ja w ogóle mam wszystkiego dosyć – wyznaje on, z dnia na dzień bardziej bezpośredni.

Tej nocy ich matki nie mogą zmrużyć oka, a następnego ranka przy śniadaniu cała rodzina mówi tylko o tym.

– Na głowę upadłaś, Sofio – mówi jej siostra, Diana Salgado, polewając swoją grzanek strużką oliwy z pierwszego tłoczenia.

– Odbiło ci, Pedro – uznaje Marisa Ferreiro i z niedowierzaniem kiwa głową, smarując masłem swój rogalik.

– Ale... – Miguel ma zaledwie dziesięć lat i nie pamięta już czasów, kiedy brat nie miał narzeczonej – czy już nigdy nie zobaczę Sofii?

Wiadomość obiega dzielnicę lotem błyskawicy, i zdumienie, smutek, osłupienie wszystkich, którzy ich znają, otaczają ich nieznośną wstęgą wścibskich pytań – jak mogłaś tak postąpić?, czyś ty kompletnie zwariowała?, czy wy nie widzicie, że jesteście dla siebie stworzeni? – i sprawiają, że oboje wpadają na ten sam pomysł. Ona wyjeżdża do Paryża na stypendium. On już skończył studia, wyjeżdża więc do Tarify i zaczyna prowadzić bar dla surferów. Potem oboje wracają, ona zostaje, on nie zagrzewa długo miejsca w Madrycie. Każde z nich bierze ślub, on szybko się rozwodzi, ona nie. Przyjeżdżają, wyjeżdżają, wspominają swój związek i od czasu do czasu zastanawiają się, jak potoczyłoby się ich życie, gdyby wsłuchali się w swoje przeznaczenie, które uparło się, by połączyć ich na zawsze. Oboje od czasu do czasu żałują, że zerwali ze sobą tak wcześnie, ale szybko puszczają ów żal w niepamięć.

Teraz znów tu są, z powrotem w swojej dzielnicy, oboje wolni.

Przyjaciele z czasów młodości, jej siostra, jego matka są tak namolni, że w końcu ustępują, umawiają się na piwo w barze Pascuala, w tym samym miejscu, w którym się spotykali, kiedy byli parą.

Poznają się natychmiast, bez wahania, gdyż żadne z nich zbytnio się nie zmieniło. Pedro ma trzydzieści osiem lat, potargane włosy poprzetykane pasmami siwizny, trzydniowy zarost, ogorzałą skórę i gibkie ciało, wytrenowane codziennymi ćwiczeniami. Sofia ma trzydzieści siedem lat, nigdy nie przestała dbać o siebie, chodzi wszędzie pieszo, trzy razy w tygodniu ćwiczy w siłowni, ma te same kasztanowe włosy i nie maluje się wcale, więc na początku wydaje się taka jak dawniej, ale to tylko złudzenie. Od dawna nie jest już panienką z dobrego domu, a w kącikach jej oczu pojawiły się zmarszczki, bo śmieje się, kiedy tylko może.

Gdy się spotykają, oboje uznają, że ich pierwsza miłość nie straciła nic ze swojej atrakcyjności. Gdy całują się na powitanie, oboje czują lekki dreszczyk wzruszenia. Potem przyglądają się sobie uważnie i oboje mają wrażenie, że nogi ich robią się miękkie, jakby stanęli na skraju przepaści. W końcu jednak wszystko powraca do normy.

Okazuje się, że on nigdy nie pracował w zawodzie, ona zaś zdała państwowy egzamin zawodowy piętnaście lat temu.

– Ale musiałaś zakuwać, to niesamowite, nie upłynął nawet rok od czasu, gdy skończyłaś studia...

– No nie, minęło półtora roku. Miałam szczęście.

On nie ma dzieci, ona ma syna.

– No tak, macierzyństwo to kupa roboty, ale przynosi wiele satysfakcji, radości. Gdyby nie mój mąż i jego stanowcze „nie”, chciałabym mieć przynajmniej jedno więcej.

– Aha...

Ona zamawia piwo bezalkoholowe, on dziwi się, że ktoś w ogóle pije to świństwo. Ona z kolei nie pojmuje, czemu on nie chodzi na wybory.

– I mieszkasz znów w tej dzielnicy?

– Tak, i bardzo mi tu dobrze.

– Ja nie dałbym rady.

– Nie? – Ona patrzy na niego, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. – No popatrz, ja z kolei nie lubię prowincji.

– Naprawdę? – Teraz on spogląda na nią zdumiony. – Nie wiesz, co tracisz.

Przez chwilę oboje milczą. Rozglądają się, żeby sprawdzić, kto znajomy odwiedził dziś bar, sprawdzają, czy nie ma nowych wiadomości w telefonie, ona ogląda swoje paznokcie, on drapie się po głowie i w końcu mówi:

– Masz ochotę na kolejne piwo? – Tylko tyle przychodzi mu do głowy.

– Nie, będę się zbierać, muszę ugotować obiad na jutro.

– Ja w sumie też się spieszę, ale daj się namówić...

– Nie.

– Tak.

– Nie, naprawdę muszę lecieć.

– A ja tak bardzo chciałbym postawić ci piwo, nawet to podrabiane...

Sofia się uśmiecha. Pedro też. Żegnają się, całują i każde odchodzi w swoją stronę z wyrazem ulgi na twarzy.

On nawet przez chwilę biegnie.

Ona idzie szybko, póki nie znajdzie się za rogiem. Wówczas przegląda się w sklepowej witrynie, poprawia włosy i powoli mija fasadę Agencji Nieruchomości Prisma.

Mężczyzna w stróżówce patrzy na nią, ona patrzy na niego, on nie odrywa od niej wzroku i Sofia Salgado wraca do domu z uśmiechem na ustach, bardzo z siebie zadowolona.

Kiedy inspektorka Raquel Fernández odwraca się do niego plecami, by otworzyć drzwi, agent Miguel Ferreiro ma ochotę rzucić się do ucieczki.

Chociaż później sam nie będzie mógł w to uwierzyć, naprawdę ta właśnie myśl przechodzi mu przez głowę, szacuje naprędce, ile metrów dzieli go od windy, a nawet dochodzi do wniosku, że lepiej będzie zbiec po schodach, przeskakując po trzy stopnie, by w końcu znaleźć się na ulicy, na drżących nogach, bez tchu i z ciałem spoconym tak, jakby uciekał od pożaru, a nie od najatrakcyjniejszej kobiety, jaką udało mu się w życiu poderwać. Nie ucieka nie dlatego, że brakuje mu ochoty, ale dlatego, że wyobraźnia każe mu zobaczyć kolejny moment tej sekwencji: widzi samego siebie na chodniku, w rozpiętej koszuli, poluzowanym krawacie i z idiotyczną miną, jeszcze bardziej żalną niż pewność, że stracił pracę, bo żaden wniosek o przeniesienie nie zdoła wymazać tego afrontu. Agent Ferreiro doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że jeśli zwieje w tej chwili, już nigdy nie będzie mógł pokazać się w żadnym komisariacie.

Na szczęście ona zaprasza go do środka, jak gdyby nigdy nic. On dodaje sobie animuszu, myśląc o tym, jak trudno teraz o pracę, a także o minach swoich towarzyszy, zwykłych agentów policji, tak samo nic nieznaczących jak on sam, kiedy zobaczyli, jak wychodzi z baru Pascuala z Arcyszprychą Fernández, seksbombą, o życiu prywatnym której nikt nie wie zbyt wiele, ale krążą plotki, że jest związana z piłkarzem z pierwszej ligi, prokuratorem, dyrektorem generalnym, a nawet z jakimś ministrem.

Dlaczego ja?, zastanawia się wówczas Miguel. Dlaczego, przecież na przedświątecznej kolacji pracowników tutejszego komisariatu było wielu policjantów w cywilu, wysokich, atletycznych, przystojnych jak gwiazdy filmowe, a także kilku innych, wydających się jeszcze lepiej pasować do filmów: inteligentnych, lubiących przyjemności, ironicznych i samotnych, uzależnionych od whisky i życia na wysokich obrotach. Dlaczego wybrała zwykłego agenta, przecież był tam nawet gość w garniturze od Armaniego, który zapewne kosztował więcej niż miesięczna pensja Miguela. Chyba tylko dlatego, że ona tak zdecydowała, po prostu. Z początku wydaje mu się, że chodzi o coś zupełnie innego.

– Mógłbyś poprosić mnie do tańca, Ferreiro – mówi, bawiąc się w dłoni kieliszkiem cavy, której ostatni łyk za chwilę upije. – Co?

– Jasne.

Kiedy obejmuje ją w pasie, czeka na jakieś zwierzenie, na to, że rozejrzy się dookoła i zapyta: mogę ci zaufać?, a potem wyjaśni: słyszałeś o tej sprawie, chciałabym cię prosić, byś podszedł do tego czy tamtego i coś mu ode mnie przekazał, potem opowiedz mi, co usłyszałeś.

Tego właśnie oczekuje, ale nie jest gotowy na to, że ona oprze głowę na jego ramieniu, jakby była zwyczajną kobietą, przeciętną, bo tylko z takimi umie się

obchodzić. I co ja mam teraz zrobić?, zastanawia się, bo Fernández nie postępuje w zgodzie z żadnym znanym mu filmowym scenariuszem, on jest tylko biednym policjantem. Biednym policjantem, lat trzydzieści dwa, metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, niebrzydkiem, bo brzydki nie jest, z twarzy wręcz bardzo ładny, według opinii własnej matki, ale nic poza tym. Arcyszprycha Fernández przewyższa go we wszystkim, z wyjątkiem wagi, a jednak to on znalazł się w jej mieszkaniu, właśnie on, w mieszkaniu szefa, a właściwie szefowej, i za chwilę dojdzie do rzeczy poważnych. I co ja mam teraz zrobić?

Ona rzuca płaszcz na kanapę, zapala kilka dyskretnych świateł, włącza muzykę i zdejmuje buty.

No ładnie, mówi sam do siebie agent, gdyż teraz, kiedy ją obejmuje, nie spogląda na nią z dołu jak wcześniej, lecz z góry. Ta kobieta nosi niezłe obcasy.

Ten szczegół dodaje mu odwagi, a kiedy ona rozpiną bluzkę i zdejmuje stanik, i przywiera doń niespodziewanie niewielkim biustem, chciałby zakrzyknąć ze zdumienia: skąd ta kobieta wzięła tak fantastyczny model stanika?

Potem przychodzi kolej na rajstopy, tak opięte w pasie jak dawny gorset, które znikając, ukazują zaokrąglony brzuszek Arcyszprychy. Agentowi Ferreiro to nie przeszkadza, po pierwsze dlatego, że lubi kobiety z brzuszkiem, a po drugie dlatego, że inspektor Fernández, bez rajstop, push-upa i wysokich obcasów nadal ma takie piękne ciało, że aż chciałoby się skakać z radości. Olśniewająca kobieta, najpiękniejsza, jaką w życiu poderwał.

– Muszę ci coś wyznać, Ferreiro – szeptem mu do ucha w ostatniej chwili, a on myśli, nie, błagam, nie teraz, teraz, kiedy naprawdę uwierzyłem, że ci się podobam, teraz, kiedy już nie chcę uciekać, błagam, nie chcę słyszeć, że kogoś o coś podejrzewasz. – Mam syna, wiedziałeś o tym? Ma trzy lata i... no jest cudowny, ale po cesarce mam bliznę, która jest naprawdę okropna.

– Tak? – I uśmiechając się, nagle rozumie wszystko, a najbardziej to, dlaczego Fernández ma stopień inspektora, a on jest zwykłym agentem. – Z pewnością jest piękna.

– Nie.

– Na pewno mi się spodoba.

Chinki przechodzą przez ulicę gęsiego, stają przed drzwiami zakładu fryzjerskiego i naciskają dzwonek.

– Amalio! – Uczennica wbiega po sześciu schodkach dzielących pomieszczenia dwupoziomowego lokalu. – Amalio! – krzyczy, żeby szefowa usłyszała ją, mimo szumu suszarki. – Amalio! – powtarza, gdy staje wreszcie przy niej.

– Co, co i co? – odpowiada szefowa. – Pali się? Skąd ten pośpiech?

– Prawie. Przyszły trzy Chinki z naprzeciwka – mówi i robi pauzę, jakby musiała przetrwać znaczenie wypowiedzianych przed chwilą słów. – Mówią, że chcą się uczesać.

Dziś Amalii dopisuje humor. Jest dwudziesty trzeci grudnia, wczoraj co prawda nie wygrała nic na świątecznej loterii, ale dziś lokal pęka w szwach. Cztery przyjaciółki, które wcześniej odwiedzały ją nie częściej niż raz w tygodniu, przyszły teraz razem i każda z nich ma jakieś specjalne życzenie: Marita i Maria farbę i pasemka, Sofia strzyżenie i koloryzację, a Begoña, która zawsze musi mieć więcej niż inni, farbę, pasemka, strzyżenie, a jutro rano czesanie w specjalny kok.

– A twoja siostra? – pyta Sofię od progu. – Nie przyjdzie?

– Moja siostra...

Już ma powiedzieć jej prawdę, że kilka dni temu siostra znalazła się na skraju załamania nerwowego i postanowiła, że sama ufarbuje sobie włosy, we własnej łazience, bo jej mężowi obcięli pensję, a poza tym krążą plotki, że niedługo zamkną przychodnię, w której pracuje, ale uznaje w końcu, że lepiej skłamać, bo jest pewna, że ta polityka zaciskania pasa szybko siostrze przejdzie i prędzej czy później i tak wróci do fryzjerki, Amalia zaś nie umie utrzymać nic w sekrecie i na pewno opowie jej, że już o wszystkim wie, a wtedy Diana się na nią obrazi.

– Jest bardzo zajęta, przygotowuje jutrzejszą kolację, nie wiem, kiedy zajrzy.

– I aby zmienić temat, podchodzi do pudła wystającego z szafy. – À propos, przyniosłam dwa kilo soczewicy, dwa kilo ciecierzycy, kilogram białej fasoli i kilogram czerwonej, więc nie możesz narzekać. Zaraz je dołożę. Ojej, pudło jest już prawie pełne!

To kolejny powód zadowolenia Amalii.

Niecały miesiąc temu Marita opowiedziała jej, że w dzielnicy powstało stowarzyszenie Sąsiedzi przeciw Kryzysowi.

– Zawiązało się, kiedy ratusz postanowił eksmitować lokatorów bloku mieszkań socjalnych, wiesz, tego, który stanął na miejscu dawnego galeriowca. Jest tam kilku prawników, mąż mojej przyjaciółki Marii, ja i jeszcze trzy osoby, i udało nam się wygrać wszystkie sprawy, które założyliśmy, więc teraz działamy z jeszcze większym entuzjazmem. I pracujemy wszyscy charytatywnie, nie myśl sobie.

– Dlaczego miałabym sobie cokolwiek myśleć – protestuje Amalia. – Przecież nic nie mówiłam.

– No, uprzedzam na wszelki wypadek. Mamy w planach naprawdę wielkie rzeczy, nie zawsze legalne, ale... Zresztą usłyszysz jeszcze o nas w wiadomościach. Tymczasem organizujemy świąteczną zbiórkę żywności poprzez zaprzyjaźnione punkty usługowe i pomyślałam... Nie miałabyś nic przeciwko temu, żebyśmy postawiły w szafie karton, może twoje klientki chciałyby przyłączyć się do zbiórki? Gdyby każda z nich przyniosła kilogram długoterminowej żywności za każdym razem, kiedy przyjdzie się uczesać, z pewnością byśmy go wypełniły.

Amalia słucha, nie przerywając, nie odmawia, ale też nie ma odwagi jej powiedzieć, że to się nie uda. Wszystkie jej klientki ostatnio narzekają, wszystkie starają się jakoś oszczędzać, więc pierwszego dnia sama wyskakuje do sklepu, żeby kupić dwa kilo ryżu, makaronu, mąki i kilka puszek. Nie chce, żeby pudło, wysokie na półtora metra, świeciło pustkami. Dziś też coś dorzuciła, chociaż nie musiała, bo większość klientek odpowiedziała na apel o wiele lepiej, niż się spodziewała, a te, które udają, że o niczym nie wiedzą, fryzjerka przywołuje do porządku.

– Ile mam policzyć na paczkę? – pyta, siedząc przy kasie. – Dwa euro na przykład?

– Na paczkę? O jakiej paczce mówisz?

– No, o paczce żywności. – I w tym momencie podnosi nieco głos. – Zapomniałaś przynieść żywność, więc kupimy ją za ciebie, żeby nie robić kłopotu – mówi jeszcze głośniej. – Bo przecież chcesz wziąć udział w zbiórce, prawda? Bo wiesz, niektórym jest naprawdę bardzo ciężko. To dla rodzin, które znalazły się w potrzebie, wszyscy musimy okazać solidarność, prawda?

– Oczywiście! – mówi klientka czerwona jak burak. – Oczywiście, że chcę się dołożyć.

– To świetnie, bo właśnie w supermarkecie obok mają promocję na mleko. Sześć litrów za trzy piętnaście. Zainkasuję od ciebie trzy euro, resztę dorzucę od siebie, dobrze?

W ten sposób oraz dzięki wielu dzielnym starszym paniom, które przynoszą ze sobą wielkie torby artykułów żywnościowych, karton jest prawie pełny.

– No, muszę powiedzieć, szefowo, że tupetu to pani nie brakuje – powtarza od czasu do czasu Lorena. – Tylko pozazdrościć.

– A co mam zrobić? One mają za dużo, a wiele rodzin nie daje sobie rady. Sześć euro miesięcznie z pewnością nie zrukuje tej pani.

– Aha. To znaczy, że robi to pani znowu?

– Oczywiście. Za dwa tygodnie, kiedy już zapomni o dzisiejszej wpłacie.

Amalia wie, że jest nieco bezczelna, ale bardziej zależy jej na tym, żeby karton się zapełnił. I wzrusza ją hojność starszych pań, bez wątpienia najuboższych ze wszystkich, dlatego nie znosi tych, które udają, że nic nie widzą. Gdyby to od niej zależało, bez żadnych skrupułów wyciągałaby od nich jeszcze więcej, ale nie

może przecież stracić klientek. W tym tygodniu zdołała zapełnić pudło i kasę zakładu, dlatego wychodzi taka promienna na spotkanie z Chinkami z zakładu naprzeciwno.

– Dzień dobry – odzywa się najodważniejsza, unosząc dłoń na powitanie. – My z przeciwka.

– Wiem, wiem, znam was – ale wypowiadając te słowa, zdaje sobie sprawę, że to nie całkiem prawda.

Bo z bliska wcale nie wydają się takie do siebie podobne. Wszystkie trzy są ubrane na biało i mają tenisówki tego samego koloru, wszystkie trzy są bardzo szczupłe, mają delikatną skórę i bardzo ciemne włosy, przystryżone na pazia. Ta, która się odezwała, wygląda na najstarszą. Chociaż trudno oszacować jej wiek, Amalia sądzi, że przekroczyła już trzydziestkę. Pozostałe są młodsze, pierwsza wygląda na dziewczynkę, druga jest najładniejsza.

– Chcemy uczesać, dobrze? – mówi ta, która ma odwagę mówić, poruszając dłońmi wokół głowy. Na każdym z jej długich, starannie wypielęgowanych paznokci znajduje się inna ozdoba, jakby były chodzącym katalogiem swojej firmy. I nagle osiem palców unosi się w górę. – Osiem.

– Chcecie przyjść o ósmej? – Amalia kręci głową. – Nie, przykro mi, zamykamy o siódmej.

Wszystkie Chinki wybuchają śmiechem, ale głos zabiera znów ich rzeczniczka.

– Nie, nie. My jest osiem.

– Aha... – Amalia śmieje się razem z nimi. – Przepraszam, źle zrozumiałam. Ma was przyjść osiem, tak?

– Tak, jedna ma wesele, siedem na wesele, tak?

– Jasne. – Amalia podchodzi do lady i wyjmuje kalendarz. – A kiedy to wesele?

– Jutro nie – paznokieć kciuka jest polakierowany na różowo, a na jego koniuszku znajduje się brylantowe serduszko – pojutrze – paznokieć fioletowy palca wskazującego z niewielką margerytką unosi się – też nie – piątek – paznokieć palca środkowego, w czerwono-złote paski, wskazuje wreszcie datę. – Dwudziesty piąty.

– Tak... – Amalia wpatruje się w kalendarz, żeby zyskać na czasie, chociaż doskonale wie, jaką datę pokazała jej na palcach rozmówczyni. – Dwudziestego piątego grudnia? Ale przecież to... – Boże Narodzenie, chce powiedzieć, lecz w porę uświadamia sobie, że to święto nic dla nich nie znaczy. – No jasne, przecież jesteście Chinkami.

– Tak. Nam zamykać w roku tylko maja jeden, dwudziesty czwarty po południu i dwudziesty piąty. Dlatego dwudziesty piąty wesele.

– Rozumiem. – Amalia zastanawia się, rozgląda wokół i widzi przerażone

miny swoich trzech pomocniczek. – I co chcecie zrobić?

– Siedem czesanie normalne, panna młoda specjalne.

– Specjalne... – Fryzjerka nie podjęła jeszcze decyzji. – Specjalne co? Kok?

Chinka, która mówi, rozkłada tylko ręce, bo nie rozumie, co to znaczy kok. Amalia pokazuje zdjęcia fryzur wiszące na ścianach, by wyjaśnić, co ma na myśli, ale rozmówczyni nadal nie rozumie.

– Ty idź – mówi tylko. – Ty zobaczyc panna młoda, rozmawiać z panna młoda, tak?

Kiedy fryzjerka wraca z zakładu Manicure Szanghaj, wydaje się odmieniona.

Teraz, po tylu miesiącach nieudanego szpiegowania z nosem przyklejonym do witryny, w końcu wie, za co mogłaby zadenuncjować pana i władcę manicure'u hybrydowego za osiem euro. W dwadzieścia minut domyśliła się tego wszystkiego, co starała się sprawdzić na próżno w urzędzie miasta. I chociaż wracając, idzie do kuchni, maleńkiego pomieszczenia socjalnego bez okien, z lodówką, mikrofalówką i stołem, żeby stamtąd zadzwonić, nie telefonuje wcale na policję, ale do swojej matki.

– Mamo, to ja, słuchaj, wyskoczyło mi coś bardzo pilnego w pracy i jutro będę musiała wyjść znacznie później, niżbym chciała.

Potem telefonuje do córki:

– Cześć, kochanie, tu mama, słuchaj, obiecałam babci, że kupię owoce morza na jutrzejszą kolację, ale nie będę mogła odebrać zamówienia, bo mam robotę. Wyjdę z pracy dopiero pół godziny przed kolacją.

Potem dzwoni do sklepu rybnego.

– Salva? Tak, cześć, tu Amalia. Wszystkiego najlepszego... Tak, ja też, posłuchaj, jakie owoce morza będziesz miał jutro? Tak, wiem, wszystkiego po trochu, ale powiedz, po ile, to złożę zamówienie i jutro rano odbierze je za mnie Stefania, dobrze? Znasz moją córkę, prawda?

A na koniec do narzeczonego.

– Cześć, kochanie, co robisz? Nie, pytam, bo mam prośbę. Nic wielkiego, żebyś kupił turrón na jutrzejszą kolację. Miałam kupić sama... Potem ci opowiem. No twardy, miękki i czekoladowy... Tak, może być jutro rano, mam nadzieję, że się nie skończy. Dobrze, jak przyjdę, zrobimy listę zakupów. No to pa.

Panna młoda ma długie, związane włosy, a kucyk ukrywa za kołnierzykiem fartucha, bo szef nie pozwala, żeby którakolwiek z pracowniczek czymkolwiek się wyróżniała. Pan młody, który właśnie przyjechał z prawdziwego Szanghaju, wpatruje się w nią tak, jakby nie było na świecie innej kobiety. Teraz mogą pobyć chwilę razem na zapleczu, ona siedzi mu na kolanach i trzymają się za ręce, tylko dlatego, że menadżerka wyszła na chwilę do banku i na kawę, a on zaczyna pracę dopiero dwudziestego szóstego, w restauracji należącej do tego samego właściciela co zakłady manicure'u, które ochrzcił imieniem swojego rodzinnego miasta.

W tej właśnie restauracji mają wyprawić namiastkę wesela, samo przyjęcie, gdyż tak naprawdę wzięli ślub rok temu, przez pełnomocników, kiedy on był jeszcze w Chinach. Ale oboje podchodzą do sprawy bardzo poważnie. Dopiero w Boże Narodzenie ona zwolni pokój, który dzieliła z koleżanką w jednym z mieszkań dla pracowników bez rodzin. Ich szef ma takie mieszkania w dzielnicy Carabanchel. Dopiero wtedy zamieszka ze swoim mężem w Cuantero Vientos, również w mieszkaniu będącym własnością szefa – firma nie pozwala, żeby jej pracownicy wybierali samodzielnie swoje kwatery. Cena za małżeński pokój stanowi równowartość całej jej pensji, ale o wpół do jedenastej w nocy, kiedy już zamknie i posprząta lokal, będzie mogła zjeść posiłek w restauracji męża.

– Mam szczęście – wyznaje Amalii.

– Ma dużo szczęścia. – Kiwają głowami wszystkie koleżanki.

– Bardzo ją kocham – mówi po chińsku pan młody, a jego żona tłumaczy to na hiszpański pozbawiony odmiany przez czasy i osoby, niekończący się telegram, którym posługują się wszystkie. I dodaje, że kocha go jeszcze bardziej.

Siedząc na zapleczu, Amalia spogląda na młodą parę i na drużny.

– I jaki macie budżet na fryzjera?

Trochę jej wstyd, ale nie musi się wstydić, bo żadna z Chinek nie rozumie pytania.

– Ile możecie zapłacić? – pyta, pocierając kciukiem o palec wskazujący, a na twarzach wokół pojawiają się uśmiechy.

Panna młoda mówi coś do narzeczonego po chińsku. On z zadowoloną miną wyjmuje z kieszeni zwój banknotów po 50 euro, bardzo zniszczonych, związanych gumką, i pokazuje go Amalii z ostentacyjną dumą.

– Nie – wzbrania się ona, nie zastanawiając się głębiej nad tym, co mówi. – To za dużo.

Narieczona tłumaczy jej słowa, pan młody nalega, Amalia kręci głową, nie chce nawet myśleć, ile czasu zabrało temu młodemu chłopakowi, tak uśmiechniętemu, tak dumnemu, zebranie tej kwoty, którą trzyma w ręku; ile godzin snu, ile dni niedojadania, ile starych ciuchów i zniszczonych butów, i łez, i wściekłości, i desperacji musiał poświęcić. Dlatego tylko z uśmiechem kręci głową i odkrywa, na czym polega prawdziwy kryzys i w czym tkwi sekret manicure'u hybrydowego za osiem euro.

– Nie martwcie się – uspokaja potem swoje pracowniczki. – Zrobię to sama. Otworzę jutro o wpół do dziewiątej i mam nadzieję, że do dziesiątej zdołam uczesać trzy. To się robi szybko, umyć głowę, wymodelować, może też pomaluję im pasemka flamastrem, który schodzi po pierwszym myciu. Jeśli damy radę wcisnąć kolejne dwie przed czwartą, przynajmniej pomogłybyście umyć im głowy, potem idziecie do domu, a ja uporam się z dwójką, która zostanie. A w Boże Narodzenie o jedenastej przyjdę i upnę kok pannie młodej.

– Ale... – Marisol, która pracuje z Amalią długo, patrzy na szefową, jakby ta kompletnie zwariowała. – Ale czemu chcesz to zrobić? Co się stało tam naprzeciwko?

– Nic. – Amalia wie, że nie potrafi tego wyjaśnić słowami, więc nawet nie próbuje. – Życie jest wspaniałe, nie? I zarazem gówniane.

Żadna z trzech pomocniczek nie ma odwagi skomentować tego zdania, ale w dzień Wigilii Bożego Narodzenia o ósmej trzydzieści Amalia zastaje Lorenę czekającą na nią przed drzwiami lokalu.

– I tak w domu wszystko robi mama – mówi, jakby chciała się usprawiedliwić – a nie mogę pozwolić, by sama myła pani głowy.

W dzień Bożego Narodzenia, o pierwszej piętnaście, Amalia podaje pannie młodej lustro, by mogła obejrzeć swoje uczesanie z tyłu, a potem upina jej welon.

Guanyin przegląda się w lustrze i wybucha płaczem, wstaje i przytula Amalię. Po policzkach Loreny też spływa kilka łez.

– Przepięknie, szefowo. Wygląda naprawdę prześlicznie. Samej mi przyszła ochota, żeby wziąć ślub.

Guanyin wybiega w pośpiechu, bo nie chce, żeby Zhang, jej narzeczony, zobaczył ją przed czasem. Dziesięć minut później zjawia się on sam, elegancki, w nowiutkim smokingu kelnera, z białą różą w butonierce i zwiłkiem banknotów w kieszeni. Amalia umówiła się na sto dwadzieścia euro za osiem usług, rekord świata taniego fryzjerstwa, ale on kładzie trzy banknoty po pięćdziesiąt euro na ladzie i cofa się o krok, unosząc ręce, by pokazać, że nie zamierza przyjąć reszty.

– No dobrze, bardzo dziękuję. – Fryzjerka wyciąga rękę do Zhanga. – Życzę wam, żebyście byli bardzo szczęśliwi.

On trzykrotnie kiwa głową, jakby cokolwiek zrozumiał, i odchodzi. Potem Amalia staje przed kasą, chowa w niej pieniądze, które właśnie zarobiła, i wyjmuje trzydzieści euro.

– Masz, Loreno. – Podaje uczennicy. – To premia świąteczna.

– Ale nie trzeba, szefowo.

– Owszem, trzeba. Uczciwie zarobiłaś.

Amalia jest zmęczona i chętnie odpuściłaby sobie dzisiejszy obiad, ale zanim zgasi światła, zagląda do szafy i się uśmiecha.

Poprosiła Chinki, by każda z nich przyniosła ze sobą dwa kilo ryżu. Pan młody poczuł się w obowiązku przynieść kolejne dwa kilo i jego paczki wieńczą teraz wystającą ponad krawędź wielkiego pudła piramidę, doskonale stabilną i symetryczną, jak wszystko, co robią sąsiadki z naprzeciwka.

Amalia nie wie, co to za gatunek ryżu, bo napisy są po chińsku, ale czuje się tak dumna, jakby ktoś podarował jej osiemnaście kilo najprawdziwszego ryżu z Walencji.

Dwudziestego pierwszego grudnia wczesnym popołudniem Diana Salgado spogląda w lustro i dostrzega, że gęsta fioletowa kropla farby zostawiła jej ślad na czole. Wstaje i nerwowo rozgląda się na wszystkie strony.

– Ręcznik... – myśli głośno, ale jak zwykle zastanawia się dwa razy nad każdym krokiem – nie, ręcznik nie, ale co?, papier toaletowy, jeszcze gorzej, tylko się wszystko rozmaże, może wilgotny papier, nie, najgorszy pomysł, co mam zrobić?

I w końcu chwyta ręcznik, oczywiście biały, bo taki ma pod ręką, moczy koniuszek pod kranem, zmywa plamę i, jak można się było spodziewać, paćka wszystko: czoło, umywalkę, ręcznik, z którego trzeba będzie wywabić plamę.

Kiedy znów spogląda w lustro, tak bardzo pochłania ją widok, który ma przed sobą, że nie pamięta nawet o tym, by zerkać na zegarek i odliczyć dwadzieścia pięć minut, podczas których farba, oprócz zaplamienia czoła, powinna pokryć również odrosty i siwe włosy.

– No dobrze – zaczyna rozmawiać z kobietą, która patrzy na nią z drugiej strony lustra – powiedz mi, czy naprawdę muszę się tak wygłupiać? No powiedz, czemu ja to robię? Czemu nie mogę jak człowiek pójść do fryzjera, z siostrą albo przyjaciółkami, tylko odwalić tę prowizorkę, która nie starcza na długo i wygląda znacznie gorzej? Tak, wiem, chodzą plotki, że zamkną przychodnię, że przeniosą nas gdzie indziej i obetną nam pensje, ale przecież w tym miesiącu dostałam wypłatę. Tak, mniej niż w zeszłym roku i bez premii, ale dostałam czy nie? No jasne, że tak, ale farbuję włosy w łazience. Dlaczego? Bo mam troje dzieci. Tak, troje dzieci, jedno, dwoje, troje. Kto mi kazał mieć aż tyle? W tym kraju o najniższym na świecie przyroście naturalnym na ludzi z mojego pokolenia przypada mniej niż jeden potomek, a ja się rozpędziłam... Taka byłam sprytna! Ale któregoś dnia coś z tym zrobię. Oczywiście, że zrobię, tak dalej być nie może, nie ma mowy. Bo w tym domu wszyscy mają swoje prawa, wszyscy oprócz mnie, wszyscy mają swój czas wolny, bo ja mam tylko czas dla innych, a kiedy chcę coś zrobić dla siebie... Przeceny, mam? Naprawdę? Ale z ciebie tradycyjna pani domu... Nie mówiąc o odrabianiu lekcji... Czy naprawdę, mając czterdzieści pięć lat – piętnaście lat temu skończyłam medycynę, zrobiłam nawet doktorat – muszę każdego cholernego popołudnia odrabiać lekcje? Dobrze, że najstarszy jest już na studiach, chociaż właściwie na jedno wychodzi, bo jest taki sam jak ojciec, identyczny, szlag by trafił wszystkich facetów, inżynier aeronautyczny, a nie potrafi nawet żarówkę zmienić. Zresztą nie musi, skoro ja zawsze jestem na posterunku, muszę wgryzać się w formularze, chodzić na zebrania wspólnoty mieszkaniowej i zebrania rodziców, na rozmowy z wychowawcami, ale też zgłaszać awarie Internetu i wzywać mechanika, kiedy zepsuje się pralka czy lodówka. Mając męża inżyniera, właśnie tak.

Spogląda na zegarek i myśli, że siedzi już z farbą na głowie około

kwadransa. Przez pozostałe dziesięć minut nadal gada do lustra. Wspomina swój dawny plan ucieczki. Wszystko ma przemyślane, dopięte na ostatni guzik. To musi być niedzielne popołudnie, kiedy mąż będzie na meczu z przyjaciółmi, a dzieci na podwórku. W niedzielne popołudnie, a dzień wcześniej, w sobotę zaraz po śniadaniu, musi złożyć wizytę w banku. Przecież to również jej zadanie, wizyty w banku. A potem... Diana Salgado ma zwyczaj zastanawiać się nad wszystkim kilka razy, więc nigdy nie wcieliła swojego planu w życie.

Farba wygląda nieźle, o wiele lepiej, niż się spodziewała. Ostrożnie suszy włosy, podkreca końcówki lokówką, o którą tak błagała jej córka, zanim zrobiła sobie te ohydne dredy, a potem zawija sobie grzywkę na wałki. Kiedy kończy, jest wpół do dziewiątej, więc znów musi się spieszyć, ale godzinę później odwija wałki, chowa je do kieszeni fartucha, układa grzywkę rękami, przegląda się w drzwiczkach mikrofalówki, staje w drzwiach kuchni i krzyczy:

– Do stołu!

– A co jest na kolację? – Jedno.

– Co jest? – Drugie.

– Co jest? – Trzecie.

– Purée z warzyw – i w porę ucina pierwszą skargę – dla ciebie nie, dla ciebie sałatka ze szpinaku i pieczarek, a na drugie tortilla – i też udaje się jej uciąć drugą – dwie tortille, jedna z cebulą, druga bez. A wasz ojciec? Nic mnie to nie obchodzi, niech ktoś pójdzie go zawołać.

Poznaje kroki męża rozlegające się w korytarzu i kiedy myśli, że już jest w progu, odwraca się do niego.

– Tobie zrobiłam bulion z makaronem, nie lubisz purée.

– Ślicznie wyglądasz, Diano. – Odwraca się do dzieci. – Prawda, że mama ostatnio ślicznie wygląda?

– Masz do mnie jakiś interes? – On tylko się uśmiecha, a ona, sama nie wie czemu, odpowiada mu uśmiechem na ten uśmiech. – Trzeba coś załatwić, gdzieś zatelefonować, a może o czymś zapomniałeś?

– Nie, nie. – Diana widzi, że mąż mówi prawdę. – Przysięgam, że nie mam żadnego interesu. Przynajmniej w tej chwili, może troszkę później...

Pepe Martínez siada na swoim krześle, przyciąga do siebie żonę, opiera głowę na jej brzuchu, głaszcze ją po pupie.

– Trochę później może coś wymyślę.

Kurczę, gdyby mi się tak bardzo nie podobał, myśli Diana, wdychając zapach swojego męża. Gdybym tak bardzo nie kochała tego palanta...

Potem nalewa sobie kieliszek wina, spogląda na swoją rodzinę, na każdego z jej członków osobno, i myśli to, co zwykle, że sama jest wszystkiemu winna. To ona zmieniła ich w kompletnych nieudaczników, wyręczając ich we wszystkim, powtarzając sobie, że da radę... Ale z drugiej strony, jak miałyby żyć? W jakimś

odludnym domu na szczycie wzgórza, w białej sukni, nie robiąc nic a nic?

Dwudziestego drugiego grudnia okazuje się, że farba Diany była największym świątecznym wyzwaniem rodziny Martínez-Salgado. Nikt, nawet ona sama, nie przypuszczał, że tak się stanie.

– Ja w tym roku nie będę za dużo jeść, dobrze, mamó? A turróna nawet nie spróbuję, jestem na diecie.

Mariana kilka miesięcy temu bez uprzedzenia zerwała swoje długie narzeczeństwo z komputerem. Teraz spędza całe dni poza domem, rozprawiając o polityce, zmianie klimatu, zrównoważonym rozwoju i tym podobnych rzeczach, a brat zwykle jej wtóruje. To kolejna nowość, bo dawniej niemal wcale ze sobą nie rozmawiali, a teraz zgadzają się we wszystkim.

– Tato, pożyczysz mi marynarkę na sylwestra? W tym roku nie będziemy kupować biletów na żadne bale. Ojciec Matea użyczy nam lokalu obok garażu, który stoi pusty. I nie będziemy tyle pić, do dziś pamiętam zeszłorocznego kaca.

Pepe cierpi najbardziej, gdyż czuje się winny. Czuje, że jego niepokój jest owocem zwykłej męskiej dumy, lecz ta świadomość nie przynosi mu ulgi w cierpieniu. Nie pociesza go nawet fakt, że wciąż zarabia więcej niż żona, lekarka w państwowej przychodni, której obniżyli pensję i nie wypłacają jej dodatków. Jemu zabrali mniej, tylko dziesięć procent pensji, ale kiedy wysłuchał wzruszającego do łez przemówienia dyrektora o tym, jak firma oczekuje solidarności od swoich pracowników, o tym, że wszyscy muszą chwycić za wiosła, by łódź dopłynęła do portu, dostał tylko połowę świątecznej premii. I to jeszcze nie wszystko.

– Przysięgam, Diano, że ostatnio pięknie wyglądasz.

Po kolacji siadają razem na sofie w salonie. Dwaj synowie idą do pokoju najstarszego, żeby pograć na konsoli, a córka zamyka się u siebie, żeby jej komputer za bardzo się za nią nie stęsknił.

– Czegoś ode mnie chcesz, prawda? – Diana przysuwa się do męża, całuje go w usta, pozwala się objąć.

– Tak, chcę dokładnie tego, o czym myślisz, ale nie tylko... – Pepe poważnieje i patrzy jej w oczy. – Nie chcę, żebyś myślała, że tylko ci się podlizuję, bo naprawdę ostatnio świetnie wyglądasz. Ale mam złą wiadomość.

Diana denerwuje się tak bardzo, że zapomina o starej sztuczce męża, który zwykle wyolbrzymia wszystkie problemy, by w końcu nie wydawały się takie poważne.

– Co się stało? – Przypomina sobie dzisiejszą datę i odskakuje od męża, jakby poraził ją prąd. – Nie mów, że wylosowali twoją firmę na gwiazdkowej loterii, a ty zapomniałeś kupić los.

– Nie – wybucha śmiechem. – Oczywiście, że kupiłem los, nie wygraliśmy ani grosza. Poza tym rano powiedzieli nam, że w tym roku nie będzie świątecznego

koszyka.

– A, no dobrze, ależ mnie przestraszyłeś. – Diana uśmiecha się, znów przytula do męża i całuje go w usta. – Myślałam, że stało się coś poważnego.

Będzie z tym jednak kłopot, bo chciała wykorzystać te butelki wina i niezbyt wyszukane wędliny, jakie wcześniej dostawali w prezencie od firmy na wigilijną kolację. Ma trochę oszczędności, więc zdoła dokupić potrzebne produkty, ale tak naprawdę wolałaby tego nie robić. Postanowiła tego roku zaoszczędzić na jedzeniu, by móc kupić porządne prezenty na Trzech Króli. I nie zamierza wydawać na żadne głupstwa. Winny tym wszystkim oszczędnościom jest domek nad morzem, który kupili sobie trzy lata temu, kiedy słowo kryzys kojarzyło się z jakimś katastroficznym filmem, a dyrektor ich oddziału banku oferował kredyt dowolnej wysokości: może jeszcze trochę na remont i meble? ubezpieczenie? alarm?, a nie zrobicie basenu? Ale marzyli o tym domu od dwudziestu lat, a teraz...

– No dobrze. – Pepe Martínez obejmuje żonę w pasie i sadza ją sobie na kolanach. – Koniec złych wiadomości.

Dwudziestego trzeciego grudnia Diana Salgado rozradowana wchodzi do kuchni i uświadamia sobie nagle, że kwestia jutrzejszej kolacji nie obchodzi jej nic a nic.

Włącza ekspres do kawy, wyciska sok z sześciu pomarańczy i przez chwilę zastanawia się nad menu, o którym już wcześniej rozmyślała. Jak zwykle mówi do siebie.

– Jutro – szepcze, by dzieci nie śmiały się, jak za każdym razem kiedy ją na tym przyłapią – najpierw bulion, potem jakieś zimne dania, ale bez owoców morza, no, chyba że mrożone krewetki, a zamiast jagnięciny polędwica wieprzowa w cieście albo piersi kurczaka pod beszamelem, nigdy nie robiłam ich na święta, jest z nimi trochę roboty, ale są tanie i dzieciom bardzo smakują. Nie ma co myśleć o jakiejś wykwintnej rybie, a cava tylko w sylwestra, żeby wznieść toast noworoczny.

Nic nie jest ważne po nocy namiętnego, szalonego seksu, jaką zadedykowali z mężem dyrektorom FMI i Banku Hiszpańskiego, pocieszając się wzajemnie, ona jego, bo nie dostali bożonarodzeniowego koszyka, a on ją, bo trochę ją zabolalo, że go nie dostali. I co z tego?, pomyślała przed chwilą, spoglądając w lustro i stwierdzając, że wygląda świetnie, chociaż nie spała nawet czterech godzin. Jeśli mam wybierać między niezbyt smaczną szynką a tym... Chyba nawet wyślę życzenia szefowi Pepego.

I w tej chwili, o ósmej piętnaście rano, dzwoni telefon.

– Aurora! – Diana patrzy na numer, zanim odbierze. – Dzień dobry, kochana! – Zawsze była w bardzo dobrych stosunkach z teściową, ale dziś rano jest jej szczególnie wdzięczna za mężczyznę, którego wydała na świat. – Co słychać?

– Bardzo dobrze, córeńko. Dzwoniłam...

Diana słyszy w tle głos teścia: „No powiedz, powiedz jej wreszcie”.

– Tak, zaraz jej wszystko opowiem. Boże, co za niecierpliwy człowiek.

Diana milczy, pozwala teściowej odzyskać wątek.

– Przepraszam, dzwoniłam, żeby zapytać, co masz zamiar zrobić jutro na kolację?

– Nie wiem jeszcze, Auroro, ale nie martw się, z pewnością nie pójdziemy spać głodni.

– No tak, ale jesteś taka zajęta, masz tyle pracy. Pomyśleliśmy, że my przyniesiemy jedzenie.

– Nie ma mowy, Auroro. Dziękuję, ale naprawdę nie trzeba.

– A właśnie, że tak. Wczoraj wygraliśmy trochę na loterii, pozwól nam, ten jeden jedyny raz... Mam pomysł, zrób bulion, wychodzi ci taki pyszny i szybko go zrobisz, kupcie wino, no i turrón na deser. Resztę przyniesiemy my, dobrze?

Ale teściowa nie słyszy już w słuchawce głosu synowej, tylko dziwny odgłos, coś jakby przyssawkę.

– Diana? – Teraz słysząc coś podobnego do westchnienia. – Diana? Wszystko w porządku, córeczko?

– Pepe, zostaw mnie – słyszy po dłuższej chwili w odpowiedzi. – Pepe, daj spokój, spóźnię się do pracy. – A jeszcze później: – Daj mi przynajmniej dokończyć rozmowę z twoją matką! – I Diana w końcu się odzywa. – Auroro? Jesteś? Tak, bardzo ci dziękuję, teraz muszę już kończyć, bo... Pepe, idź obudzić dzieciaki, mówię serio... – Chociaż jej śmiech absolutnie temu przeczy. – Aj, oddzwonię później, i bardzo dziękuję za wszystko.

Tego ranka Pepe Martínez spóźnia się do pracy.

Diana Salgado nie, bo ma blisko do przychodni.

Zasłużyli sobie, myśli Diana, wyczytując pierwsze nazwisko z listy. Za to, że poskąpili nam bożonarodzeniowego koszyka.

Dwudziestego czwartego grudnia, o wpół do dziewiątej wieczorem, Diana ugotowała tylko garnek bulionu, posiekała drobno jajka na twardo, kurczaka i szynkę serrano. Poza tym przygotowała dwie tace, na jednej ułożyła kawałki turróna różnych rodzajów, a na drugiej polvorones i marcepanowe figurki.

– To będzie nasza kolacja, mamó? – Sądząc po jej rozczarowanej minie, Mariana zapomniała chyba o swojej diecie.

– Nie, nie martw się. – Diana jest bardziej zdenerwowana niż córka. – Dziadkowie nalegali, że to oni w tym roku przyniosą jedzenie.

– Ach tak? – W tym momencie rozlega się dźwięk domofonu. – Pójdę otworzyć, to pewnie oni.

Dziadkowie mieszkają wprawdzie w tej samej dzielnicy, ale tej nocy przed przyjazdem odbyli dość długą podróż.

Oboje przyszedli na świat w latach trzydziestych XX wieku. On pamięta

jeszcze szczegóły, dźwięki i obrazy wojny. Ona nie, ale kiedy przymknie oczy, może zobaczyć kartki żywnościowe swojej rodziny tak wyraźnie, jakby miała je w ręku.

Po wojnie nie wie im się dobrze. Pepe chce emigrować do Belgii, śladami swojego kuzyna Arsenia, bo co roku wyjeżdża do Francji na winobranie i za każdym razem kiedy musi stamtąd wracać, robi mu się smutno, a jeszcze smutniej na myśl o tym, że musi wrócić do Hiszpanii. Ale w pociągu, który miał być ostatnim, poznaje Aurorę, dziewczynę, która wyjeżdża jako kucharka hiszpańskich robotników i która nie chce mieszkać za granicą.

Od początku bardzo mu się podoba. Kiedy bliżej ją poznaje, podoba mu się tak bardzo, że wraca do Madrytu, żeby z nią zostać.

Ich pierwszym lokum jest wynajęty pokój, ich najstarsza córka przychodzi na świat, zanim mogą opłacić wynajem własnego mieszkania. On pracuje w czterech miejscach naraz. Ona nie tylko zajmuje się domem i wychowuje dzieci, szyje, pakuje do kopert ulotki reklamowe, wrzuca je do skrzynek pocztowych, robi filcowe laleczki, a w niedziele jeździ do wsi rodziców, żeby kupić warzywa, które sprzedaje potem z rozkładanego stolika ustawianego wczesnym rankiem przed targiem Barceló, za cichym przyzwoleniem kuzyna, który pracuje w straży miejskiej. I tak plotą się kolejne smutne dni i kolejne pamiętne noce. Tak wyglądało ich życie, ale teraz żadne z nich nie zamieniłoby go na inne.

– Ale... Mamo? Tato?

Dwudziestego czwartego grudnia, kiedy widzi, jak rozpakowują przyniesione przysmaki: najwykwintniejsze krewetki, tuzin utuczonych homarców, jamón ibérico, schab, wędzonego łososa i dwie jagnięce gicze – już upieczone, trzeba tylko podgrzać w piekarniku – ich syn patrzy na nich, jakby miał halucynacje.

– Czy wyście kompletnie powariowali?

– Nie, synu – odpowiada mu ojciec. – Problem polega na tym, że wy nie macie pojęcia, co oznacza słowo kryzys. Gdybym ci opowiedział...

– Przestań. – Jego żona uśmiecha się i obejmuje wnuczkę. – Nie zaczynaj z tymi swoimi kazaniami. Nikt ich nie chce słuchać.

Z początku Charo ma sprytny plan: opowie o wszystkim w Nowy Rok, nawiązując do symboliki tego święta: nowy rok, nowe życie.

Ale w sylwestra jej brat Pascual zaprasza na kolację całą rodzinę. I kiedy jej drugi brat, Alfredo, ściska ją i prosi o wybaczenie, że wcześniej jej nie wspierał, a bratanek Jaime obiecuje, że zrobi jej gratis stronę internetową, a siostra Ana zapewnia, że rozmawiała ze swoim szwagrem Sebasem, który jest pomocnikiem architekta, choć w tej chwili pracuje jako stróż, bo dotknął go kryzys, ale i tak obiecał, że zajmie się remontem domu, Charo jest tak wzruszona, że zaczyna pić bez umiaru.

Nie pamięta, kiedy ostatni raz wlewała w siebie alkohol w tym tempie. Z jednej strony bardzo się boi, z drugiej jest tak podekscytowana swoim pomysłem, że nie liczy kolejnych opróżnianych kieliszków. A o czwartej nad ranem, wciąż przekonana, że wszystko w porządku, wstaje i odkrywa, że się zatacza.

– Odprowadźcie mnie, proszę, do domu – mówi, chociaż siostra i jej mąż też nie są zbyt trzeźwi. – Chyba się upiłam.

Na szczęście mieszkają w tej samej dzielnicy i przyszli pieszo.

– Wejść z tobą na górę? – pyta Ana na schodach.

– Nie, nie. Czuję się już całkiem dobrze, dzięki.

Dobre samopoczucie wystarcza, żeby dowlec się do windy pewnym krokiem, za trzecim razem trafić kluczem do zamka, a potem w ubraniu zwalić się na łóżko, chociaż za którymś razem, kiedy wstaje do łazienki, by zwymiotować, przypomina sobie o tym, by zdjąć sukienkę. Budzi się i czuje, jakby ktoś wbił jej gwoździe w głowę, patrzy na zegarek i odkrywa, że jest piąta po południu, więc nie rozmawia z dziećmi w Nowy Rok, przekłada to na święto Trzech Króli, tak, szóstego z nimi porozmawiam, myśli, i znów zapada w sen.

Ale Trzech Króli było ulubionym świętem jej męża. I szóstego stycznia rano, gdy wszyscy rozpakowują prezenty, wspomina go i tak bardzo odczuwa jego brak, że rezygnuje. Mamy jeszcze święta, usprawiedliwia się przed sobą, w święta nie należy mówić takich rzeczy, poczekam jeszcze trochę, najpierw rozbiórę choinkę, sprzątnę dekoracje.

Z tego powodu, ale też dlatego, że umiera ze strachu i nie śpi po nocach, zaczęła aż do dziś, do dziesiątego stycznia.

– Poczekaj, nie pamiętam tytułu. – Jej córka przymyka oczy i marszczy brwi.

– Bo to, co opowiadasz, to scenariusz jakiegoś filmu, prawda?

Nie, to nie scenariusz, chociaż wszyscy widzieli podobne filmy: rodzina z miasta, która wyjeżdża na wieś, młody dyrektor ukrywa się przed mafią na jakiejś farmie albo samotna matka zajmuje nielegalnie opuszczone gospodarstwo... Oni też są rodziną. Ona, zanim ją zwolniono, też zajmowała kierownicze stanowisko w firmie farmaceutycznej, była dyrektorką działu marketingu, podróże służbowe, bilety w klasie business, noclegi w co najmniej czterogwiazdkowych hotelach. Ale

ma już czterdzieści dziewięć lat, nie jest samotną matką, lecz wdową, a dzieci już nie są małe. I nie są wcale samodzielne, wciąż musi łożyć na ich utrzymanie, chociaż syn w czerwcu uzyskał tytuł inżyniera agronoma i burzliwie rozstał się z narzeczoną. To jeden z kluczowych elementów planu, że syn nie ma już narzeczonej, ma za to odpowiednie wykształcenie.

– Ale, mammo, nie możesz mi tego zrobić.

Charo musi zdobyć się na nadludzki wysiłek, by nie wybuchnąć płaczem.

– Wybrałem te studia, bo się tym interesuję. Oczywiście, jest gospodarstwo dziadków, trzeba będzie kiedyś się nim zająć, ale stąd do przeprowadzki do rozpadającego się domu pod Toledo...

Ona bierze głęboki oddech i mówi prawdę bez ogródek, nie może sobie pozwolić na owijanie w bawełnę. Ta propozycja to nie jest plan A, gdyż plan B nie istnieje. Po prostu nie mają innego wyjścia. Jej kończy się właśnie zasiłek dla bezrobotnych, spadek po mężu nie rozwiąże wszystkich problemów; mogliby teoretycznie żyć jak dotychczas, póki nie skończą się im oszczędności, a potem wystawić dom na sprzedaż, a do czasu sprzedaży wynajmować pokoje lokatorom, nie spać po nocach, rozmyślając o tym, skąd wziąć pieniądze, jeść tylko ryż i makaron i z każdym kolejnym dniem iść trochę bardziej na dno.

– Moi dziadkowie żyli z tej ziemi. A przed nimi ich rodzice i rodzice tych rodziców. I jakoś udało im się przeżyć, lepiej lub gorzej, a dowód na to jest prosty: my przyszliśmy na świat. To dobra ziemia, gaj oliwny, winnica, sami zresztą wiecie. Moje rodzeństwo zgodziło się, żebym użytkowała je za darmo przez pięć lat. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, spłacę ich część, a jeśli nie... Zawsze będzie czas, by sprzedać gospodarstwo. Ja w każdym razie mam zamiar spróbować. To prawda, że dom wymaga remontu, ale też nie jest w ruinie, Enrique. A kiedy babcia umarła, Demetrio zadzwonił do nas, że chce przejść na emeryturę. Jest chory, nie daje już rady zarządzać gospodarstwem. Żal mu synów, którzy nie będą mogli płacić dzierżawy i zostaną na lodzie. Rozmawiał z nimi, powiedzieli, że są skłonni nadal pracować. Do tej pory sprzedawali plony spółdzielniom, które kupują tanio, robią przetwory, pakują w słoiki, naklejają ładne etykiety i sprzedają drogo. Dlaczego mamy nie robić tego sami? Jestem przecież specjalistką od marketingu...

– Lekarstw, mammo... – przypomina jej córka.

– Od marketingu – upiera się Charo. – Teraz wszystko sprzedaje się tak samo, wiem, co mówię. Więc jeśli się zgodzicie, zainwestuję w to pieniądze z polisy na życie taty, a jeśli nie, tylko połowę.

– Aj, mamusi. – Rosa wstaje z krzesła, przebiega przez salon, siada Charo na kolanach i obejmuje ją, jak wtedy gdy była małą dziewczynką. – Oczywiście, że zainwestuję wszystko, i wybacz mi, proszę.

A jako że plan nie jest filmowym scenariuszem, Charo jest gotowa pójść na ustępstwa. Wołałaby wynająć mieszkanie w Madrycie, ale Rosa jeszcze studiuje.

Proponuje jej więc, że jeśli obieca, że w lecie popracuje w gospodarstwie, pomoże, w czym będzie trzeba, to może zostać i żyć jak dotąd, mieszkać sama lub z...

– Ja jadę z tobą, mamó. – W godzinie próby inżynier agronom nie waha się ani chwili. – Możesz na mnie liczyć.

W noc przed przeprowadzką Charo nie może usnąć.

Pierwszej nocy w owym domu też nie. Nie może przyzwycząić się do nowego łóżka, ale przede wszystkim do zimna, mroźnego powietrza, lodowatej pościeli, poszumu wiatru wdzierającego się przez nieszczelne okna i odgłosów wsi, pohukiwania sów, które budzą ją za każdym razem, kiedy zdoła zapaść w lekki sen, i sprawiają, że cierpnie jej skóra.

Czeka też na opinię syna, który codziennie rano wyjeżdża samochodem i wraca z posępną, przygnębioną miną, a potem znów wyjeżdża po południu i wraca wieczorem, czasem zadowolony, czasem nie.

– No i jak? – pyta go Charo, czując w gardle gulę. – Co robiłeś?

– Nic, przyglądałem się. Chodziłem z Demetriem i jego synami po gospodarstwie, rozmawialiśmy o tym, co robili dotychczas i co można by zrobić.

– I co o tym myślisz?

– Jeszcze nie wiem, mamó. To duże gospodarstwo, muszę się uważnie wszystkiemu przyjrzeć, zanim ci coś powiem.

I tak w poniedziałek, wtorek, środę i czwartek, i piątek rano. W piątek przy obiedzie Enrique w końcu mówi Charo całą prawdę.

– Posłuchaj, mamó – zaczyna, zanim bierze do ust pierwszy kęs. – Najważniejsze, żebyś wysłuchała mnie spokojnie i się nie zniechęcała. Tereny są fantastyczne, od tego trzeba zacząć. Można tu zrobić wiele rzeczy, ale gospodarstwo jest fatalnie prowadzone. Demetrio to dobry człowiek, lecz nie ma zielonego pojęcia o współczesnym rolnictwie. Na połowie gruntów uprawia pasze, to nie do pomyślenia. Gaj oliwny trzeba posadzić od nowa, gdyż drzewka są stare, a ziemia wyjałowiona. Brakuje nam sprzętu, tutejsze maszyny mają pięćdziesiąt lat, uprawy są źle posadzone, nikt nigdy nie stosował tu płodozmianu. Przykro mi, ale jeśli chcemy to naprawić, musimy uznać ten rok za stracony. Musimy wszystko zmienić, zregenerować glebę, wymyślić od nowa uprawy, spokojnie opracować wykonalny i rentowny projekt, ale zrobimy to, mamó, jestem pewien, że nam się uda. Problem w tym, że na razie nie będziemy mieli pieniędzy na remont domu. Muszę dowiedzieć się, o jakie dotacje moglibyśmy wystąpić, ale obawiam się, że w tym roku musimy poprzestać na zakupie kilku grzejników – i w końcu wkłada widelec do ust. – Pycha! Tutaj na wsi ciągle jestem głodny.

– Ale... – Charo nie spróbowała jeszcze duszonego mięsa, bo nie ma apetytu. – Może w takim razie rozsądniej będzie o wszystkim zapomnieć, póki czas wrócić do Madrytu, sprzedać dom i...

– Co ty powiadasz? – protestuje oburzony Enrique, co w końcu ją uspokaja.

– Nigdy się na to nie zgodzę, to dopiero byłoby szaleństwo. Nie ma mowy, mamó, zostajemy, proszę cię tylko, żebyś dała mi rok. Zaufaj mi. A poza tym warzywniak już możemy uprawiać. Od dawna nikt się nim nie zajmował, ale ziemia jest niezła. Trzeba by go tylko przekopać, nawieźć. Jeśli chcesz, jutro możemy się za to zabrać.

Tego dnia, kiedy zbiera swoje pierwsze papryki, Charo zaczyna spać lepiej, mimo zimna, niewyjaśnianych hałasów, które budzą ją w środku nocy, i żalosego pohukiwania sów.

W końcu okazało się, że jej projekt miał tyle wspólnego z rzeczywistością, co scenariusz filmowy, gdyż jej życie nie przypomina w niczym tego, co sobie wyobraziła: spokojnej egzystencji pani w średnim wieku, która mieszka wygodnie w starym, pięknym domu na wsi, gdzie popołudniami staje na pobliskim wzgórzu, żeby nasycić wzrok krzepiącym widokiem obsianych pól.

Pomimo nowych grzejników w domu jest zimno jak w psiarni. Okna są równie stare jak meble, mają wypaczone ramy i przepuszczają lodowate powietrze, choć Charo stara się uszczelnić silikonem każdą najdrobniejszą szparę. Komórka łapie zasięg tylko poza domem, przed którym nie ma jeszcze ani ganku, ani ogrodu, bo zaplanowane przez syna wydatki pochłonęły wszystkie fundusze, a popołudniami, kiedy Charo rzeczywiście staje na wzgórzu, widzi tylko zaoraną ziemię, dziury po wykarczowanych drzewach i stare ogrodzenia. Ale praca w ogrodzie warzywnym sprawia jej przyjemność, a Enrique każdego ranka wydaje się coraz szczęśliwszy, a każdego wieczoru coraz bardziej zadowolony z tego, co robi, co cieszy ją nawet bardziej niż obserwowanie, jak rośnie jej sałata. Charo za wszelką cenę próbuje oprzeć się pokusie żalowania swojej decyzji.

Po kolacji siadają razem przed kominkiem, zawijają się szczelnie w koce i włączają telewizję, chociaż nigdy nie oglądają jej dłużej niż dziesięć minut, bo Enrique za każdym razem prosi ją, by wyjęła zdjęcia.

W trzech grubych albumach zawarta jest cała historia, historia tego gospodarstwa i ich rodziny, a on uparcie wpatruje się w pola uprawne, w drzewa, które widać za ludźmi na fotografiach, interesującymi go znacznie mniej.

– Widzisz, co ci mówiłem o kanałach melioracyjnych? Widzisz, mamó, wcześniej biegły tędy, mówiłem ci. Uważam, że to lepsze rozwiązanie, nie wiem, kto i po co to zmienił. O rany! – Tym razem jednak Enrique uważnie przypatruje się ludziom na fotografii. – A to dziadek? Ale przystojniak! Zapamiętałem go inaczej, o wiele brzydszego i łysego.

– Bo to nie dziadek. Albo... – Albo i tak, chce powiedzieć, ale w porę gryzie się w język. – To wujek Alfredo, który zdaje się...

Nie, nie teraz, myśli Charo. Kiedy zamieszkamy w domu jak z filmu. Kiedy wejdę na wzgórze i zobaczę zielone pola. Teraz jeszcze nie czas. Na razie i tak mamy zbyt wiele problemów na głowie.

– Zdaje się, że co?

– No, że był przystojniejszy od brata, nie uważasz?

Charo nigdy nie zdołałaby się przeprowadzić do tego lodowatego, zrujnowanego domu bez pomocy swojego brata Pas-cuala. To on porozmawiał z Aną, przekonał do pomysłu Alfreda, załatwił wszystko, a w zamian poprosił tylko o jedną rzecz: bo muszę to komuś opowiedzieć, Charo, musicie się o tym dowiedzieć, a ty jesteś najstarsza, więc pomyślałem...

– Dziwne. Wujek Alfredo? – Enrique patrzy na nią zdumiony. – Nigdy mi o nim nie opowiadaliście.

– Pewnie dlatego, że wyemigrował, ożenił się z Niemką i nigdy więcej nie wrócił do Hiszpanii. Tak naprawdę nawet go nie pamiętam. – Nie pamiętam tego człowieka, który, zdaje się, jest moim ojcem, myśli Charo, twoim prawdziwym dziadkiem. – Ale opowiem ci o nim przy innej okazji. Teraz chodźmy do łóżka, od nadmiaru świeżego powietrza okropnie chce mi się spać.

I wstając z kanapy, czuje, że będzie spać jak suseł, chociaż nie ma to nic wspólnego z wiejskim rytmem życia.

Bo w tamtej chwili, kiedy pytał o Alfreda, z otwartymi szeroko oczyma i niedomkniętymi ustami, Enrique przypominał tak bardzo swojego dziadka Pascuala, jedyne dziadka, którego znał, mężczyznę, który dla Charo jest i na zawsze pozostanie jej ojcem.

Ale jednocześnie tego wieczoru, w tym samym momencie, trzymając w rękach stary album ze zdjęciami, Charo uświadomiła sobie, że może myśleć z sympatią o Alfredzie, o namiętności, którą wzbudził w siostrze własnego brata, miłości łączącej ich przez kolejne letnie wakacje, a pamięć o ojcu wcale nie ucierpi na tej niespodziewanej czułości wobec jego starszego brata, mężczyzny, który począł wszystkie jego dzieci.

I kiedy kładzie się do łóżka, natychmiast zapada w sen, nie mając nawet czasu, żeby zastanowić się nad prawdziwymi powodami swojej bezsenności.

Spotkali się podczas rozmowy o pracę w swojej firmie, ale poznali się wiele lat wcześniej. Jaime pamięta o tym. Consuelo nie. On nie ma do niej żalu. Zdążył się już przyzwyczaić, że ludzie o nim nie pamiętają.

Jaime niczym się nie wyróżnia i pewnie dlatego nikt nie zwraca na niego uwagi. Nie jest ani wysoki, ani niski, nie zasługuje też na miano grubasa, chociaż nie jest chudy; ma kasztanowe włosy, brązowe oczy i okulary w rogowej oprawie, i styl chłopaka wychowującego się w rodzinie, która włożyła wiele wysiłku w to, by móc zaliczać się do tak zwanej klasy średniej. Ma tylko siostrę, więc od dziecka nosi ciuchy po swoich starszych kuzynach, zwłaszcza po synu cioci Charo – Enrique, starszym zaledwie o czternaście miesięcy, ale odkąd oboje dotarli do kresu burzliwego okresu dojrzewania, wygląda na kilka lat starszego niż Jaime. Kuzyn był zawsze od niego wyższy i szczuplejszy, dlatego do dziś Jaime nosi obszerne płaszcze zakrywające koszule, które musiał kiedyś wkładać. Płaszczami zasłaniał rozpinające się uparcie guziki odziedziczonych koszul. Do niedawna tak właśnie wyglądało jego życie: musiał się ukrywać, przemykać pod ścianami, nie zwracać na siebie uwagi. Dlatego do tej pory czuje się onieśmielony własną inteligencją.

Przez wiele lat jego wyniki w nauce szły w parze z fizycznym wyglądem: nigdy nie musiał powtarzać klasy, ale część przedmiotów zaliczał warunkowo we wrześniu, ku rozpaczy ojca, który nieustannie przypominał mu o własnej porażce, o tym, że nie chciało mu się studiować, kiedy był na to czas, i dopytywał, czy chce spędzić życie za barem. Jaime nigdy nie odpowiada, ale przez długi czas myśli o tym, że być może pisane mu jest odziedziczyć bar, zwłaszcza że na początku studiów nadal nie jest orłem.

Wybiera informatykę tylko dlatego, że piątkowe i niedzielne wieczory, kiedy uganiający się za dziewczynami kumple zostawiają go na lodzie, spędza samotnie w swoim pokoju. Przed komputerem czuje się nagle wybrańcem, kimś szczególnie utalentowanym, bystrym jak nigdy wcześniej, chociaż nie ma odwagi powiedzieć o tym nikomu. Na początku przedmioty teoretyczne sprawiają mu kłopot. Dopiero pod koniec, na dwóch ostatnich latach studiów, jego talent zwraca uwagę wykładowców. Mając ponad dwadzieścia lat, Jaime doświadcza po raz pierwszy przyjemności związanej z byciem dobrym studentem i przekonuje się, że smak tryumfu jest słodki.

Od tamtej pory jego rozwój jest odwrotnie proporcjonalny do rozwoju Consuelo, najładniejszej dziewczyny na roku, która zawsze otrzymywała noty celujące z przedmiotów teoretycznych, ale okazała się przeciętna we wszystkim, czego nie da się załatwić wielogodzinnym wkuwaniem. Nie pamięta go, kiedy aplikują na stanowisko w tej samej firmie, a Jaime uzyskuje najlepszy wynik ze wszystkich kandydatów. Pierwszego dnia w pracy wita się z nim tak, jakby go nigdy w życiu nie widziała.

Od tamtego czasu Jaime bacznie ją obserwuje, ale nawet po pierwszym awansie nie ośmiela się do niej podejść. Po drugim nabiera odwagi. Na ciężkich nogach schodzi dwa piętra niżej, męczy się przy tym bardziej, niż gdyby wtaczał pod górę wielki głaz, potem przechodzi przez korytarz, na którym wszyscy patrzą na niego tak, jakby wiedzieli, co się zaraz wydarzy, a w końcu wchodzi do jej stanowiska w *open space*. Consuelo uśmiecha się do niego najśłodszym ze swych uśmiechów, lepkiem jak guma do żucia.

– No bardzo mi przykro, serio! Tak, bardzo chciałabym pójść na targi informatyczne, ale mam teraz urwanie głowy! Nie mam czasu, żeby napić się kawy, naprawdę nie dam rady. Moja siostra wychodzi za mąż, wiesz, i muszę jej pomóc w przygotowaniach.

Ale kiedy Jaime wchodzi na targi informatyczne specjalnym wejściem dla akredytowanych gości, natychmiast zauważa uroczą parę, jaką stanowią Consuelo i dyrektor zasobów ludzkich, najprzystojniejszy z szefów, największy kobieciarz w firmie, i chociaż widmo kryzysu dopiero czai się na horyzoncie, już wtedy przystojny szef może pretendować do miana największego skurwysyna. Przechodzi obok, oni go nie zauważają, gdyż całują się namiętnie na środku korytarza. Jaime odwraca wzrok i przemyka pod ścianą, tak jak wcześniej. Tak jak zawsze.

Od tamtej pory nie ma zamiaru próbować kolejnych podchodów. W końcu w pracy wszyscy wychwalają go za inteligencję, zaczyna więc naprawdę w nią wierzyć i postanawia zachowywać się zgodnie z tą etykietką. Potem przychodzą kolejne awanse, a on, owszem, przygląda się jej czasem z oddali, ale tylko do momentu, kiedy ona zauważy to spojrzenie. Wówczas odwraca wzrok ku jakiegokolwiek innej kobiecie, choć kosztuje go to sporo wysiłku.

I w ten sposób upływa pięć lat, tyle samo, ile pięter dzieli teraz ich biurka.

I dziś Jaime myśli właśnie o tym, gdy widzi, jak Consuelo wkracza do jego gabinetu. Bo on ma już swój gabinet, z wielkim oknem, z którego rozpościera się widok z lotu ptaka na cały Madryt, nawet w ten pochmurny, dżdżysty styczniowy poranek, nie musi jak ona pracować w boksie z plastikowymi przepierzeniami, wciśniętym między inne, identyczne stanowiska, w ogromnej sali oświetlanej energooszczędnymi żarówkami. Nieczęsto się zdarza, że programiści z parteru, zajmujący się obsługą najpospolitszych stron internetowych, odważą się wkroczyć na Olimp piątego piętra, gdzie rezydują prawdziwi bogowie – programiści. A jednak Consuelo zdobyła się na odwagę i teraz stoi przed jego biurkiem, obdarzając go jednym ze swoich kauczukowych uśmiechów, tak bardzo rozciągliwych.

– No nieźle, Jaime, zajebiste to twoje biuro! Musisz być zadowolony, co nie?

– I siada naprzeciwko niego na krześle, zanim on zdołał otworzyć usta i zaproponować, by usiadła.

– Tak. – Tego ranka ma wreszcie odwagę spojrzeć jej w oczy. – Piękne

widoki. – Ale nie podoba mu się to, co w nich widzi. – A co u ciebie? Mogę ci w czymś pomóc?

– Nie, ja chciałam tylko... Od jakiegoś czasu myślę o tobie. Już nigdy cię nie widuję, nie jeździsz już tą samą windą co klasa robotnicza. – Zawiesza głos, żeby Jaime mógł się zaśmiać z dowcipu, ale on tylko delikatnie się uśmiecha i nie odzywa się słowem. – No i pomyślałam, że to szkoda, moglibyśmy się kiedyś spotkać, na kawę albo coś...

Jaime, który nadal jest mężczyzną dość przeciętnej urody, ani wysokim, ani niskim, chociaż dzięki ćwiczeniom na siłowni nie ma już ani grama nadwagi, i nosi okulary w oprawkach Trumana i ciuchy dobrej jakości, nowe i w odpowiednim rozmiarze, przygląda się jej bacznie i nadal widzi najładniejszą dziewczynę ze swojego roku, a teraz najpiękniejszą kobietę z parteru. Jest w tej chwili sam, a żadna z dziewcząt, z którymi się w życiu umawiał, nie dorównywała Consuelo urodą. Lecz Jaime, no właśnie, jest bardzo inteligentny i wystarczy mu kilka sekund, by właściwie ocenić sytuację. Bo to właśnie jego zdolność analitycznego myślenia, a nie specjalna winda, sprawiła, że znalazł się w tym gabinecie na ostatnim piętrze.

Jaime przygląda się Consuelo i w jednej chwili rozumie, że ta śliczna dziewczyna, która nie zdołała wyjść za mąż za żadnego z szefów, których uwiodła, znudzona zabezpieczaniem stron internetowych przed atakami hakerów, za chwilę skończy trzydzieści lat, zarabia niewiele, jej dział czeka redukcja personelu i nie ma żadnych widoków na poprawę sytuacji, no, chyba że poderwałaby najlepiej opłacanego programistę w całej firmie, tego niepozornego chłopaka, który zawsze się w niej podkochał.

– Oczywiście, że powinniśmy się częściej widywać – zaczyna i myśli, że życie jest okropne, po czym z bólem serca kończy zdanie: – Ale widzisz, Consuelo, w tej chwili jestem bardzo, ale to bardzo zajęty. Nie mam nawet czasu, żeby umówić się na kawę.

Na widok fasady obwieszanej transparentami, przypominającymi dziwne flagi, Fátima chwyta męża za ramię i już ma mu powiedzieć słuchaj, chodźmy stąd, to nie dla nas... lecz Ahmed, ich najstarszy syn, wszedł już do holu i idzie pewnym krokiem, jakby kroczył po czerwonym dywanie.

- Ahmed, chłopie!
- Co tam słyszeć?
- Dobrze, że przyszedłeś!
- Zobaczysz, jak Mariana się ucieszy.

Znają Marianę, bo jest koleżanką Ahmeda ze szkoły. Zaprzyjaźnili się tak bardzo, że Ahmed poprosił ją o pomoc z łatwością, która wprawiła jego rodziców w osłupienie, kiedy odebrali im karty ubezpieczenia zdrowotnego. Matka Mariany, lekarka w przychodni, spotkała się z nimi i była bardzo miła, zapewniła, że mogą nadal tu przychodzić, i dała im swój numer telefonu, żeby zadzwonili, jeśli będą mieli jakiś problem. Ale od tamtego czasu wiele się zmieniło. Fátima przechodziła niedawno obok ośrodka zdrowia i zauważyła, że całą fasadę zakrywają białe transparenty z napisami wykonanymi sprayem, podobne do tych wiszących na budynku, do którego właśnie weszli. Dobrze, że dotychczas żadne z nich nie zachorowało.

Nie poznają Mariany od razu, bo jest dość dziwnie ubrana. Zaczął się właśnie luty i oszukańcze, ostre słońce, niczym z kiepskiej reklamy, nie zmienia temperatury na termometrach – zaledwie dziewięć stopni, ale ona ma na sobie czarną koszulkę, elastyczną mini w lamparci wzorek i ażurowe rajstopy z takimi wielkimi dziurami, że równie dobrze mogłaby mieć gołe nogi. Nie pasują zupełnie do glanów z rozwiązanymi sznurówkami, ale najbardziej szokuje uczesanie: blond pasemka na czarnych włosach i do tego kilka dredów. Z początku Fátima spogląda na nią z zażenowaniem, ale przecież to przyjaciółka Ahmeda, tak dobra, że biegnie do niego w podskokach, wiesz mu się na szyi w sposób, który w rodzinnej wiosce Fátimy obligowałby ich do małżeństwa. Tutaj najwyraźniej nie, bo Santi, pochodzący z Ekwadoru, przytula się do nich i już ściskają się we trójkę, a potem w czwórkę, kiedy nadchodzi Edu, Hiszpan podobnie jak Mariana, i wyglądają teraz jak ludzka szyszka, stwór o czterech głowach, albo piłkarze szalejący ze szczęścia po strzeleniu gola.

– Bardzo się cieszę, że zdecydowaliście się przyjść. – Mariana wita się najpierw z ojcem Ahmeda, a potem z jego matką. – Będzie wam tu dobrze. Jeszcze nie mieliśmy czasu urządzić wszystkiego do końca, ale miejsca mamy w bród.

Szybko przekonują się, że mówi prawdę, gdyż na pierwszym piętrze tego opuszczonego hotelu przydzielono im dwie przestronne sypialnie, wychodzące na ulicę, i łączący je salon, w którym są nawet kanapa i niski stolik, świeżo odzyskane ze śmietnika. Nie ma łóżek, ale przynieśli własne materace kupione do swojego mieszkania w Pinto, które miało być ich największą radością, a stało się

najgorszym życiowym koszmarem.

Rodzice Ahmeda nie rozumieją jeszcze zbyt dobrze, co ich spotkało, czemu ten pracownik banku, tak sympatyczny podczas każdej wizyty, częstujący dzieci cukierkami, robiący na kartce długie wyliczenia, rzędy cyferek, zdających się do nich uśmiechać i puszczać oko, zmienił się nagle w głąz, w posąg, w maszynę powtarzającą w kółko: „nie”. Kiedy podpisywali umowę kredytową, położył sobie rękę na sercu i obiecał, że nie będzie żadnego problemu.

– Gdybym wiedział, że nie zdołacie spłacić kredytu, nigdy bym go wam nie udzielił. – I rozchylił usta w uśmiechu, ukazując uzębienie jak z reklamy pasty do zębów. – Chyba zdajecie sobie z tego sprawę?

Potem, kiedy ojciec Ahmeda stracił pracę, a jego żona połowę zleceń na sprzątanie domów, nigdy nie przypomniał sobie tych słów.

– Tak to działa, to nie moja wina. – Nie pokazał im tym razem swoich śnieżnobiałych zębów. – Zrozumcie, proszę, to bank, a nie fundacja dobroczynna, już wam to tłumaczyłem, kiedy udzielaliśmy kredytu. Albo państwo zapłacą, albo muszą wyprowadzić się z domu. Przykro mi, nic na to nie poradzę.

Podczas tamtej wizyty, kiedy błagali go o trochę więcej czasu, pożałował nawet cukierka dla dzieci.

Odkąd komornik zajął ich mieszkanie, prawie dwa miesiące temu, mieszkali kątem u znajomych. Mąż z jednym dzieckiem u jednych. Ona z najmłodszą córką u drugich. Najstarsi synowie w kolejnych dwóch domach, wszystkie należały do imigrantów z Maroka, pochodzących z tych samych okolic co ich rodzice. W końcu Ahmed umówił się na spotkanie z całą rodziną w barze przy Puerta del Sol.

– Posłuchajcie mnie uważnie, moglibyśmy znów zamieszkać wszyscy razem w zajęтым przez skłotersów budynku, w dzielnicy, gdzie znajduje się moja szkoła. Prowadzi je stowarzyszenie założone przez sąsiadów, mam tam wielu przyjaciół. To ci sami, od których dostałem paczkę żywnościową, którą przyniosłem wam w święta, pamiętacie ten dziwny ryż z chińskimi napisami?

Matka uśmiecha się, gdyż dobrze to pamięta. Ojciec jednak kręci głową.

– To nielegalne, Ahmedzie, to nie w porządku. Nie można przecinać kłódek i zajmować budynku tak po prostu.

– A to, co zrobili tobie, tato, jest w porządku?

Spoglądają na siebie wyzywająco, jakby za chwilę mieli się pobić.

– To, co ci zrobili, jest legalne, ale nie jest w porządku – tłumaczy płomiennie Ahmed. – Przez sześć miesięcy jedliśmy tylko ryż, oszczędzaliśmy na wszystkim, na czym mogliśmy, a nawet jeszcze bardziej, chodziliśmy w butach z dziurawymi podeszwami, odkładaliśmy każdy grosz... Postępowałeś zgodnie z prawem, i co ci zostało? Comiesięczny rachunek na czterysta euro, spłata kredytu za mieszkanie, z którego cię wyrzucili po tym, jak zapłaciłeś za nie siedemdziesiąt

tysięcy, więcej, niż jest teraz warte. Moi przyjaciele chcą ci pomoc. Pozwól sobie pomóc, tato.

Tak oto znaleźli się tutaj, w dziwnym budynku, pełnym dziwnych młodych ludzi w przedziwnych strojach i uczesaniach, i podobnych do nich rodzin: hiszpańskich i cudzoziemskich, latynoskich, słowiańskich, z Maghrebu i innych afrykańskich krajów, w labiryncie języków i kolorów skóry, przez który Edu, najlepszy przyjaciel Ahmeda od czasów przedszkola, prowadzi ich z uśmiechem na ustach.

– Zdobyliśmy dla was koce, jedzenie, przybory szkolne i zabawki dla dzieci, znajdziecie wszystko w pokoju. Mamy grupę ochotników, którzy odprowadzają je do szkoły, potem wam wytłumaczę, gdzie możecie zapisać swoje, albo jeśli chcecie, zrobię to za was. A za chwilę, kiedy już rozpakujecie swoje rzeczy, przyjdzie do was prawnik, żeby przyjrzeć się całej tej sprawie z hipoteką.

Rodzice Ahmeda wymieniają się spojrzeniami, ona unosi brwi, on z niedowierzaniem kręci głową. A jednak, pół godziny później, ktoś delikatnie puka do ich pokoju. Fátima spogląda wymownie na męża, który wstaje i podchodzi do drzwi. Stoi za nimi kobieta prawie czterdziestoletnia, w granatowym kostiumie, butach na niewysokim obcasie, z wieloma teczkami w rękach i miną osoby skutecznej, która działa szybko i nie traci czasu na błahostki.

– Dzień dobry. – Matka Ahmeda uśmiecha się szeroko. – Jak się macie?

– Całkiem dobrze, Fátimo, a ty? – Całują się na powitanie, nie bacząc na wzrok mężczyzny, który wpatruje się w nie podejrzliwie.

– To matka Edu – wyjaśnia mężowi Fátima. – Znamy się z zebrań rodziców, ze szkolnych przedstawień i innych uroczystości.

– To prawda, znamy się od dawna. Mam na imię Marita. – I wyciąga do niego dłoń, odsłaniając maleńkie zęby, o wiele brzydsze niż lśniąca uzębienie, które prezentował dyrektor oddziału banku. – Jestem matką Edu, a poza tym jedną z prawniczek związanych ze stowarzyszeniem. Potrzebuję wszystkich danych na temat waszej eksmisji. Przynieśliście papiery?

Przynieśli, gdyż Ahmed uprzedził ich, że powinni o to zadbać, że to bardzo ważne. Wręczają wszystkie dokumenty, a potem stoją nad nią objęci, nie mówiąc ani słowa, bez ruchu przez piętnaście minut, podczas gdy Marita notuje coś bardzo szybko, wypełnia formularze, przegląda papiery i tylko od czasu do czasu podnosi głowę i się do nich uśmiecha.

– Myślisz, że oddadzą nam mieszkanie? – Uśmiech tej kobiety ośmiela Fátimę, ale zaraz żałuje zadanego pytania, czuje się naiwna, wie przecież aż za dobrze, że to nigdy nie nastąpi.

– Nie. – Marita nie wydaje się mieć pretensji o tak głupie pytanie. – To zupełnie niemożliwe, nie chcę robić wam fałszywych nadziei. Będę natomiast wnioskować, by umorzyli wam dług, żebyście nie musieli dalej płacić za

mieszkanie, które wam odebrano.

– To i tak byłoby dużo – przyznaje Mohamed. – Bo prędzej czy później wyrzucą nas stąd, prawda?

– Tak. – Marita zdejmuje okulary, żeby na niego spojrzeć, i kiwa głową. – Prędzej czy później was wyrzucą, wyrzucą stąd nas wszystkich. Ale zajmiemy inny budynek, Madryt jest pełen pustostanów i rodzin, które znalazły się na ulicy. W każdym razie nie stanie się to jutro, a jeśli anulują wam dług, być może zdołacie wcześniej wynająć mieszkanie. Postaram się wystąpić dla was o mieszkanie komunalne, może się uda.

A potem wstaje, spogląda na zegarek, poprawia marynarkę i żegna się z nimi.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. – Podaje rękę ojcu, a potem serdecznie ściska i całuje matkę Ahmeda. – Obiecuję. Proszę was tylko, żebyście byli cierpliwi i nie tracili nadziei. Podobne sprawy zwykle wloką się w nieskończoność i wymagają wiele zachodu, gdyż adwokaci reprezentujący banki bardzo się starają, żeby nas zamęczyć formalnościami. Ale my się nie zmęczymy. Ani wy, ani ja? Zgoda?

Kiedy zostają sami w pokoju, rodzice Ahmeda obejmują się.

On nie bardzo może uwierzyć w obietnice prawniczki, ale po raz pierwszy od bardzo dawna czuje ulgę.

Ona nie, ją dręczy niepokój, niczym wiercący się gdzieś w brzuchu mały robaczek. Zaczyna się wiercić za każdym razem, gdy Fátima dostrzega, ile rzeczy potrafią zrobić kobiety i matki takie jak ona, którym dano możliwość studiowania, które pracują i osiągają więcej niż mężczyźni.

Co z tego? Chociaż skończyła studia, pracuje zawodowo, działa w stowarzyszeniu, i tak nie zdoła sprawić, by zwrócili im mieszkanie, myśli.

I ta myśl wcale nie poprawia jej humoru.

Kładą się do łóżka w milczeniu. Oboje są pewni, że wiedzą, o czym myśli to drugie, żadne z nich nie potrafi w tej chwili myśleć o niczym innym, jednak tylko spoglądają na siebie, uśmiechają się i przez długą chwilę nie otwierają ust.

– No więc...

Marisa nawet nie jest świadoma, że wypowiedziała głośno te słowa. Sądziła, że tylko przebiegły jej przez myśl, ale Roberto opiera się na łokciu, spogląda na nią i pyta:

– Więc co?

Dwudziestego trzeciego lutego 1981 roku ona ma dwadzieścia lat i studiuje. Roberto zaczął już pracować w gazecie, robi też doktorat i nadal jest szefem komórki partyjnej na swoim wydziale. Marisa uważa, że jest zapatrzony w siebie, próżny, żądny władzy; sądzi, że zdecydował się na doktorat tylko dlatego, by nadal kierować partią. W tamtym okresie nie lubią się tak bardzo, jak tylko może się nie lubić dwoje hiszpańskich lewaków działających w opozycyjnych sektorach tej samej partii, to znaczy nienawidzą się tak, że bardziej już nie można. Z tego właśnie powodu spotykają się tamtego popołudnia.

Zebranie nieuchronnie zmierza w kierunku dzikiej awantury, na którą zanosilo się zresztą od kilku miesięcy. Roberto zapowiedział, że zażąda usunięcia wszystkich członków grupy kierowanej przez Marisę, i wylicza powody, dla których należy usunąć ją z zarządu, kiedy nagle dowiadują się, że pewien pułkownik Gwardii Obywatelskiej wkroczył do Kongresu Deputowanych i ogłosił zamach stanu. Nawet na wieść o tym Roberto nie jest skłonny udzielić nikomu głosu. Rozwiązuje zgromadzenie i oświadcza, że uda się do siedziby partii, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, pozostałych uczestników odsyła zaś do domu.

– Jadę z tobą – mówi wówczas Marisa.

– Mowy nie ma. – Spogląda na nią z góry, z uniesionym podbródkiem, a ona musi z bólem przyznać, że do twarzy mu z tą arogancją.

– Grubo się mylisz. – Czuje taką wściekłość, że aż zacis-ka pięści; odchyła się do tyłu. – Reprezentuję znaczący odłam naszej komórki i nie możesz tak po prostu zepchnąć mnie na margines.

– Wspaniale. – Roberto podziwia kształtne piersi, których falowanie świadczy o wzburzeniu rozmówczyni. – Ale obawiam się, że musisz tam dotrzeć na własną rękę.

– Tak? Niby w jaki sposób? – Marisa próbuje opanować furię, przesuwa dłonią po głowie i kilka kosmyków, związanych wcześniej w kucyk, opada jej na twarz. Policzki stają się czerwone. – Słuchaj, nie zgrywaj dowcipnisa, wiesz przecież, że nie mam samochodu.

– No to będziesz musiała się przespacerować.

Im gorzej ją traktuje, tym bardziej się jej podoba. Kiedy Marisa uświadamia sobie tę prawidłowość, wpada w jeszcze większą furię, a im bardziej jest wściekła,

tym większe robi na nim wrażenie.

– Jak sobie chcesz. Ale wszyscy na pewno to dobrze zapamiętają.

Kłótnia się rozkręca, a Marisa nie potrafi skapitulować.

– Co takiego zapamiętają?

On też nie, a każda kolejna replika, którą wykrzykuje mu w twarz, podoba mu się jeszcze bardziej.

– Że jesteś żalonym mizoginem ślepo przywiązany do procedur.

– No chyba przesadziłaś!

Dopiero w tym momencie rozglądają się wokół i odkrywają, że są okrażeni przez wianuszek osłupiałych działaczy, dwadzieścia twarzy białych jak papier. Woźny, który przerwał kłótnię, pyta, czy naprawdę sądzą, że to najlepszy moment na sprzeczki zakochanych. Oboje czerwienią się po same uszy.

– Nie jesteśmy kochankami – wyjaśnia Marisa.

– Wręcz przeciwnie – uściśla Roberto. – Raczej się nie lubimy.

Woźny kategorycznym gestem rzymskiego cesarza wskazuje zgromadzonym drzwi.

– Wszyscy mają natychmiast opuścić budynek. To polecenie dziekana. Wydział będzie zamknięty, dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

Oboje schodzą po schodach w milczeniu, każde z nich otoczone wianuszkami własnych wielbicieli, on większym, Marisa mniejszym. Kiedy znajdują się na ulicy, ona idzie za nim do samochodu, nie pytając go o zdanie, on otwiera jej drzwi bez słowa. Zatrzymują się na pierwszych światłach i dopiero wtedy są zdolni przyznać się przed sobą, że umierają ze strachu.

– Nic się nie stanie, prawda? – Marisa pierwsza zdobywa się na odwagę. – Ale chyba powinniśmy zniszczyć archiwa...

– Tak, już o tym myślałem. – Po raz pierwszy od chwili, gdy się poznali, Roberto przyznaje jej rację. – Dlatego musimy zajrzeć do siedziby i dowiedzieć się, czy sytuacja naprawdę jest poważna.

Nie mają zbyt wiele czasu na pogawędki, bo Madryt zmienił się nagle w swoje własne truchło, teatralne dekoracje złożone z pustych ulic i widmowych budynków. Zniknęły samochody, zniknęli piesi, nikt nie wyprowadza psa na spacer, ani śladu po zakochanych parach, matkach z dziećmi ani starszuchach, którzy przesiadują na co dzień na ławkach w parkach. W cieniu majaczą tylko małe grupki przy wejściach do metra, jakby czekające na inwazję Marsjan lub nadejście Sądu Ostatecznego. Roberto i Marisa w mgnieniu oka docierają na miejsce. I nikt nie wita ich z otwartymi ramionami.

– A wy, co tu robicie? Nie blokujcie przejścia, co tu robią te dzieciaki? Lepiej niech idą do domu.

– Sam ich wyrzucić, co ja mam z tym wspólnego?

Zamykają się przed nimi jedne drzwi, drugie, trzecie, aż w końcu zostają

sami na pustym korytarzu.

– I co teraz? – pyta ona.

– Nie mam pojęcia – odpowiada on, a Marisa po raz pierwszy słyszy z jego ust te trzy słowa. – Mam znajomego, który pracuje na pierwszym piętrze. Chodźmy do niego...

Prowadzi ją schodami na pierwsze piętro i zdecydowanym ruchem otwiera drzwi do gabinetu, w którym nie ma nikogo. Na biurku panuje tak pedantyczny porządek, jakby jego użytkownik wyjechał na wakacje. Obok stoi obszerna czerwona kanapa, na której siadają, żeby poczekać. A że niedokładnie wiedzą, na co właściwie czekają, zaczynają rozmawiać. Tego popołudnia dzieje się wiele rzeczy, które nie zdarzyły się nigdy wcześniej, między innymi to, że udaje im się spokojnie porozmawiać. Po raz pierwszy w życiu nie skaczą sobie do gardeł.

Po chwili uświadamiają sobie, że całkiem dobrze się bawią, i przechodzą od poważnych tematów do flirtu. A że czują się sami na świecie, pozostawieni własnemu losowi w pustym gabinecie, w budynku, w którym nikt na nich nie czeka, bo nikt nie wie ani kim są, ani co tu robią, w dodatku pułkownik Tejero wziął szturm parlament i nie wiadomo, co przyniesie jutro, zaczynają się całować. Jest całkiem miło, więc całują się jeszcze raz. A ponieważ razem nie mają nawet pięćdziesięciu lat, sytuacja na czerwonej kanapie rozwija się w znacznie szybszym tempie niż wydarzenia w Kongresie Deputowanych.

W gruncie rzeczy zdążyła się już rozwinąć dwa razy, gdy drzwi sąsiedniego gabinetu się zamykają i słyszą bardzo dobrze znany obojgu głos. Słyszą go tak, jakby przemawiająca nim osoba znajdowała się w tym samym pomieszczeniu, a nie jak wtedy, gdy słyszeli go wcześniej, na mównicy jakiegoś stadionu, kiedy przemawiała do tłumu. Rozpoznają go oboje; oboje, jak na komendę, spoglądają w górę i widzą, że ścianka dzieląca gabinety nie sięga sufitu. W tej chwili Roberto boi się, że umrze ze wstydu, Marisa również, ale oboje są żywi, nadzy, objęci, nie ośmielają się powiedzieć ani słowa, ani nawet głośniej odetchnąć.

– Możesz mówić spokojnie – odzywa się drugi głos, też niestety znajomy. – Tu nikt nas nie usłyszy. Czy to prawda, że znaleźliśmy się wśród kandydatów na ministrów nowego rządu narodowego pojednania?

– Tak, ale pozwól, że ci wytłumaczę...

– Znaczy, że kompletnie upadliście na głowę?

– Nie, absolutnie nie, sytuacja jest bardzo...

Oboje słuchają przez chwilę tego, czego żadne z nich nie chce słyszeć, a potem znów Roberto całuje Marisę. Nie chce, żeby dotarły do niego kolejne słowa zza ściany, ona też uważa, że i tak usłyszeli zbyt wiele, dlatego odpowiada pocałunkiem tak namiętnym, jakby zegnała się z nim na zawsze. Potem on zaczyna pieścić jej piersi, a ona przesuwa rękę w dół i chwyta jego nabrzmiewający członek.

– Kit im w ucho! – szeptem Marisa, cicho kładąc się na kanapie.
– Kit im w ucho! – powtarza Roberto, bezszelestnie kładąc się na niej.
– Historia Hiszpanii rozgrywa się dziś na naszych oczach – stwierdza patetycznie przywódca, skłonny wejść w skład nowego rządu uformowanego przez generała. – Musimy stanąć na wysokości zadania.
– A żebyś wiedział – szeptem znów Marisa, a Roberto z trudem powstrzymuje wybuch śmiechu.

Kiedy dwaj członkowie zarządu partii opuszczają gabinet za ścianą, Roberto i Marisa wstają z kanapy, ubierają się, poprawiają włosy, a potem, utwierdziwszy się nawzajem w przekonaniu, że wyglądają w porządku, wychodzą osobno, ona pięć minut po nim.

Środki ostrożności okazują się zbędne, gdyż w drodze do wyjścia nie spotykają na swojej drodze nikogo. Kiedy oboje są już na ulicy, wybuchają wreszcie głośnym śmiechem, a potem znów instynktownie obejmują się i całują, jakby byli jedynymi ocalałymi w tym opustoszałym mieście, tak cichym, że sprawiało wrażenie wymarłego.

Żegnają się obietnicą, że następnego dnia wypiszą się z partii, ale żadne z nich w końcu tego nie robi. Bo następnego dnia wszyscy się przytulają, całują, gratulują sobie nawzajem, opowiadają heroiczne, egzaltowane historie, zupełnie nieprzystające do brudnej rzeczywistości, którą wydają się znać tylko oni, do wersji wydarzeń, którą poznali niechcący i przez ścianę.

Od tamtego dnia przez wiele kolejnych lat historia Hiszpanii przejeżdża przez ich pamięć niczym drogowy walec, niezawodna machina, tak doskonale naoliwiona, że chwilami nawet zaczynają wątpić w to, czego byli świadkami. Saldo tamtego wieczoru zmienia się w liczbę, która naznaczy ich życie. Nie wypisują się z partii, by oszczędzić sobie wyjaśnień, ale oboje składają dymisje ze swoich stanowisk, a sześć miesięcy później przeprowadzają się do wspólnego mieszkania. I mieszkają razem aż do tamtej nocy, kiedy znów wypada dwudziesty trzeci lutego.

– Nic, tylko – ona siada na łóżku i spogląda na męża – po tym dokumencie, który właśnie obejrzelśmy, przyszło mi do głowy... Tyle zamieszania wokół zamachu, a to, co usłyszeliśmy w tamtym gabinecie... Chociaż gdybyśmy powiedzieli prawdę, czy ktokolwiek by nam uwierzył?

– Chyba nie – śmieje się on, ale za chwilę milknie. – A może wszyscy, cholera wie. W końcu to prawda.

– Tak. – Ona znów się kładzie i przypomina sobie, że jest tylko bezrobotną dziennikarką i właściwie nie ma nic do stracenia. – Chociaż może...

– Może co? – Oczy Roberta znów błyszczą tak samo jak owego popołudnia.

– Nic, nic takiego – ucina Marisa radosnym tonem.

Ale potem nastawia sobie budzik na tę samą godzinę co kiedyś, gdy wstawiała godzinę wcześniej niż mąż, i następnego dnia budzi się w lepszym

nastroju.

Jeszcze zanim pójdzie do kuchni, by zaparzyć kawę, włącza komputer. Po śniadaniu myje zęby, twarz, nakłada krem i się ubiera. A punkt ósma rano Marisa Ferreiro zaczyna pisać książkę.

– Jaime, synku, co tam u ciebie?

– U mnie?

Jest czwarta po południu, wtorek i marzec. Dwa dni temu, jak w każdą niedzielę, jedli razem obiad, więc Jaime próbuje zgadnąć, po co też ojciec do niego dzwoni. Odpowiada, że u niego wszystko po staremu.

– Bo wiesz... – Pascual waha się przez chwilę, drapie się po głowie, nie wie, jak zacząć. – Masz pewnie dużo pracy. Ale chciałbym prosić cię o przysługę.

– No jasne.

– Nie bardzo mogę to wyjaśnić przez telefon, chciałbym zrobić to osobiście. Mógłbyś zajrzeć do mnie o wpół do dziewiątej?

– Koniecznie o tej godzinie? – Jaime wychodzi zwykle z pracy koło szóstej, a mieszka niedaleko pracy, za to spory kawałek drogi od baru ojca.

– Tak, bo... – W tym momencie w głowie Pascuala zapala się świeca na czerwono żaróweczka. – Nie mów, że wreszcie znalazłeś dziewczynę?

– Tato!

Krzyk rozlega się z ust jego córki Lucii, absolwentki filologii hiszpańskiej, która prawie dwa lata temu wyprowadziła się do narzeczonego, ale codziennie je obiad w barze z rodzicami, bo mieszka niedaleko, pracuje jako ekspedientka w butik Hali Targowej Fuencarral i zarabia miesięcznie osiemset dziewięćdziesiąt osiem euro brutto.

– Jak możesz być taki wścibski? Ciągłe wiercicie mu z mamą dziurę w brzuchu. Dałbyś wreszcie spokój!

– Nie, tato – mówi Jaime po drugiej stronie słuchawki. – Nie mam narzeczonej.

– Przepraszam, twoja siostra czasem...

– Wiem, wszystko słyszałem. Ucałuj ją ode mnie i nic się nie martw. Zajrzę o wpół do dziewiątej.

Pascual rozłącza się i zwraca do Lucii:

– Po prostu nie mogę tego zrozumieć. Jest taki mądry, taki dobry, ma świetną pracę, świetną pensję. Nigdy tego nie zrozumiem.

– Może woli być sam. A może wcale nie jest sam, umawia się z mnóstwem dziewczyn, tylko my o tym nie wiemy. A może...

I milknie, gdyż sama nie wierzy w to, co mówi, i nie znajduje żadnego nowego argumentu.

Pascual spogląda na nią i kręci głową. Ale nie odzywa się słowem.

Jesús nie od razu rozumie, o co chodzi.

Kiedy Pascual opowiada mu o nim po raz pierwszy, musi przyznać, że nie zna chłopaka, doskonale zna jednak ojca, Braulia, kelnera, który niemal co dzień przynosi mu coś do stolika, a to śniadanie, a to szklaneczkę piwa, albo patatas bravas, a od czasu do czasu dżin z tonikiem, nagrodę za dzień ciężkiej pracy.

– Pomóż mu. – Jesús spogląda w kierunku baru i widzi Braulia, jak pochylony nad tacą poleruje ją uparcie, mimo że błyszczy już jak generalskie ordery, i obserwuje go kątem oka. – Znam go od dziecka, wiem, że to przyzwoity chłopak, poważny, pracowity, odpowiedzialny, zapewniam cię, ale już od dwóch lat nie może znaleźć pracy i jest naprawdę zrozpaczony. Proszę cię tylko, żebyś dał mu szansę, nic cię to przecież nie kosztuje, prawda?

Jesús się waha. Porusza go widok ojca Toniego rzucającego ukradkowe spojrzenia znad polerowanej tacy, porusza go historia opowiedziana przez Pascuala, chociaż to pospolita opowieść, jaką mogą opowiedzieć tysiące Hiszpanów w jego wieku. Jesús już od jakiegoś czasu z przygnębieniem czyta gazety i mógłby po prostu odmówić, wstać i wyjść, ale jednak się waha. Bo chociaż jest menadżerem i pracuje w tym samym miejscu od dwudziestu lat, nie czuje się pewnie. W dzisiejszych czasach nikt nie czuje się pewnie.

– Słuchaj, Pascual, wiesz, że sytuacja jest trudna. Ale dobrze, niech przyjdzie do mnie jutro. Punkt dziesiąta. I niech się nie spóźni.

Za dziesięć dziesiąta następnego dnia poznaje dwudziestodwuletniego chłopaka, który rzucił szkołę średnią, żeby pracować na budowie, i przez jakiś czas zarabiał o wiele więcej niż jego ojciec, a potem trochę więcej, a później tyle samo, nawet mniej, aż w końcu nic a nic.

– Mogę robić cokolwiek, mówię zupełnie poważnie.

Tego samego ranka Jesús przeprowadza z nim rozmowę. Chłopak robi na nim dobre wrażenie. Na jego szefowej również. Oboje postanawiają sprawdzić, czy poradzi sobie w najślynniejszym w centrum Madrytu magazynie pasmanteryjnym, miniaturowym uniwersum wstążek i guzików, naszywek i suwaków, nici, ozdób i koronek, który szczyci się tym, że od ponad wieku można w nim dostać wszystko, co tylko ma do zaoferowania ten sektor. Pokazując magazyn, Jesús wyjaśnia, że praca na zapleczu jest wymagająca i skomplikowana.

– Masz. – Aby nie być gołosłownym, postanawia mu pokazać dlaczego. – W tej torebce masz dwadzieścia gramów piór. A tu dwadzieścia pustych torebek. Chcę, żebyś mi przygotował dwadzieścia torebek po gram piór w każdej. Dobrze? Czekam na ciebie na zewnątrz, przyjdź, kiedy skończysz.

Jesús zostawił kandydatowi bardzo dokładną wagę, ale z doświadczenia wie, że to zadanie jest trudniejsze, niż się wydaje. Większość aspirujących, tak jak on sam wiele lat temu, jest w stanie przygotować osiemnaście torebek, czasem siedemnaście, nieliczni dziewiętnaście torebeczek o właściwej wadze. Ale Toni przynosi dwadzieścia, ni mniej, ni więcej, dwadzieścia, a potem pracuje z tym samym skupieniem i dążeniem do perfekcji – po próbie z piórami przychodzi czas na cekiny, leciusieńkie, a potem musi poklasyfikować według rozmiarów i kolorów rozmaite dodatki krawieckie.

Jesús oddycha z ulgą, upewniwszy się, że syn Braulia przeszedł pomyślnie

najtrudniejsze próby. I za pierwszym razem, kiedy brakuje mu kogoś do obsługi klienta, idzie po niego, wręcza mu kalkulator, notes, plik paragonów, tłumaczy, że musi zapisać cenę na paragonie i wysłać klienta do kasy, a potem zapomina o sprawie.

Po południu, tuż po zamknięciu, kasjerka prosi go na chwilę i wyznaje, że stan kasy zupełnie się nie zgadza i nie rozumie dlaczego. Jesús też tego nie rozumie. Oboje wiedzą, że problem tkwi w nowym chłopaku, bo pozostali sprzedawcy mają wieloletnie doświadczenie i nigdy nie zdarzyło się nic podobnego, ale żadne z nich nie mówi tego głośno. Nie potrafią wyobrazić sobie przyczyny tego zamieszania, póki następnego dnia rano Toni, umierając ze wstydu, nie wyzna Jesúsowi prawdy.

– Jeśli powiem o tym szefowej, natychmiast cię wyrzuci – mówi Jesús, czując, że ta porażka będzie także i jego klęską oraz klęską Braulia, Pascala i połowy dzielnicy – bo w takim wypadku nie możesz pracować ani tu, ani w żadnym innym sklepie. Wiesz o tym, prawda?

– Nie, błagam – nalega Toni. – Obiecuję, że jakoś to rozwiążę, nie wiem jak, ale... Proszę, niech mi pan da szansę, tylko jedną, proszę.

– Mogę ci dać najwyżej tydzień na zapleczu. Tydzień i ani jednego dnia dłużej.

Bo chociaż Jesús wciąż nie może w to uwierzyć, problem tego uczciwego, sumiennego i pracowitego chłopaka polega na tym, że nie potrafi mnożyć ani dodawać ułamków dziesiętnych. To efekt uboczny hiszpańskiej bonanzy gospodarczej, tłustych lat, które wyciągnęły tylu uczniów ze szkolnych ławek, by posadzić ich w kabinie koparki. Toni nigdy nie był dobry z matematyki, rzucił szkołę nagle i zbyt wcześnie, nie nauczywszy się wielu potrzebnych rzeczy.

– Nie potrafię obliczyć ceny towaru ręcznie, a przy kalkulatorze denerwuję się tak bardzo, że ciągle się mylę. Nie robię tego specjalnie, przysięgam, staram się, ale mi nie wychodzi. Bardzo przepraszam.

– Nie masz za co przepraszać. Musisz po prostu przysiąc fałdów i wszystkiego się nauczyć.

Jaime zjawia się w barze i zastaje tam ojca i Braulia, siedzących przy stoliku z młodym chłopakiem, bardzo opalonym i przystojnym nawet w tej chwili, z zaczerwienionymi oczyma i opuchniętą od płaczu twarzą.

– Już jest! – Pascual z radości klaszcze w dłonie. – Jaime, to jest Toni. Jest synem Braulia i ma kłopoty, bo... Myślisz, że mógłbyś go nauczyć działań na ułamkach dziesiętnych?

– Działań na ułamkach? – Jaime nie rozumie. – Matematycznych?

Trzy głowy kiwają na potwierdzenie.

– Jasne, to bardzo proste, ale... dlaczego?

Zaczynają jeszcze tego samego wieczoru. Jaime potrafi uczyć, bo w czasie

studiów dorabiał sobie, udzielając korepetycji z matematyki. Spędza z Tonim prawie dwie godziny i zadaje mu pracę domową. Ma nadzieję, że będą mogli odbywać te lekcje na odległość, mejlowo, ale kiedy proponuje to uczniowi, na jego twarzy maluje się wyraz takiego strachu, że w mig pojmuję, iż w tym tygodniu nie będzie miał wolnych wieczorów. Nie bardzo mu się to uśmiecha, ale nie ma wyjścia, bo jeśli mu nie pomoże, chłopak straci pracę z jego winy.

Następnego dnia Toni przynosi odrobioną pracę domową. Jaime nie znajduje wielu błędów, ale nie zmienia systemu: sto działań z przesunięciem przecinka w barze i drugie tyle do domu. Trzeciego dnia, kiedy wyniki wszystkich działań dodawania i mnożenia się zgadzają, zaczynają rozwiązywać zadania.

– Posłuchaj, podyktuję ci zadanie z treścią: siedem haftek po 0,30, cztery metry wstążki po 0,48 za metr i dwanaście guzików po 0,80. Bez kalkulatora.

Tak upływają dwa kolejne wieczory, a piątego Jaime zadaje uczniowi na zmianę działania i skomplikowane działania tekstowe, i chociaż pozwala mu korzystać z kalkulatora, Toni dokonuje obliczeń bez jego pomocy.

– Brawo, kolego! – Jaime chwali go przy każdej okazji, a Toni trochę się czerwieni, ale nie bardzo, gdyż satysfakcja przeważa już nad wstydem. – Bardzo dobrze, jesteś bardzo pojętny.

– Może w końcu uda mi się skończyć szkołę...

– Oczywiście, że tak! Dobra, jedziemy z następnym... Siedem białych guzików po 0,47; siedem guzików złotych po 1,02; osiem brązowych po 0,72; siedem zielonych po 0,71; dziewięć niebieskich guzików po 1,13. Ile zapłacę za wszystkie?

Jeszcze zanim sprawdzi wynik, Jaime widzi, że do baru wchodzi drobna, szczupła dziewczyna; ma długie gęste włosy, wydatne usta i kieruje się prosto do ich stolika. Potem zdejmuje szalik, płaszcz, ukazując czarną sukienkę, dopasowaną w talii, i piękne nogi.

– Ty jesteś Jaime, prawda?

On kiwa głową, wstaje, pozwala się ucałować w policzki.

– Lorena, narzeczona Toniego. – Dziewczyna szybko przytula chłopaka i całuje go w policzek, bardzo blisko ucha. – Jak wam idzie? Muszę iść do łazienki, zaraz wracam.

Jaime odprowadza ją wzrokiem, a jego uczeń cierpliwie wraca do działań.

– Ale piękna! – mruczy pod nosem Jaime.

Toni go nie słyszy.

Pascual owszem, słyszy komentarz, ale pochyla się nad polerowaną tacą, która lśni tak, jakby była z czystego srebra.

Dziś jest poniedziałek i, jak w każdy poniedziałek, María Gracia wchodzi do baru przy stacji metra, gdzie o ósmej piętnaście zwykle je śniadanie, ale tym razem nie spotyka mężczyzny, który obserwował ją ukradkiem od ponad roku.

W zeszłym tygodniu zaglądała do baru o różnych godzinach. Codziennie rano zaczyna pracę od sprzątanía domu doñi Martiny. We wtorki może przyjść trochę później, ale nawet o dziewiątej nie spotyka go w barze. W środę przemierza cały Madryt metrem, z biura znajdującego się przy plaza de Castilla, które sprząta, by zajrzeć do baru w porze obiadowej, ale znów go nie ma. W czwartek Sofía nie ma nic przeciwko temu, by przyszła pół godziny wcześniej. Marity nawet nie uprzedza, nie ma takiej potrzeby, rankami dom zawsze jest pusty. A skoro nie musi nikomu się tłumaczyć, w piątek sprawdza w barze przy stacji metra aż trzy razy: o ósmej trzydzieści, kiedy leje deszcz, za kwadrans dziesiąta, kiedy już się przejaśniło, i o jedenastej dwadzieścia, kiedy świeci słońce. Ale niezależnie od godziny miejsce przy barze, które zdawało się należeć do niego, jest puste.

María Gracia myśli z początku, że nie ma się czym przejmować. Może znalazł pracę? Może się przeziębził? A może pokłócił się z właścicielką lokalu i teraz je śniadanie w innym barze. Jakiś głos w środku podpowiada jej, że to wszystko nieprawda, ale nie chce go słuchać, gdyż od dawna, zbyt dawna, nikt na nią nie patrzył.

– Może pójdziesz ty, Miguelu?

Tego ranka inspektorka Raquel Fernández zwraca się do agenta Ferreiry takim tonem, jakby nie sypiała z nim co drugą noc.

– Proszę cię o to, bo to twoja dzielnica, wiesz. – Kładąc notkę na biurku, ociera się o niego niby przypadkiem. – Sąsiedzi cię znają, to zawsze są bardzo delikatne sprawy...

– Ale co się właściwie stało? – Muska jej dłoń palcami, podnosząc kartkę.

– Nie wiadomo. Sąsiadka z góry dzwoniła dwa razy. Mówi, że nie widuje go od kilku dni, że jego kot zaczął miauczeć, chociaż dotąd zachowywał się bardzo cicho.

Ángela de la Torre, od lat podkochująca się w Miguelu, podnosi głowę, a Ferreiro pospiesznie cofa dłoń.

– Poprosiliśmy ją, by zadzwoniła do drzwi, zawołała go po imieniu, ale nie odpowiedział.

– Rozumiem – podsumowuje Miguel. – Denat jak się patrzy na dobry początek tygodnia.

Inspektorka milczy, ale Miguel w jej oczach dostrzega obietnicę, że jeśli rzeczywiście będzie miał pecha i znajdzie trupa, to ona osobiście mu to wynagrodzi.

– De la Torre, idziemy!

Agent Ferreiro przypomina sobie, że właśnie zaczęła się wiosna, i opuszcza

komisariat w znacznie lepszym nastroju.

We wtorek poprzedniego tygodnia Antonio García już nie wychodzi na ulicę.

Kiedy się budzi, wstaje, idzie do łazienki, a potem przeszukuje wszystkie kieszenie ubrań, które miał na sobie poprzedniego dnia, opróżnia szufladę nocnego stolika i układa pieniądze na kołdrze. Ma w sumie dwieście trzydzieści osiem euro. W zeszłym tygodniu wydawały mu się fortuną. Dzisiaj już nie.

Poprzedniego dnia wieczorem, kiedy dzwonił do siostry, telefon odebrał szwagier. Dość tego, powtórzył mu nie wiadomo który raz. Wypomniął, że jest leniem, próżniakiem, skurwielem, i że koniec, tym razem naprawdę koniec. Antonio słucha tych słów, ale teraz brzmią inaczej niż dotąd. Bo tym razem Rosario nie staje w obronie brata, nie wykrzykuje mężowi, że nie ma racji, tym razem Antonio nie słyszy jej trzaśnięcia drzwiami.

Antonio bardzo długo nie może zasnąć, wypijając ostatnią butelkę z kosza bożonarodzeniowego, który ukradł sprzed sąsiedniej klatki schodowej kilka dni przed świętami, kiedy kurier rozmawiał przez domofon z adresatem przesyłki – głuchym jak pień staruszką. Już na swojej klatce Antonio słyszy krzyki kuriera, Bogu ducha winnego Kolumbijczyka, który zapewne przez niego straci pracę, ale szybko chowa się w swoim mieszkaniu na parterze, włącza na cały regulator kolędy i słucha ich przez bite trzy godziny.

Tamtego popołudnia nie rozpakowuje nawet celofanu. Czuje, że upadł bardzo nisko. Upadł na samo dno, chociaż jeszcze wtedy pociesza się myślą, że następnego dnia zwróci swój łup. Ale kiedy zapada noc, ma ochotę się napić, i pragnienie jest nie do opanowania, szybko więc przekonuje samego siebie, że jeśli wypije jedną butelkę wina, i tak nikt się w tym nie zorientuje. Jeszcze przed odwinieniem celofanu otwiera kopertę i przekonuje się, że nadawcą przesyłki jest bank, a banki, jak wiadomo, nie wybaczą. Jeśli go zwróce, na pewno mnie złapią, myśli, wyrzucając do śmieci kartkę i celofan. Udziela sobie rozgrzeszenia – to nie moja wina, los tak chciał – a potem rozpakowuje koszyk i starannie wybiera jedną butelkę, otwiera ją i nalewa sobie pierwszy kieliszek.

Zjada wiktuały z koszyka przez prawie miesiąc, bo w ogóle mało je. Wina i likiery kończą się o wiele wcześniej. Pije za dużo, ale ostatniej butelki nie kończy; słodki i gęsty likier anyżkowy pozostawia na języku gorzki posmak, od którego robi mu się smutno.

We wtorek wieczorem nadal mu nie smakuje, ale pije, czekając cierpliwie, aż oddzwoni do niego siostra.

Nadchodzi świt, a telefon milczy.

W piątek w poprzednim tygodniu, o jedenastej dwadzieścia, María Gracia wchodzi do baru nieopodal stacji metra, w którym widywała go wcześniej codziennie.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! – pozdrawia ją Mari Carmen zza

kontuaru. – Myślałam, że już dzisiaj nie przyjdiesz.

– No tak, bo...

– Wydawało mi się, że przechodziłaś tędy wcześniej – mówi, wsypując kawę do ekspresu. – Tak za kwadrans dziesiąta?

– No tak, bo... – tym razem kończy zdanie, gdyż przygotowała je sobie zawnazsu – moja pracodawczyni zapomniała czegoś z domu, musiałam zejść i jej to przynieść.

– Porras się skończyły.

– Ojej. Trudno, daj mi churros. – W tej chwili automat do gry zaczyna wygrywać radosną melodyjkę.

Serafín, od dłuższego czasu na bezrobociu, który wcześniej rozmawiał czasami z mężczyzną szukanym teraz przez nią, wybucha głośnym śmiechem i przygląda się wypluwanym przez automat monetom. Zbiera je co do jednej, podchodzi do kontuaru, zamawia kawałek tortilli i kieliszek riojy, a potem starannie układa monety w kupki.

– Trzysta czterdzieści euro – oświadcza w końcu. – Całkiem nieźle. Ale kiedy wygram więcej...

Jest taki szczęśliwy, że María Gracia zbiera się na odwagę i wtrąca:

– Będzie pan mógł zaprosić na coś kolegę, prawda?

Serafín patrzy na nią, jakby nie miał pojęcia, o czym ona mówi.

– No, tego pana, co wcześniej przychodził tu na śniadanie, a teraz nie pokazuje się wcale.

– Antonio? – María Gracia nie odpowiada, ale właścicielka, która obserwowała zza lady milczącą sielankę, kiwa głową. – Nie mam pojęcia, co się z nim stało. Wiesz coś o nim, Mari Carmen? Nie widziałem go tu co najmniej od dziesięciu dni.

– Może znalazł pracę?

– Antonio? – pyta znów Serafín, szeroko otwierając oczy.

Mari Carmen kręci głową z powątpiewaniem.

– Policja. – Na widok rozsuwających się kratki starego wizjera, takiego, jaki przetrwał jeszcze w domu jego matki, Miguel Ferreiro przedstawia się łagodnym tonem. – Dzwoniła pani do nas dziś rano?

– Momencik. – Najpierw rozlega się trzask zamykanego judasza, potem odpinanego łańcucha. – Ja skądś znam ten głos! Jeśli się nie mylę, ty jesteś... Miguelito Ferreiro! To naprawdę ty! Jakże się cieszę!

– Doña Paula! – Miguel z trudem wymawia imię swojej nauczycielki z podstawówki, podczas gdy ona przytula go tak mocno, jakby chciała go udusić. – Jak się pani miewa? Widzę, że nie tak źle!

– Nie narzekam, kochany. – I wyciąga ręce ku twarzy Miguela, by uszczypnąć go w policzki. – Świetnie wyglądasz, Kudłaczku! Proszę, wejdźcie.

Miguel stara się unikać wzroku swojej towarzyszki, ale słyszy za plecami jej chichot i już wyobraża sobie drwiny kolegów z komisariatu.

– Może usiądziesz przy stoliku? Właśnie rozpałam w piecyku, jest ciepłutko. Ty też, córeńko. Napijcie się czegoś?

– Dziękujemy. – Ferreiro siada i gestem wskazuje Ángeli miejsce obok siebie. – Jesteśmy w pracy, pani Paulo. Pamięta pani, że dziś do nas dzwoniła?

– Oczywiście, że pamiętam, ale jestem taka wzruszona, Miguel, tak świetnie wyglądasz w mundurze. Twoja mama słowem się nie zająknęła, że pracujesz w policji, a przecież spotykam ją na targu od czasu do czasu. – Agent pochyla się ku niej na krześle, a staruszka w mig pojmuje znaczenie tego gestu i nie daje mu dojść do głosu. – Tak, martwię się bardzo o Antonia, sąsiada z dołu, bo nie widziałam go już od dobrych kilku dni.

– No właśnie? Zna go pani dobrze? Wie pani, czy ma jakiś problem?

– Jakiś problem? – Doña Paula wydyma usta i porusza ręką, jakby się wachlowała. – Biedak ma je wszystkie, wszystkie problemy tego świata i jeszcze jeden więcej. Znam go od dawna, bo wiele lat temu, kiedy mieliśmy jeszcze dozorczynię, była nią jego siostra i dlatego teraz jest właścicielką stróżówki. Antonio pracował w metrze, w warsztatach, ale go zwolnili, nie znalazł innej pracy, rozstał się z żoną, skończył mu się zasiłek, i tak dalej, i tak dalej, ta sama co zwykle historia. Kilka miesięcy temu wprowadził się tutaj. Siostra zostawiła mu mieszkanie, chociaż nawet nie można tego nazwać mieszkaniem, zwykła klitka i tyle, maleńka sypialnia, łazieneczka, mikroskopijny kącik kuchenny i pokój, z którego wychodzi się na klatkę schodową, siedziała w nim kiedyś dozorczyń. Ale teraz chcą go wyrzucić. Kilka dni temu był z wizytą jego szwagier i zrobił karczemną awanturę, bo chcą wynająć to mieszkanko, wyobraź sobie, nie ma nawet trzydziestu metrów... – Doña Paula kręci głową, a policjanci rozumieją, że jest po stronie najemcy. – Nie mówię, że nie mają prawa, bo oczywiście mieszkanie należy do nich, i pewnie też nie jest im teraz lekko, nikomu nie jest, ale... Gdzie ma się podziąć ten biedak? To przyzwoity człowiek, wiem, co mówię, porządny chłop, ale spotkało go nieszczęście i zaczął pić... Rozumiesz, Kudłaczk, prawdziwa tragedia.

– Tak... – Teraz Ángeli wcale nie jest do śmiechu. – Każdego dnia widzimy takich kilku.

W środę Antonio García wychodzi z domu i kupuje sześć butelek whisky single malt, najlepszej, jaką znajduje, najdroższej, na jaką może sobie pozwolić: za dwieście trzydzieści osiem euro. Jedzenia nie kupuje, nie warto. Nie będzie mu potrzebne.

W środę Antonio pije i myśli, pije i podejmuje decyzję, pije, oblatuje go strach, pije, zastanawia się nad innym wyjściem z sytuacji, pije. Ma pięćdziesiąt sześć lat, skończył jedynie podstawówkę, w życiu pracował tylko jako mechanik

w metrze, pół roku temu przestał otrzymywać zasiłek dla bezrobotnych, jest alkoholikiem, nie ma dzieci ani rodziców, ani żadnych innych członków rodziny, za których czułby się odpowiedzialny, nie zna żadnego prawnika, kiedyś pytał o zasiłki integracyjne, czterysta euro, które dostaje tyle osób, ale usłyszał, że takie świadczenie absolutnie mu nie przysługuje.

Nie pytał nigdy więcej. Nie ma szans na znalezienie innej pracy. Nie ma też odwagi, by zamieszkać na ulicy, sypiać w schroniskach i żebrać. Wprawdzie nigdy tego nie próbował, ale wie, że by nie potrafił, chociaż w środę, kiedy pada na łóżko pijany i w ubraniu, nie ma najmniejszej ochoty umierać.

W czwartek natomiast budzi się, nie mając ochoty żyć. W czwartek znów pije i podejmuje decyzję, pije i oblatuje go strach, pije i dzwoni do siostry. Nie dodzwania się do niej, gdyż wyłączono mu telefon. Ten skurwysyn szwagier musiał go odłączyć. Jego sypialnia jest bardzo ciemna, ale rankiem wpada do niej trochę słońca. Antonio zakłada się z samym sobą, że szwagier odłączył też prąd, i naciskając na włącznik, przekonuje się, że miał rację. Siada w stróżówce, otwiera okno wychodzące na klatkę schodową i smugę światła wpadającą z ulicy i powiększającą się za każdym razem, kiedy ktoś wchodzi do budynku i mija stróżówkę, pije, podejmuje decyzję, pije, oblatuje go strach, pije dalej. Kiedy kładzie się spać, odkrywa, że nastąpił pewien postęp. W czwartek w nocy też nie ma ochoty dłużej żyć.

W piątek pije, podejmuje decyzję, pije, nabiera pewności, że jest słuszna, pije, nie ma wątpliwości, pije. Przykro mu z jej powodu. Tylko jej mu szkoda i kiedy o niej myśli, przestaje pić, by móc skreślić kilka linijek. Szuka kartki i długopisu, otwiera drzwi i wychodzi na klatkę schodową, zapala światło i pisze list pożegnalny tylko do niej, na odwrocie zawiadomienia o rozwiązaniu umowy o dostawę energii elektrycznej, które jakiś pracownik firmy wsunął w szparę pod drzwiami.

BAR MARI CARMEN, pisze wielkimi literami i podkreśla napis.

METRO BILBAO, też wielkimi i też podkreślone.

Nie wie, jak nazywa się adresatka listu, pisze więc „Do Niej”. Wtedy gaśnie światło. Wstaje do włącznika, zastanawiając się, co właściwie napisać.

„Bardzo mi przykro. Przykro mi, że Cię nie poznałem. Chciałbym bardzo, bo bardzo mi się podobasz. Ale nie mogę już dłużej”, pisze.

A potem: „Antonio”, bez nazwiska, parafki, małymi literami.

Musi się napić, koniecznie i natychmiast, ale wie, że najpierw musi zrobić coś jeszcze. Wchodzi do kuchni, po omacku szuka opakowania środków uspokajających, które przechowuje od roku, od czasu gdy Rosario zawiozła go do przychodni, gdzie bardzo miły lekarz wręczył mu je i zapisał do narodowego programu walki z alkoholizmem. Nigdy więcej tam nie poszedł, ale nie wyrzucił leków i pamięta dokładnie, gdzie je schował. Znajduje je, w ostatnim przebłyску

świadomości stwierdza, że się przeterminowały, ale trudno, teraz nie ma to już znaczenia.

W piątek wieczorem Antonio otwiera ostatnią whisky i połyka trzy garści pigułek na uspokojenie, popijając alkoholem.

Potem pije dalej, ale nie ma już czasu, by skończyć butelkę.

W poniedziałek agent Ferreiro wyjmuje najpierw wytrych, lecz po chwili zastanowienia popycha okienko stróżówki, które otwiera się samo. Wystarczy wsunąć przez nie rękę, otworzyć zasuwę, a potem drzwi.

– Może pani zostać na zewnątrz, pani Paulo. – Agentka de la Torre wchodzi za kolegą. – Poradzimy sobie.

Wówczas wpada na pustą butelkę i omal się nie przewraca.

– Zapal światło, Miguela, bo się tu pozabijamy.

– Odłączyli prąd. – Miguel sięga po latarkę. – Już próbowałem.

Denat leży w łóżku na wznak. Światła dwóch latarek synchronicznie oświetlają jego ciało, poczynając od twarzy, nieco opuchniętej, na której maluje się jednak wyraz zadowolenia. Potem snopy latarek wydobywają z ciemności opakowanie po lekach na nocnym stoliczku, a w końcu złożoną na pół kartkę leżącą obok nich.

– Samobójstwo, prawda? – mówi Ángela.

– To oczywiste. – Miguel świeci na podłogę i stwierdza, że podeszwy jego butów są lepkie, bo wdepnął w kałużę whisky. – Tu masz list.

Agent Ferreiro spisuje protokół, a potem robi ksero z tajemniczego listu pożegnального Antonia Garcíi i wychodzi z komisariatu. Idzie w kierunku metra Bilbao, schodzi po schodach i zagląda do pierwszego baru, który napotyka.

– Dzień dobry. – Za kontuarem stoi dwóch młodych ludzi, ale nigdy nie wiadomo. – Czy to bar Mari Carmen?

– Tak – odpowiada jeden z nich. – To moja matka. – I odwraca się w kierunku wejścia na zaplecze, oddzielonego od baru kurtyną plastikowych wstążek. – Mamo!

Mari Carmen czyta i ma wrażenie, że zaraz się przewróci, nie może uwierzyć, poprawia sobie włosy, czyta raz jeszcze.

– Wie pani, o co tu chodzi? – pyta policjant. – Do kogo jest ten list?

– Tak... – I ociera łzy. – Rozumiem i wiem, do kogo jest adresowany. Mam go jej przekazać?

– Będę wdzięczny. I proszę jej powiedzieć, żeby wstąpiła do komisariatu. Nie zajmiemy jej nawet minuty, ale musi podpisać kwit, żebym mógł jej wydać oryginalny list.

Przed wyjściem z domu doñi Martiny María Gracia kicha trzy razy.

– Ubierz się ciepło, moja droga, i weź aspirynę na noc, chyba znów szaleje jakiś wirus. Każdej wiosny to samo. Przez całą zimę marzymy tylko o tym, żeby

wyszło słońce, a kiedy pogoda wreszcie się poprawia, wszyscy zaczynają chorować. I co roku od nowa ta sama historia.

María Gracia ma jeszcze do posprzątania mieszkanie Marisy, ale postanawia po drodze wstąpić do baru, przemyka jej bowiem przez myśl, że może on też złapał grypę, a teraz, po tygodniu w łóżku, doszedł już do siebie i będzie miał ochotę uczcić to kieliszkiem koniaku.

Marisa pisze i aż do wpół do piątej nie zauważa, że María Gracia nie przyszła posprzątać, a ona sama zapomniała o obiedzie.

Spogląda na telefon, widzi trzy wiadomości od gosposi i domyśla się, że jest chora, jak wszyscy, uznaje, że nie jest bardzo głodna, i nie odrywa się od pisania.

Adela schodzi do kiosku po gazety, a po powrocie do domu nie włącza radia.

Każdego innego dnia usłyszałyby przy śniadaniu głos swojego własnego wnuka. Dwa lata temu, kiedy Pepe i Diana kupili dom na plaży, ich pierworodny syn zdecydował, że spędzi lato w Madrycie, bo zakochał się bez pamięci w pewnej dziewczynie, a że nie umiał samodzielnie nawet usmażyć jajecznicy, przeprowadził się do babci. To wtedy Adela przejęła od niego zwyczaj słuchania tego zabawnego programu, którego zasadą jest nagrywanie z ukrytym mikrofonem ludzi niespodziewających się, że splątano im figła. Słucha go, kiedy w jej ulubionym programie radiowym rozmawiają o gospodarce albo przeprowadzają nudny wywiad. Odkąd spędzili razem tamto lato, Adelę i Josego łączy szczególna więź, której częścią jest ten program radiowy, nieznany całej reszcie rodziny.

Adela, emerytowana nauczycielka greki, za czasów, kiedy uczyła jeszcze w szkole, oddałaby wszystko, żeby tylko nie musieć wstawać wcześniej, ale teraz budzi się o tej porze co zawsze, nie nastawiając budzika. Jej rodzina i znajomi wiedzą dobrze, że wstaje wcześniej. A jednak kiedy telefon w jej mieszkaniu rozlega się o ósmej dwadzieścia, nachodzą ją złe przeczucia. Niepokoi się jeszcze bardziej, słysząc w słuchawce głos córki.

– Co się stało? – I nawet nie daje córce czasu na odpowiedź. – Przyjechali już? Mam tam pójść? Są jacyś zatrzymani? Diano, tak bardzo się denerwuję!

– Nie, mam, nie o to chodzi.

– Nie? – Adela nie rozumie, bo od dwóch tygodni Diana nie mówi o niczym innym, tylko o zamknięciu przychodni, które zgodnie z planem ma się odbyć tego popołudnia. – Oglądałam wszystkie prognozy pogody na wszystkich kanałach, przewidują zachmurzenie, ale bez opadów. Portierka mówiła, żebym zaniósła jajka klaryskom, że to zawsze działa, ale z moją reputacją w niebie raczej wywołałabym potop...

– Mamo, nie o to chodzi. Zaczekaj chwilę. Mariana! Opowiedz babci, w końcu to ty to słyszałaś.

– Cześć, babuniu! – Teraz to wnuczka nie daje jej dojść do głosu. – A stało się to, że ta kretynka, świnią, żmija ośmieszyła Josego przed połową Hiszpanii, i jeszcze potem go rzuciła.

– Mariano... – Adelę bawi nagła przemiana wnuczki.

– Wyobrażasz sobie? Zostawiła go! Ale z drugiej strony, nie ma się czemu dziwić, taka panienska z dobrego domu, faszystka, pewnie jeszcze głosuje na PP. I nosi różowe majtki w kwiatki! – nawija jak katarynka Mariana, która w pół roku zmieniła się z dziewczyny godzinami przesiadującej na YouTube w obrończynię sprawiedliwości społecznej. – Skąd o tym wiem, mam? Bo sama raz widziałam!

– Mariano... – Metamorfoza niepokoi rodziców i nie są do niej przekonani, ale babcia jest zadowolona i wie, że dziadek byłby z Mariany dumny.

– Na kogo głosuje? No, tego nie jestem pewna, ale chyba łatwo się domyślić.

– Mariano, proszę cię, opowiedz mi wszystko po kolei, bo nic nie rozumiem.

Adela dowiaduje się więc, że pół godziny temu Jose stał się bohaterem jednego z tych przyciężkich dowcipów, które bawią nas tak bardzo, kiedy nie robią ich nam. Jego narzeczona zadzwoniła do audycji, by wystawić na próbę jego wierność. Spikerka o słodkim głosie zatelefonowała do niego i po chwili niby niewinnego flirtu przekonała go, by się z nią umówił, a potem narzeczona oświadczyła mu na antenie, że go zostawia, bo to, co zrobił, jest równoznaczne ze zdradą.

– No to znakomicie – oznajmia Adela, kiedy jej córka odzyskuje słuchawkę.

– Dobrze, że mamy już z nią spokój, prawda?

– Aj, mamusiu, byłam pewna, że to powiesz. – Adela wyobraża sobie uśmiech na ustach Diany, jakby go widziała. – Posłuchaj, takie rozmowy wychodzą ci lepiej niż mnie, poza tym mam i tak zbyt dużo na głowie w związku z manifestacją. Powiedziałam Josemu, żeby poszedł dziś do ciebie na obiad, dobrze? Tak, Mariano, ty też możesz iść. Prawda, mamó, że może?

O drugiej zaczyna szykować obiad dla swoich specjalnych gości.

– Cześć! – Mariana zjawia się pierwsza. – Co tak ładnie pachnie?

– Cannelloni – odpowiada Adela, całując wnuczkę w dredy, doprowadzające jej matkę do rozpacz.

– Och, wspaniale!

Makaron jest z tych gotowych, wystarczy go włożyć na chwilę do gorącej wody. Pomidory z puszki, ale sos boloński przygotowała sama. To, co najbardziej pracochłonne, czyli sos beszamelowy, jest wyrazem miłości do wnuków. Nie robi go już prawie nigdy, chociaż zawsze wychodzi jej wspaniale.

Punktualnie o trzeciej dwudziestojednoletni Jose, student trzeciego roku medycyny, wchodzi do domu, powłócząc nogami jak skazaniec. Głowę ma spuszczoną, wzrok wbity w podłogę.

– Domyślałam się, że już wszystko wiesz.

Adela patrzy na niego i czuje nagły przyływ czułości na widok jego czerwonych, płonących ze wstydu policzków. No cóż, pewnie nadal jest zakochany w tej idiotce... Przytula go z całych sił, całuje wiele razy. Następnie otwiera lodówkę i wyjmuje trzy puszki piwa.

– Pijesz już piwo, Mariano?

– Proszę cię, babciu, za chwilę skończę osiemnaście lat!

Adela uśmiecha się, pomija milczeniem fakt, że siedem miesięcy to nie jakaś tam chwilka, i nalewa wnuczce piwo do szklanki, starając się, by było w niej tylko tyle piany, ile powinno być, ani mniej, ani więcej. Ma w tym zresztą niezłą wprawę. Kiedy napełni trzy szklanki, siada obok wnuczki i naprzeciwko wnuka.

– Słuchaj, kochanie, wiesz, czemu mama przysłała cię tu dziś na obiad? Bo

mnie zna i wie, że ilekroć popełniała błąd, ja zawsze mówiłam jej o tym, i wam też, prawda?

Jose, zaskoczony tym wstępem, kiwa głową i nie odrywa wzroku od babci.

– Kiedy chciałeś rzucić studia, powiedziałam ci o tym, kiedy zacząłeś przesadzać z jointami, również, kiedy zatrzymała cię policja i prowadziłeś motor bez prawa jazdy, też wyraziłam swoje zdanie. Nigdy nie robiłam ci awantur, mówiłam tylko, że uważam, iż popełniasz błąd, pamiętasz?

Jose znów kiwa głową, a Mariana idzie w jego ślady, bo ona też to pamięta.

– Starłam się, żebyś zmienił swoje zachowanie, ale nie o to, żebyś stał się inną osobą, niż jesteś, nigdy nie oczekiwałam od ciebie, że będziesz nieomylny, że zmienisz się w ofiarę ani że staniesz się najlepszym człowiekiem na świecie, prawda?

Wnuki przypominają teraz parę nakręcanych lalek, które potrafią tylko kiwać głowami, w przód i w tył, w przód i w tył.

– Teraz mam zamiar być z tobą równie szczerą. Gdybym miała dwadzieścia lat, a mój chłopak dwadzieścia jeden, i jakaś nieznajoma flirtowałaby z nim przez telefon, proponując mu łatwy seks, martwiłabym się tylko o to, żeby nie poszedł z nią do łóżka, a nie o to, czy pogada z nią przez telefon, choćby nawet tę rozmowę usłyszało pół Hiszpanii.

Wnuki patrzą na nią, przypominając sobie wiele rzeczy naraz, podobnych, ale nie tych samych.

Kiedy byli mali, dziwili się bardzo, że ich babcia Adela nie jest taka jak babcia Aurora, jak babcie innych dzieci. Nie lubiła gotować, nie umiała szyć, nie znosiła siedzieć w domu. Że miała przyjaciół, którzy nosili włosy do pasa, i przyjaciółki z ogolonymi głowami. Że włączała heavy metal na cały regulator, kiedy musiała posprzątać. Że paliła jak smok, i to nie tylko papierosy, i nigdy nie chciała umawiać się w weekendy, bo zawsze miała inne plany: podróże, kolacje, imprezy. Ich matka i ciocia Sofía skarżyły się, że w soboty wracała nad ranem i często w stanie dalekim od trzeźwości, ale za to prawie w każdą niedzielę wynajdywała jakąś manifestację i zapraszała na nią całą rodzinę. Adela taka była i już. Trzeba było się z tym pogodzić, a oni pogodzili się już dawno, ponieważ bardzo ją kochali, ale do tej pory żadne z nich nie pomyślało o korzyściach płynących z tego, że ma się nowoczesną babcie.

– Zdrada może być bardzo ważna, ale może też nie być, znasz moje zdanie na ten temat.

I nagle Adela przypomina sobie, że rozmawia z wnukami. Ani Jose, ani Mariana nie przyłapali jej nigdy na tym, jak całuje się w kuchni z jakimś nieznajomym, co zdarzyło się Dianie, kiedy miała piętnaście lat. Ani Jose, ani Mariana nie widzieli swojego dziadka całującego się na lotnisku z jakąś nieznajomą kobietą, co przydarzyło się siedemnastoletniej Sofii. Oni nie usłyszeli

symetrycznych, syjamskich wręcz wersji zdarzeń, które Adela opowiedziała Dianie: nie martw się, córeczko, nadal jestem zakochana w twoim ojcu; a jej mąż Sofii: nie patrz tak na mnie, twoja matka nadal jest miłością mojego życia. Oni nie mają o tym zielonego pojęcia, Adela marszczy więc brwi i postanawia trzymać się teorii.

– Ja uważam, że niewierność seksualna niekoniecznie musi mieć wielkie znaczenie, ale naprawdę nie potrafię zrozumieć użycia podstępu, by wystawić ukochaną osobę na próbę. Tego naprawdę nie można wybaczyć. Brak lojalności, odpowiedzialności, empatii, wszystko, czym wykazała się dziś rano twoja narzeczona, naprawdę świadczą o tym, że wcale cię nie kocha. Bo ty jej nie zdradziłeś, ale ona ciebie tak, Jose, poniżyła cię, rozstała się z tobą przez radio, zachowała się jak... – zawiesza głos i patrzy na wnuczkę. – Jak się zachowała, Mariano?

– Jak zmija, świnia, ohydna rozpieszczona panienska – recytuje wnuczka z uśmiechem.

– Właśnie. – Adela kiwa głową i się uśmiecha. – Dlatego myślę, że w sumie ty miałeś o wiele więcej szczęścia niż ona. Bo nawet jakbyś poszedł do łóżka z jakąś nieznaną dziewczyną, wcale nie musi to oznaczać, że jej nie kochasz. Natomiast możesz być pewien, że ona nie kocha ciebie. Ktoś, kto zdradza w ten sposób ukochaną osobę, nie zasługuje na miłość, na to, by być kochanym. Zgadzasz się ze mną?

– Tak, babciu. – Jose wstaje, podchodzi do niej, przytula się jak wtedy, kiedy był mały, ale teraz kocha ją jeszcze bardziej niż wtedy, bardziej niż kiedykolwiek. – Dziękuję.

– Nie ma za co, kochanie. – Odsuwa głowę, głaszcząc go po włosach, całuje, póki na jego twarzy nie pojawi się uśmiech, i zwraca się do wnuczki:

– A ty? Na co czekasz?

Mariana wstaje, rzuca się babci w objęcia i całuje ją wiele razy.

– Dobrze, już dobrze. Wystarczy. Chcecie zupę? Jest z puszki, ale w taki zimny dzień jak dziś na pewno dobrze nam zrobi. I nie wiadomo, co nas czeka wieczorem. Mam nadzieję, że przynajmniej nie będzie padać. Może jakaś dewotka zaniósłajka siostrom klaryskom...

Venancio przegląda się w lustrze na drzwiach szafy i nie do końca wierzy w to, co widzi. A jednak nie ma miejsca na pomyłkę, to musi być on, a ta wychudzona staruszka z rękami przymocowanymi do bocznych szczebelków, o przyspieszonym, świszczącym oddechu, spoglądająca na niego pustym wzrokiem z łóżka rehabilitacyjnego, stojącego teraz w sypialni, w której spędziła całe swoje dorosłe życie, to jego żona.

Od ponad roku ma coraz większy kłopot z rozpoznaniem swojego odbicia w lustrze. To dziwne wrażenie, niesamowite dla osoby, którą kiedyś był, z początku przyprawia go o gęsią skórę. Bo zawsze patrzył nieprzychylnie, z niemal wrodzoną wrogością, na mężczyzn podobnych do tego, w jakiego właśnie się zmieniał.

Venancio jest synem pułkownika piechoty, sam zdecydował się na karierę wojskową, bez powołania, tylko po to, by nie rozczarować ojca, mężczyzny, którego podziwiał najbardziej na świecie. Kiedy ojciec umarł, szybko porzucił akademię wojskową, tłumacząc, że matka potrzebuje teraz kogoś, kto zarobi na dom, i z poczuciem wielkiej ulgi zaczął robić rysunki techniczne. Miał do tego talent i lubił swoje zajęcie, więc poświęcając godziny snu, pracując dniami i ucząc się nocami, został wreszcie pomocnikiem architekta, ale przez całe życie zżerało go poczucie winy, że porzucił karierę wojskową, być może dlatego, że ożenił się z córką żołnierza. Pilar wychowała się w surowej atmosferze koszar i dlatego Venancio myśli teraz, że kiedy jeszcze była sobą, a nie kobietą zniszczoną przez chorobę i przykutą do łóżka, nie umiała go docenić.

– A może i tak – mruczy, podchodząc do łóżka i całując żonę na pożegnanie.
– Może i tak, Pilar?

Okna balkonowe salonu tego mieszkania, w którym mieszkają od czterdziestu lat, wychodzą na szeroką zadrzewioną ulicę, jedną z ładniejszych i elegantszych w całej dzielnicy. Naprzeciwko okien odchodzi mniejsza uliczka, przy której stoi ośrodek zdrowia. To dzięki wysiłkom zatrudnionego w nim personelu Venancio nie jest jeszcze wdowcem. Tak zaczyna się cała historia.

– O co chodzi?

W dniu, gdy widzi dziwne białe płachty, fartuchy i prześcieradła zwisające z barierek i parapetów, w pierwszej chwili zdaje mu się, że obchodzą jakieś święto.

– Jak to, Venancio, naprawdę o niczym nie wiesz? – Recepcjonista, który zna go dobrze, podobnie jak reszta pracowników przychodni, wręcza mu ulotkę zadrukowaną na czarno, której treść z daleka pachnie komunistyczną propagandą. – Protestujemy! Władze Madrytu chcą nam zamknąć ośrodek zdrowia.

– Ale jak to? – Venancio kręci głową i nagle czuje, że uginają się pod nim nogi. – Przecież to niemożliwe.

A jednak. Potwierdza to doktor Manzano, kiedy wypisuje mu recepty.

– Mówią, że ośrodek jest przestarzały, nieprawda, nierentowny, nieprawda,

że ta dzielnica jest przeinwestowana, wierutne kłamstwo.

Potwierdza to María, pielęgniarka, z którą ustala kalendarz wizyt domowych na najbliższe dwa tygodnie.

– Radny obiecywał, że przeniosą nas wszystkich, zarówno personel, jak i pacjentów, do nowszego ośrodka, lepiej wyposażonego, i że wszyscy na tym skorzystamy, ale tamto miejsce jest jeszcze za Cuatro Caminos, przy metrze Estrecho, więc możesz sobie wyobrazić.

To samo słyszy od fizjoterapeuty, który raz na tydzień odwiedza go, by nadzorować rehabilitację, którą Venancio robi codziennie sam: zmusza Pilar do ściskania gumowych piłeczek, unoszenia i opuszczania ramion, uginania i prostowania nóg w kolanach na leżąco oraz do tego, by wstała z łóżka dwa razy dziennie, rano i po południu, i przeszła się po korytarzu.

– O co im chodzi? Nie mają wstydu i tyle! Na pewno wyburzą budynek, wybudują na jego miejscu apartamentowiec i będą sprzedawać mieszkania po astronomicznych cenach. Zawsze to samo...

Po powrocie do domu Venancio kładzie się na łóżku, niewielkim łóżku, które wyciągnął z pokoju zajmowanego wcześniej przez jego dzieci, tego dnia, gdy lekarz Pilar, ten sam, który przekazał mu najgorszą wiadomość od dziesięcioleci, uznaje, że nie mogą już dłużej spać razem, że chora musi mieć łóżko rehabilitacyjne, że można je wypożyczyć i żeby się o nic nie martwił.

Tydzień później dwóch dostawców wnosi łóżko do domu, składa je, a potem wręczają druczek o refundację połowy kosztów wynajmu. Venancio mówi, że może go opłacić bez refundacji, ale dostawca tylko się irytuje.

– Chce pan naprawdę, by ktoś z ministerstwa wydał to, co zaoszczędzi na łóżku dla pana żony, na weekend z kochanką w pięciogwiazdkowym hotelu? To pańskie prawo, nie wolno rezygnować z praw, więc proszę tu podpisać, bo w przeciwnym wypadku bardzo się zdenerwuję.

Venancio składa więc podpis i od tej pory płaci tylko połowę kwoty za wynajem łóżka. Ale to dziś nieważne. Ważne jest to, co powiedział tamten dostawca i powtórzyli dziś lekarz, pielęgniarka i fizjoterapeuta jego żony.

– Do Cuatro Caminos, Pilar – mówi, patrząc w szkliste oczy, co dzień coraz mniej niebieskie, coraz bardziej szare. Czuje drżenie jej dłoni. – Jeszcze dalej niż Cuatro Caminos, przy stacji metra Estrecho. Tak powiedzieli. I co my pocniemy, kochanie, co my pocniemy?

To, że z dnia na dzień fasada jego własnego domu zmienia się w mur białych prześcieradeł, nie dziwi go specjalnie, gdyż wie, że dwoje jego sąsiadów pracuje w przychodni, a jeden w pobliskim szpitalu.

– A my co? – pyta Daisy ostrym tonem, przełamującym naturalną słodycz jej honduraskiego akcentu. – My nie wywiesimy prześcieradła za to, jak dobrze traktują panią? Nie będziemy ich bronić? Nie oddamy im chociaż drobnej części

tego wsparcia, które dostawaliśmy od nich przez tyle czasu? A co się stanie, jeśli pan zachoruje? Albo zachoruję ja? Gdzie pójdziemy? Kto nas wyleczy?

Venancio nie potrafi odpowiedzieć na tak wiele pytań naraz, ale też nie chce tak łatwo przyznać racji swojej gosposi. Kręci głową i mamrocze jedyną odpowiedź, jaka przychodzi mu do głowy.

– Wiem, ale to nie jest sposób, protestując, nic nie zyskamy, są inne metody.

– Wywieszanie prześcieradła przez balkon to zbyt radykalna forma protestu? Inne metody? A właściwie jakie?

– Dobrze, niech pani robi, jak uważa. – Sam jest zaskoczony tym, jak szybko ustąpił. – Ale na własną odpowiedzialność – dodaje, by nie wyjść na zbyt uległego. – Ja o niczym nie wiem.

– Tak, proszę pana. – Daisy przewraca oczami i przemawia głosem aktorki, która dublowała po hiszpańsku niewolnicę Scarlett O’Hary. – Tak jak pan mówi. Na moją odpowiedzialność.

Kwadrans później Venancio wychodzi z domu, a kiedy wraca, widzi na swojej elewacji cztery białe prześcieradła więcej, po jednym na każdym balkonie własnego mieszkania.

Od tamtego dnia desperacko szuka innych metod, ale nie znajduje rozwiązania. Wprowadzanie chaosu nie jest wyjściem z sytuacji, powtarza sobie. Transparenty, megafony, tarasowanie ulic ot tak, to bez sensu. W takim razie co, Venancio? Nie mam pojęcia, odpowiada sam sobie. Naprawdę nie wie, nie wie też, skąd bierze się to poruszenie, które zżera go od środka.

Do dziś. Bo dziś María, pielęgniarka, która dotąd opiekowała się Pilar, przyszła wyjątkowo przed południem, żeby móc uczestniczyć w proteście w obronie przychodni, który ma się rozpocząć o piątej.

– A ty, Venancio, się nie wybierasz? – pyta, bardzo delikatnie myjąc chorą.

– Nie, ja... – Nie jestem jednym z was, ma zamiar powiedzieć, ale w porę gryzie się w język. – Ja jeszcze nie wiem, co zrobię.

Dziś Venancio nie wyszedł z domu, nie zjadł obiadu, nie uciął sobie poobiedniej drzemki.

– Co się z tobą dzieje, tato? – Po obiedzie podchodzi do niego syn Sebas, kładzie mu dłoń na czole i gładzi po plecach. – Źle się czujesz?

– Nie – kłamie Venancio. – Nie mam po prostu apetytu, ale nic mi nie jest. Możesz spokojnie wracać do pracy.

Sebastián wychodzi nieco zmartwiony, a jego ojciec staje na balkonie i obserwuje chodnik, na którym gromadzą się pierwsi protestujący z transparentami.

Dlaczego to spotyka właśnie mnie?, myśli. Ma ochotę pomodlić się o to, by manifestanci się rozeszli, żeby nie wznosili okrzyków, żeby uwolnili go od wątpliwości.

– Wychodzę na chwilę – oświadcza Daisy, stając w drzwiach salonu. Ma w rękach dwa opakowania jajek. – Zaniosę to do klasztoru Santa Clara, żeby tych biedaków nie zmoczył deszcz. Zaraz wracam.

Venancio nie odpowiada. Nadal wygląda przez balkon. Słyszy trzask zamykanych drzwi i nadal stoi. Stoi bez ruchu jak słup i widzi mężczyznę w białym fartuchu kłócącego się głośno z dwoma policjantami, którzy zatrzymali jakąś dziewczynę i próbują ją wylegitymować. Przyjrząwszy się uważnie, rozpoznaje doktora Manzana, lekarza jego żony, który odwiedza Pilar co trzy, cztery dni, zapisuje jej najtańsze leki, pomógł dostać refundację na jej łóżko, a przy każdej wizycie, przy okazji, mierzy ciśnienie również jemu. W tym momencie czuje, że już dłużej nie wytrzyma. Opuszcza swój punkt obserwacyjny, idzie do sypialni, kładzie się na łóżku i bierze Pilar za rękę. Zamyka oczy.

Przez piętnaście minut leży zupełnie nieruchomo. Gdyby ktoś w tym momencie wszedł do sypialni, pomyślałby pewnie, że śpi, a nie toczy zażartą wewnętrzną walkę z sobą samym.

– No dobrze – mówi w końcu do Pilar, jakby ta mogła go usłyszeć. – Jeśli nie pójdę, będą się gniewać, bo doskonale wiedzą, że chociaż mam osiemdziesiąt cztery lata, nadal jestem w świetnej formie. Dlatego pójdę, robię to dla ciebie, żebyś wiedziała, żeby nie... – Zemścili się na nas, chce powiedzieć, ale milczy, bo wstydzi się nawet dokończyć tę myśl. – No nic, zostaną tylko chwilkę, dokładnie tyle, żeby mnie zobaczyli, a potem wrócę, dobrze?

Dotarłszy pod ośrodek zdrowia, Venancio przygląda się transparentom, słucha piosenek, zwraca uwagę na koszmarne stroje i czuje się fatalnie, nie na miejscu, jak zdrajca, ale kiedy już ma odwrócić się na pięcie, przypomina sobie, co może stracić.

Przyłącza się więc do protestujących, dyskretnie, zachowując się tak, jakby wcale go tu nie było, daleko od wejścia do ośrodka zdrowia, w pobliżu policyjnych furgonetek zaparkowanych po obu stronach ulicy, w pobliżu własnego domu.

To najgorsze miejsce, jakie mógł wybrać, ale Venancio tego nie wie, gdyż nigdy, przenigdy w całym swoim życiu nie brał udziału w żadnej manifestacji.

O szóstej trzydzieści Diana Salgado żegna się z ostatnim tego popołudnia pacjentem.

Tak właśnie chce myśleć, że to ostatni pacjent tego dnia, chociaż władze oznajmiły, że punkt ósma zamkną na zawsze drzwi tej przychodni, funkcjonującej nieprzerwanie od piętnastu lat.

Diana, podobnie jak jej koledzy, ma umówione wizyty na kolejny dzień. Podobnie jak jej koledzy wierzy, że sędzia podejmie jutro decyzję o zastosowaniu środków zapobiegawczych i nie dopuści do zamknięcia. Podobnie jak koledzy wygląda przez okno i z niepokojem patrzy na zachmurzone, niezdecydowane kwietniowe niebo. I zaciska kciuki. Jak cała reszta personelu, Diana Salgado wychodzi ze swojego gabinetu, nie zdejmując fartucha, zamyka drzwi, lecz nie przekręca klucza w zamku.

W tym momencie jest na krawędzi wyczerpania, ale nerwy, które odczuwa jak rój mrówek przechadzających się gdzieś w okolicach żołądka, są słabsze niż smutek, nieskończony, powszechny żal. Żałuje siebie, swoich kolegów, pacjentów, madrytczyków i całej reszty ludzkości.

Nie daje tego po sobie poznać, przemierzając korytarze energicznym krokiem, z wysoko podniesioną głową. Zdradzają ją tylko dłonie, tylko palce delikatnie gładzące ściany budynku.

Miguel Ferreiro oddałby wszystko, żeby być w tej chwili gdziekolwiek indziej. Na domiar złego przekonuje się wkrótce, że jest gorzej, niż przypuszczał.

– Kudłaczek!

Doña Paula, która ma chyba dziewięćdziesiąt kilka lat, bo odeszła na emeryturę niedługo po tym, jak nauczyła go czytać i pisać, jakieś dwadzieścia pięć lat temu, macha do niego wolną ręką. W drugiej trzyma transparent: ZDROWIE NIE JEST NA SPRZEDAŻ. Miguel próbuje dać jej do zrozumienia gestami, że nie może ruszyć się z miejsca, ale wszystko na nic.

– Kudłaczku! – Autorytet nauczycielki szkoły podstawowej nie przemija nigdy. – Chodź tu natychmiast!

– Kudłaczek? – Słyszysz za sobą chichot inspektorki Fernández. – Naprawdę tak cię przezywali?

– Tak – dociera do niego również rozbawiony głos agentki de la Torre, która potwierdza szefowej, że to prawda. – Ta pani była jego nauczycielką i opowiedziała mi, że przez pierwsze lata podstawówki Ferreiro miał takie długie i gęste loczki. I to niesamowicie ją roztkliwiało.

Cały wachlarz śmieszków, męskich, żeńskich, tłumionych lub całkiem dźwięcznych, towarzyszy krokom dawnego ucznia w stronę transparentu.

– Ale co pani tu robi, pani Paulo? Powinna była pani zostać w domu. – I wtedy spogląda na jej stopy. – W dodatku przyszła pani na manifestację w kapciach.

– No a jakżeby inaczej. – Staruszka uśmiecha się i szczypie go w policzek. – Przede wszystkim trzeba zadbać o wygodne buty, na wypadek gdyby trzeba było uciekać przed policją. Nie uczyli cię tego?

Na demonstracji zjawiała się cała dzielnica.

Tak przynajmniej wydaje się Dianie, kiedy toruje sobie drogę przez mur pleców broniący dostępu do wejścia. I wzrusza się tak bardzo, że chce jej się płakać.

Są tu jej koledzy, ich rodziny, pacjenci, ale zjawili się też ludzie, których twarze nie widziała nigdy w poczekalni, zna ich z widzenia – to mieszkańcy dzielnicy i sprzedawcy z pobliskiego targowiska.

Diana wita się ze wszystkimi, uśmiecha się i dziękuje, że przyszli, czarnoskórym, mulatom, metysom, Maghrebczykom i białym o rozmaitych odcieniach, od cienkiej jak porcelana i różowiotkwej cery Swietłany, jej ukraińskiej sprzątaczkę, po ciemną, kordobańską karnację Braulia, menadżera baru Pascuala. Do demonstrujących dołącza grupa kobiet – kręcone, rude jak marchewka włosy Amalii kontrastują z ostrzyżonymi na krótko głowami kilku Chinek, podążających za nią jak stadko owiec za swoim pasterzem.

– Nie ma co narzekać, to dla waszego dobra. Bo co zrobicie, jeśli zachorujecie? Dokąd pójdziecie? Zwłaszcza ty, Guanyin, teraz, kiedy jesteś w ciąży...

Marisol, weteranka ulicznych protestów, idzie za nimi cicho, nie udzielając lekcji. Ale dziś przyszli też ludzie, którzy nigdy wcześniej nie byli na manifestacji, na przykład rodzice Ahmeda: Mohamed bardzo poważny, Fátima w swoim morelowym hidżabie, a także María Gracia, gospoia Sofii, która bardzo źle wygląda. Diana jest jednak zbyt zaaferowana, żeby dopytywać się, co się stało.

Paczka jej córki stoi w pierwszym rzędzie, to oni robią najwięcej hałasu, być może dlatego, że krążąca z rąk do rąk dwulitrowa plastikowa butelka upodabnia ten protest do ulicznej imprezy nastolatków. Mariana pociąga właśnie z butli spory łyk, kiedy podbiega do niej młodszy brat.

– Uciekajcie stąd, maluchy – mówi do Pabla, Felipe i Alby, nie zdając sobie sprawy, że matka słyszy te słowa.

– Ale dlaczego nie możemy stać tu z wami?

– To może być niebezpieczne. Jesteście jeszcze za mali.

– No weź!

– Pablo, twoja siostra ma rację – odzywa się niespodziewanie Diana. – Alba, Felipe, wy też. Nic się nie stanie, ale lepiej, żebyście stanęli z tyłu. Zrozumiano? Poszukaj taty i stańcie razem z nim. Widziałam go przed chwilą, stoi niedaleko drzwi, razem z mamą Felipe. No już!

Kiedy dzieci znikają w poszukiwaniu męża Diany, ona odwraca się do córki, żeby policzyć, ile osób pije z tej butelki. Doliczywszy do dwunastu, uspokaja się

nieto.

– A ty, księżniczko, oddaj mi flaszkę.

– Jest już prawie pusta – broni jej Edu, syn Marity.

– W takim razie kolejną.

– Nie mamy więcej, mamo. – Mariana rozkłada ręce, broniąc swej niewinności. – Mieliśmy tylko jedną, żeby trochę się rozgrzać.

– Na pewno? Pogadamy w domu. I błagam, nie róbcie więcej głupstw. Może jeszcze tego nie zauważyliście, ale jesteśmy otoczeni przez policję. Chcecie, żeby zatrzymali was za picie na ulicy, zanim zacznie się demonstracja? W życiu nie widziałam głupszych rewolucjonistów...

I odchodzi, bo chociaż doprowadza ją do rozpaczki to, że jej nastoletnia córka pije alkohol na ulicy, w tej chwili martwi się bardziej o najstarszego syna. Dostrzega go w tłumie, całego w uśmiechach, obejmującego babcię, która wygląda bardziej na jego trochę starszą przyjaciółkę. Na ten widok Diana oddycha z ulgą i kieruje się w stronę grupki kolegów z pracy.

– Uciekać przed policją, pani Paulo, chyba pani żartuje? – Miguel Ferreiro z niedowierzaniem kręci głową i dostrzega kątem oka znajomą postać. – Tu nic się nie stanie, zapewniam panią. Przepraszam na chwilę.

W grupce osób, wyróżniającej się spośród manifestantów, którzy zajmują już całą szerokość ulicy i połowę jej długości, nienagannie ubrany mężczyzna – szary garnitur, błękitna koszula, dyskretny, jedwabny krawat – w otoczeniu kilku osób w kitlach, dyskutuje głośno z dwoma cywilami i kilkoma policjantami. Roberto, szwagier Miguela, nagrywa tę scenę.

– To zbędna demonstracja siły, zdajecie sobie z tego sprawę równie dobrze jak ja.

– My tylko wykonujemy rozkazy.

– Zamknięcie przychodni jest niezgodne z prawem, nie macie prawa tego zrobić, zanim nie zostanie rozpatrzone odwołanie, które złożyliśmy piętnaście dni temu. Postępujecie wbrew prawu.

– My tylko wykonujemy rozkazy.

– Personel nie został poinformowany z odpowiednim wyprzedzeniem, pacjentom nie zagwarantowano przysługujących im praw.

– Wykonujemy rozkazy.

Miguel Ferreiro przedziera się wreszcie do szwagra i chwyta go za wolne ramię.

– Co ty tu robisz?

– Przecież jestem dziennikarzem. – Nie zmienia położenia drugiej ręki, w której trzyma telefon komórkowy, i nagrywa całą scenę.

– Tak, ale pracujesz w dziale zagranicznym.

– I co z tego? – Roberto śmieje się drwiąco. – Mieszkam tutaj, korzystam

z tej przychodni, więc chcę zdać relację z protestu. A co? Nie wolno mi?

– Tak, ale...

– Naprawdę nie zdajecie sobie sprawy z tego, że jutro sędzia uchyli decyzję o zamknięciu przychodni? Po prostu urządzenie obywatelom pokaz siły z powodu nieracjonalnej decyzji polityka, który chce zrobić sobie darmową reklamę, otwierając telewizyjne wiadomości? Naprawdę sądzicie, że ma to jakikolwiek sens?

– Wykonujemy tylko rozkazy.

– Ale właściwie o co ci chodzi? – pyta Miguela Roberto.

– Wcale mi się to wszystko nie podoba. – I uprzedza kolejne pytanie. – Tak, mam wrażenie, że nie obędzie się bez rozróby.

– Chcesz powiedzieć coś do mikrofonu? – Dziennikarz tylko się uśmiecha.

– Idź do diabła! – Policjant odpowiada uśmiechem, który jednak szybko znika z jego ust na widok służbowego wozu rządu wspólnoty autonomicznej.

Mężczyzna, który wysiadł z samochodu, dociera do inspektorki Fernández równocześnie z agentem Ferreira i przedstawia się jako wysoko postawiony urzędnik magistratu.

– My tylko wykonujemy rozkazy. Jesteśmy tu, by zagwarantować porządek, i jak pan widzi, do tej pory wszystko przebiega spokojnie. Zgromadzenie jest legalne, ale na wszelki wypadek i tak dzwoniłam do szefa. Wkrótce będzie na miejscu.

– A ślusarz? Dzwoniła pani po ślusarza?

– Nie było potrzeby – wtrąca Miguel. – Sam przyszedł. Widzi pan, to ten mężczyzna w koszuli w kratę. Abel! – Łysy jegomość w koszuli w szkocką kratę, stojący niedaleko olbrzymiego transparentu, podnosi rękę i pozdrawia policjanta. – To jedyny ślusarz w okolicy. A sam pan wie, że małe firmy ślusarskie z zasady nie biorą udziału w eksmisjach.

– W takim razie zadzwonię po strażaków.

Policjanci spoglądają po sobie, a kiedy urzędnik ratusza sięga po telefon komórkowy, Ángela de la Torre szepce coś, o czym myślą wszyscy.

– No to teraz się zacznie.

I rzeczywiście, o siódmej trzydzieści się zaczyna.

Potem nikt nie pamięta, jak to się dokładnie stało.

Strażacy nadjeżdżają bardzo szybko czerwonym wozem obwieszonym transparentami: STRAJK STRAŻAKÓW, NIE DLA CIEĆ, RATUSZ NIE PŁACI NAM OD TRZECH MIESIĘCY. Ich rzecznik wyskakuje z wozu i kieruje się prosto do urzędnika ratusza w garniturze, być może dlatego, że tamten wciąż trzyma w ręce telefon, a być może po prostu poznał go przy innej okazji. Pyta, gdzie ten pożar, na co przedstawiciel lokalnych władz odpowiada, że nie chodzi dokładnie o pożar, lecz o inny nagły wypadek. Pyta, co to za wypadek, a wódarz

odpowiada, że trzeba rozpędzić tych ludzi, by móc dostać się do drzwi ośrodka zdrowia. Strażak na to, żeby przepędził ich sam, jeśli starczy mu odwagi, albo niech zadzwoni po oddział prewencji, bo strażacy nie mają zamiaru wyrzucać kogokolwiek skądkolwiek. Manifestanci biją mu brawo i wydaje się, że na tym się skończy. Ale strażak staje przed wozem i unosi wysoko dłoń zaciśniętą w pięść. A dzieciaki ze skłotu, które są w trakcie opróżniania drugiej butelki – nikt nie wie, skąd się właściwie wzięła – odpowiadają mu tym samym gestem, rycząc jak stado nosorożców. Gdzieś w głębi Pablo, Alba i Felipe zaczynają śpiewać: „Cała demo śpiewa z nami, mamy sztamę ze strażakami”. Ponad połowa demonstrujących podchwytuje przyśpiewkę, a biedny urzędnik ratusza dostaje szału. Wrzeszcząc, pyta komisarza policji, który przed chwilą dotarł na miejsce, czym ci ludzie rzucają, a ten odpowiada spokojnie, że nie rzucają niczym, robią tylko falę na cześć strażaków. Urzędas wkurza się jeszcze bardziej: „Ja im dam, kurwa, falę!”, odwraca się do szefa straży miejskiej i krzyczy: „Koniec z tym! Zróbcie z nimi porządek!”. Niektórzy funkcjonariusze straży miejskiej nie ruszają się z miejsca, inni idą w stronę dzieciaków ze skłotu, które natychmiast siadają na ziemi. Ale zanim zdołają do nich dotrzeć, tworzy się wokół nich kordon mężczyzn i kobiet w białych kitlach. Marita zauważa, że kobieta w kitlu, która staje przed nią, to jej matka, i prosi kolegów, żeby przestali. Ale jest już za późno. Manolo, adwokat Stowarzyszenia na rzecz Publicznej Służby Zdrowia, pyta Roberta, czy wszystko nagrywa, a on odpowiada, że tak. Wówczas podbiega do przedstawiciela samorządu i mówi, że uda się prosto do sądów na Plaza de Castilla, by złożyć doniesienie. Zanim skończy wyliczać wszystkie zarzuty, które chce mu postawić, żeby mógł spokojnie otworzyć wydanie lokalnych wiadomości, urzędnik magistratu zaczyna gorączkowo kalkulować straty i zyski. Kiedy wydaje polecenie, by straż miejska się wycofała, to chociaż starcia nie trwały nawet pięć minut, na ziemi leżą trzy osoby.

Jedną z nich jest Guanyin. Siada na krawężniku i płacze ze strachu i rozpaczy. Spodnie ma zakrwawione, a jest w czwartym miesiącu ciąży.

Drugą jest Roberto, leżący w pozycji płodowej, ściskający telefon komórkowy, który policjanci starali się odebrać mu siłą, korzystając z zamieszania. Z opresji wybawił go szwagier Miguel z dwoma kolegami.

Trzecim jest Venancio, właśnie dlatego, że stał tak daleko, tuż przy policyjnych furgonetkach, a jego głowa była jedną z pierwszych, w które uderzyła policyjna pałka. Teraz leży na chodniku nieprzytomny.

O ósmej wieczorem nikt nie rusza się z miejsca, za to napływają nowi manifestanci.

– Tata przyjdzie, jak tylko zamknie bar. – Lucía, córka Pascuala, przychodzi z narzeczonym. Niosą dwie wielkie torby. – Prosił, żebym przyniosła wam coś do jedzenia. Kanapki i napoje w puszkach. W środku jest lodówka, prawda?

– Tak – odpowiada dozorca. – Wejdz i zapytaj. – I kiedy odprowadza ją wzrokiem do drzwi, reflektuje się, że o czymś zapomniał. – I wielkie dzięki dla taty!

Lucia bez trudu dostaje się do środka, gdyż o ósmej wieczór lokalna przychodnia nadal jest otwarta, a lekarze i pielęgniarki udzielają pomocy poszkodowanym. Z tego powodu wszyscy zostali w kitylach, z tego powodu nikt nie zamykał drzwi do gabinetów.

Guanyin, o wiele spokojniejsza po USG, które wykazało, że jej dziecku nie zagraża niebezpieczeństwo, odpoczywa teraz za parawanem. Lekarze zalecili jej, by spędziła tu noc, żeby zapobiec kolejnemu krwawieniu. Amalia poszła do restauracji, by zawiadomić Zhanga, a jej koleżanki wróciły biegiem do pracy. Przy ciężarnej czuwa Marisol.

Roberto leży za kolejnym parawanem i jest naprawdę wściekły, że lekarze nie pozwolili mu pójść z Manolem do sądu. Na szczęście przekazał mu nagranie, które adwokat dołączy jako dowód do swojego doniesienia o przestępstwie. Jest przy nim żona, z niepokojem przygląda się obrażeniom męża.

– Marisa – jęczy Roberto, kiedy żona usiłuje go przytulić. – Ostrożnie, to boli.

– Przepraszam, ale sam wiesz, że całym dniami piszę o tamtych czasach i...
– Nachyla się nad nim, delikatnie całuje go w dwa plastry przytrzymujące brzegi rozciętej skroni, opuchniętej i sinej, i szepce mu do ucha: – Podnieca mnie myśl o tym, że znów mam męża aktywistę.

Roberto się uśmiecha, próbuje klepnąć ją w tyłek, ale powstrzymuje go rwący ból w ramieniu.

Venancio do tej pory nie odzyskał całkowicie przytomności. Doktor Manzano zastanawia się, czy nie wezwać karetki i nie przewieźć go do szpitala, ale w tym momencie staruszek otwiera oczy i pyta, co się stało.

– Może poczekamy jeszcze chwilę?

– Myślę, że tak, jego stan jest stabilny. – Diana Salgado, którą lekarz wezwał na konsultację, pamiętając, że mąż Pilar jest diabetykiem, kiwa głową – ale musimy zawiadomić rodzinę, że tu jest.

– Tak. – Lekarz rozgląda się wokół i dostrzega pielęgniarkę chodzącą na wizyty domowe, która rozmawia w poczekalni z dwiema kobietami. – Porozmawiaj z Marią. Ona chyba opiekuje się jego żoną.

Diana zna Marię jeszcze ze szkoły, bo tam zaprzyjaźniła się z jej siostrą Sofią, Maritą i Begoñą, jedyną, która tego popołudnia nie pokazała się na demonstracji.

– Słuchaj, Marío, znasz tego staruszka, który oberwał pałką? Manzano mówi, że opiekujesz się jego żoną.

– Tak, Pilar, biedaczka.

– Jest niepełnosprawna, prawda?
– Kompletnie – potwierdza pielęgniarka. – Parkinson i demencja.
– Musimy zostawić go na obserwacji na kilka godzin. Trzeba zawiadomić rodzinę. Wiesz może, czy ma dzieci?

– Tak, znam ich syna, który teraz mieszka z nimi, nie wiem, jak się nazywa. Może go znacie z widzenia. Pracuje w stróżówce tej nowej agencji nieruchomości, taki wysoki, z ogoloną głową. Przypomina trochę tego greckiego ministra gospodarki, który jeździł na motorze, jest tylko trochę grubszy.

– Ja pójdę, ja go zawiadomię!

I zanim siostra i przyjaciółki zdążą cokolwiek powiedzieć, Sofia Salgado wybiega z poczekalni i pędzi korytarzem, jakby w budynku wybuchł pożar.

Sofia wie doskonale, o której godzinie następuje zmiana warty w stróżówce.

Staje na pierwszym czerwonym świetle i sprawdza godzinę na telefonie komórkowym: dwudziesta siedemnaście, cholera jasna, nawet nie zdążę się uczesać.

Na drugich światłach cofa się kilka kroków i przegląda w witrynie sklepu, rozpinając guzik kołnierzyka białej bluzki, zdejmując sweter, bo jej gorąco, zawiązuje go w pasie, ale po chwili namysłu decyduje, że lepiej będzie jednak wyglądać na szyi, patrzy na wyświechtane legginsy i zielone trampki, które nosi zwykle na manifestacje pracowników oświaty, i znów klnie pod nosem.

Na trzecim przejściu dla pieszych kolejny raz sprawdza godzinę, ósma dwadzieścia trzy. Ma dwa kroki do domu. A gdyby tak pobiec tam, włożyć obcisłe dżinsy eksponujące tyłek, buty na koturnie i kolczyki? Kiedy światło zmienia się na zielone, jest już ósma dwadzieścia cztery. Sofia przeklina po raz trzeci.

Z czwartego przejścia widzi już fasadę budynku agencji Prisma. Jest tak zmęczona biegiem, że nie ma siły nawet przeklinać. Wpatrując się w sylwetkę w niebieskim garniturze siedzącą za szybą, opiera się na latarni, rozciąga i próbuje wyrównać oddech. Zanim jej się to uda, dozorca wstaje, otwiera drzwi i wpuszcza swojego zmiennika, mężczyznę ubranego w identyczny niebieski garnitur, i wychodzi.

Sofia Salgado przebiega przez ulicę, policzki ma czerwone, oddycha ciężko. Wpada na niego szybciej, niż się spodziewała. Znów przeklina swojego pecha.

– Dzień dobry! – I macha mu ręką na powitanie.

– Dzień dobry – odpowiada on, z miną dziecka, które naciągnęło swoją matkę na lizaka.

– Posłuchaj, nie chcę, żebyś się przestraszył. – Te słowa, zamiast go uspokoić, wywierają oczywiście odwrotny efekt, a ona denerwuje się jeszcze bardziej. – Byłam w przychodni i mam dla ciebie wiadomość, ale nie martw się, nic się nie stało, to znaczy, stało się, ale nic naprawdę poważnego, twój ojciec jest na obserwacji, jest przytomny i wszystko jest pod kontrolą, łącznie z poziomem cukru,

ale stracił przytomność, bo dostał od policjanta pałką w głowę.

– Od policjanta? – Przerazenie na twarzy mężczyzny ustępuje miejsca zdumieniu. – Mój ojciec?

– No tak... – Sofía nie rozumie powodów tego zdziwienia. – Na manifestacji przeciw zamknięciu przychodni.

– Mój ojciec poszedł na manifestację? – Jego mina wyraża teraz skrajne powątpiewanie. – Jesteś tego pewna?

– No tak... – Sofía czuje się jeszcze bardziej zmieszana. – Twój ojciec ma na imię Venancio, twoja matka Pilar, mieszkają przy ulicy Fernando VI? – On kiwa głową, nie przestając się uśmiechać. – No, dostał pałką w głowę, ale już wszystko dobrze, chcę go zostawić na obserwacji, a ja przyszedłam cię zawiadomić.

– Jesteś lekarzem?

– Nie, nauczycielką w podstawówce, ale moja siostra jest endokrynolożką i przyjaźni się z pielęgniarką, która opiekuje się twoją matką.

– Rozumiem... Bardzo dziękuję, że się pofatygowałaś. Nazywam się Sebastián Alonso. Moi koledzy ze szkoły przezywali mojego ojca faszystą, dlatego tak się zdziwiłem.

– Aha. Ja nazywam się Sofía Salgado.

Patrzą na siebie przez moment, ale nie potrafią wydusić z siebie ani słowa więcej. Sofía nie rozumie, dlaczego nie może zbliżyć się do niego i pocałować dwa razy w policzek na powitanie, jak zrobiłaby z każdym innym.

On też nie ma odwagi i też nie rozumie dlaczego. Pyta ją tylko, czy zamierza wrócić do przychodni.

– Jasne. – Sofía się uśmiecha. – Możemy pójść razem.

I kiedy ruszają w drogę, Sebastián patrzy z podziwem na jej tyłek w opiętych legginsach.

Pełen napięcia wieczór ustępuje miejsca nocy, która dłuży się aż do pierwszej, kiedy to furgonetki straży miejskiej zaczynają odjeżdżać, a policja idzie w ich ślady. Wtedy protestujący oddychają z ulgą, nie wszyscy jednak opuszczają ośrodek zdrowia. Dyrektorka przydziela dyżury, żeby przed wejściem zawsze było przynajmniej sześć osób. Lepiej dmuchać na zimne. Pozostali idą się przespać do domu lub decydują się na drzemkę w przychodni, na fotelach, na leżankach, w gabinetach.

Zhang odsłania zasłonkę oddzielającą łóżko, na którym śpi Guanyin, od sąsiedniego, i układa się na nim. Natychmiast zapada w sen.

Roberto i Marisa idą do domu.

O drugiej w nocy Venancio upiera się, że też chce wrócić. Sofía odprowadza Sebastiana, chociaż nikt jej o to nie prosił. On, równie swobodnie, proponuje jej, by poczekała chwilę w salonie. Chce położyć ojca, a potem zaprosić ją na kieliszek koniaku.

Dzieciaki ze skłotu przyniosły śpiwory i układają się teraz na podłodze w gabinecie zabiegowym. O siódmej trzydzieści sprzątaczką na ich widok prawie dostaje zawału i wyrzuca wszystkich, grożąc mopem.

O ósmej zaczyna się kolejny dzień pracy, niby zwyczajny, poza tym, że cały personel ma podkrążone oczy i wszyscy w przychodni ziewają zgodnym chórem.

O dziesiątej trzydzieści, kiedy lekarze i pielęgniarki piją trzecią kawę, Manolo dzwoni do żony z Plaza de Castilla i prosi, by zawiadomiła dyrektorę przychodni, że musi z nią porozmawiać. Po drodze tłumaczy jej, że sędzia zdecydował o zastosowaniu środków zapobiegawczych, a jego orzeczenie zawiesza dekret o zamknięciu ośrodka zdrowia.

– Na pewno się odwołają – odpowiada María, krążąc od gabinetu do gabinetu – na pewno będą próbować, ale Manolo twierdzi, że nie nastąpi to ani jutro, ani za miesiąc, więc na razie wygraliśmy.

Chcieliby jakoś to uczcić, ale są na to w tej chwili zbyt zmęczeni.

Dzień jest dziwny, i to nie tylko z powodu ulewy, która rozszalała się na dobre, jakby niebo chciało wyrzucić z siebie całą masę wody, jakiej nie zdołało pozbyć się wczoraj.

Amalia nie wie dlaczego, ale podejrzewa, że to nie będzie zwykły dzień. Coś nieoczekiwanego się wydarzy, coś wisi w powietrzu. To znane uczucie, zwłaszcza wiosną, ale trudne do wyjaśnienia niezależnie od pory roku, nagromadzenie wrażeń, które mogą być znaczące, chociaż mogą też nie znaczyć nic, jak zapach ozonu, którym nasycone jest powietrze na chwilę przed burzą, metaliczne akordy ścieżki dźwiękowej jakiegoś horroru albo rozbiegane spojrzenie szaleńca uśmiechającego się do dziecka w parku. To wszystko dociera do Amalii, która przez cały ranek sterczy z nosem przyklejonym do szyby.

– Nie martw się już! – Sandra wprawdzie nie była wczoraj na demonstracji, bo nie miała z kim zostawić córki, lecz wie o wszystkim. – Nic jej nie jest, przecież sama widziałaś.

– Tak, ale i tak mam wyrzuty sumienia. To moja wina, to ja kazałam im iść, sama nie wiem, czemu się tak uparłam, a teraz...

To wszystko prawda, ale Amalia, chociaż nie odrywa wzroku od szyldu MANICURE SZANGHAJ, wie, że to coś, co wisi w powietrzu, niepokojące, może nawet groźne, nie ma nic wspólnego z Guanyin. Wie, bo zdążyła już odwiedzić ją dwa razy, za pierwszym tylko zapytała, jak się czuje, za drugim zaniósł jej ulubioną kawę, z kulką lodów waniliowych, i wie, że żadne niebezpieczeństwo nie zagraża ani jej, ani dziecku. Chodzi o co innego, lecz jeszcze nie domyśla się o co. Z zadumy wyrывa ją dzwonek telefonu.

– Cześć, to ja, Begoña, dzwonię, żeby odwołać dzisiejszą wizytę.

– Bego, to ty? – Amalia nie bardzo wierzy w to, co właśnie usłyszała. – Co się stało? Jesteś chora?

– Nie, po prostu bardzo źle spałam i... – postanawia jednak nie kończyć zdania.

– Rozumiem, nie ma problemu. Mam cię zapisać na jakiś inny dzień?

– Nie, zadzwonię sama. Dziękuję, do widzenia.

I odkłada słuchawkę, zanim fryzjerka zdąży się pożegnać.

– Begoña nie przyjdzie? – Marisol, która z braku zajęcia ściiera kurze drugi raz tego dnia, bo jest już jedenasta, a klientek prawie nie ma, unosi brwi. – To dziwne, zupełnie do niej niepodobne.

Szefowa kiwa głową, ale nie ma czasu na dłuższą dyskusję, gdyż do zakładu wpadają równocześnie trzy osoby. María Gracia, która nie była umówiona, pyta, czy mogłaby się ostrzyć. Mercedes, która miała przyjść o wpół do pierwszej, pyta, czy mogłaby już zostać. Jakaś kobieta, której wcześniej nie widziały na oczy, znalazła ich reklamę w Internecie i pyta o fryzury ślubne.

– Oczywiście. – Amalia widzi, że kobieta jest już po czterdziestce. –

Najlepiej, żeby przyszła sama... – W ostatniej chwili gryzie się z język. – To pani wychodzi za mąż?

– Hmm... – Nieznajoma waha się przez chwilę, kalkuluje, czy lepiej udawać, że nic się nie stało, czy obrazić się i wyjść. – Tak, wychodzę za mąż za dwa miesiące.

– Wspaniale! – Fryzjerka uśmiecha się promiennie do nowej klientki, zastanawiając się, w jakim wieku ludzie będą się pobierać, jeśli kryzys potrwa jeszcze trochę. – Pokażę pani zdjęcia, na pewno znajdzie pani coś dla siebie...

Pojawienie się w zakładzie panny młodej zazwyczaj jest bardzo dobrą wiadomością – pomijając drobne wyjątki, jak historia z pracowniczkami chińskiego manicure'u z naprzeciwnika. Bo panny młode, nawet jeśli przekroczyły już czterdziestkę, mają matkę, teściową, siostry, szwagierki i przyjaciółki, które zrobią wszystko, by nie pozwolić jej na samodzielne podjęcie jakiegokolwiek decyzji, więc nie spuszcza ją z oka i towarzyszą jej nawet u fryzjera, a przy okazji same się czeszą albo strzygą.

I choć ta dzisiejsza wygląda na taką, co doskonale wpisze się w ten scenariusz, Amalia nadal czuje, że poranek jest dziwny, i to nie tylko z powodu telefonu Begoñi.

– Porozmawiaj, proszę, z Marią Gracią, może uda ci się wybić jej z głowy ten szalony pomysł.

Marisol podchodzi do szefowej, która zapisuje w kalendarzu wizytę panny młodej.

– Jaki pomysł? – pyta rozkojarzona Amalia.

– Żeby nie obcinała włosów. Chce sobie zostawić trzy centymetry. To szaleństwo, ma takie piękne włosy...

Czułam, że coś się stanie, myśli Amalia, podchodząc do Marii Gracii. Tłumaczy jej, że to, co chce zrobić, to wariactwo, że w tak krótkich włosach będzie wyglądać fatalnie, że fryzura musi pasować do kształtu twarzy i do sylwetki, że jeśli koniecznie chce zmienić fryzurę, niech chociaż zostawi włosy do ramion. Jest mnóstwo fryzur, które by jej pasowały...

– Posłuchaj, Amalio! – Klientka nie patrzy na nią, wydaje się, że nie dotarło do niej ani jedno słowo fryzjerki, a teraz odwraca się na krześle, by spojrzeć jej w oczy. – Ostrzyżecie mnie czy nie? – Nagle oczy zachodzą jej łzami. – Bo jeśli nie, to po prostu pójdę gdzie indziej.

– Ależ proszę cię, nie złość się na mnie, ja tylko...

– Ostrzyżesz mnie czy nie?

– Ostrzygę. – Na dowód podnosi przykrywkę sterylizatora, wybiera nożyczki, pokazuje je klientce i powtarza. – Ostrzygę.

Dwadzieścia minut później María Gracia jest inną kobietą, gorszą i brzydszą wersją samej siebie. Z tak krótkimi włosami, z widocznymi pasmami siwizny

przypomina kierowcę ciężarówki albo otyłą lesbijkę ze zbyt małą głową, nieprzyjazną miną i wielkimi piersiami. Może o to właśnie chodzi, a my nie mieliśmy pojęcia, myśli Amalia...

– No i co? – pyta, strzepując jej włosy z dekoltu i karku i siląc się na uśmiech. – Podoba ci się?

– Nie – odpowiada klientka. – Wyglądam okropnie, ale właśnie o to mi chodziło. Więc bardzo dziękuję.

Wstaje, płaci i wychodzi, nie mówiąc nic więcej.

O trzeciej po południu znów dzwoni telefon. Amalia wyszła na obiad, więc tym razem odbiera Marisol.

– Nie wiem, kto to był – relacjonuje szefowej, kiedy ta wraca. – Nie zrozumiałam nazwiska. Nie chciała ze mną rozmawiać. Prosiła, żebyś ty oddzwoniła.

– Naprawdę, dziś dzieją się rzeczy przedziwne – mruczy pod nosem, myśląc, że to, co zaszło do tej pory, to tylko preludium tego, co się jeszcze wydarzy. – Dzień dobry, mówi Amalia. Z kim rozmawiam?

– Dzień dobry – odpowiada jej w słuchawce głos młodej dziewczyny, a potem przedstawia się tak cicho, że Amalia nie słyszy, jak ma na imię.

– Przepraszam bardzo, nie usłyszałam. – Wydaje się jej, że powiedziała Andrés, ale musiała chyba źle zrozumieć.

– Moim wujkiem jest Pascual, przychodziłam kiedyś do was z kuzynką Lucią.

– Andrea! Co za niespodzianka! Co u ciebie słychać?

– Wszystko w porządku... – I znów ścisza głos. – Amalio, mogłabyś mnie ostrzec, kiedy w zakładzie nie będzie nikogo więcej?

– Oczywiście, ale nie rozumiem...

– To dla mnie bardzo ważne. Żeby nie było nikogo. Mogę przyjść tuż przed zamknięciem albo o innej porze, jak ci wygodniej, nie zajmę ci wiele czasu.

– No dobrze, przyjdź o wpół do siódmej. Powiem dziewczynom, że mogą wyjść trochę wcześniej, na pewno się ucieszą – próbuje zażartować Amalia.

– Dziękuję. – Andrea najwyraźniej nie jest w nastroju do żartów. – O wpół do siódmej będę na miejscu.

Zawsze była dziwna.

Amalia przypomina sobie o tym, kiedy Andrea wchodzi do zakładu. Wcześniej czekała oparta o ścianę budynku naprzeciwko i odważyła się ruszyć stamtąd dopiero wtedy, kiedy Marisol i Sandra wyszły do domu.

Gdyby nie znała jej od dziecka, być może zauważyłaby wcześniej. Ale Andrea zawsze była dziwna. Była milcząca, załęknioma, prawie nigdy się nie śmiała, nie kolegowala się z nikim z wyjątkiem Lucii, która zawsze była uroczą, śliczną, troskliwą i potrafiła się cieszyć byle czym. Kiedy Amalia ją poznała,

Andrea miała siedem czy osiem lat i była tylko cieniem przyszytym do pełnego blasku ciała w tym samym wieku, niemą aktorką drugiego planu w życiu swojej kuzynki.

Czasem Mari przyprawiała je ze sobą, kiedy przychodziła się uczesać: Lucía przymierzała peruki, malowała paznokcie albo wkładała głowę do wielkich suszarek, Andrea zaś grzecznie siadała na krześle i czekała, aż jej kuzynka znudzi się zabawą. Nigdy nie rozrabiała, nigdy o nic nie pytała, o nic nie prosiła, ale nie dlatego, że była nijaka ani zbyt dobrze wychowana, nie była też nudziarą, była po prostu inna. Amalia sądziła, że ma kompleksy, bo jest brzydka, chociaż wcale brzydka nie była. Miała piękne oczy, może zbyt pociągłą twarz i trochę za duży nos, ale bez przesady. Miała piękną cerę, brzoskwińową, lecz w jej twarzy coś zgrzytało, jakby było w niej czegoś za dużo, może czegoś w minimalnym stopniu brakowało, jakby w jej rysach przemieszały się dwie różne twarze.

Tego wieczoru, kiedy odwiedza zakład Amalii, ma cerę bardziej szorstką, wysuszoną. Nie wydaje się brzydka, do twarzy jej w krótkich włosach, chociaż ubrana jest nonszalancko, jakby włożyła ubrania wyjęte z szuflady na chybił trafił. Ma na sobie przetarte, ale czyste dżinsy, sportowe buty i koszulę w małą białą-czerwoną kratkę, o wiele za dużą. Jest bardzo zdenerwowana. Amalia przypomina sobie w porę, że jej ojciec często bywa bohaterem telewizyjnych wiadomości, że grozi mu więzienie, i nie pyta o rodziców. Sadza ją na krześle, przeczesuje włosy ręką i odkrywa okropne schodkowate cięcia, najgorszą fryzurę na pazia, jaką kiedykolwiek widziała.

– Co za koszmar! – wymyka się fryzjerce. – Kto ci to zrobił?

– Ja – przyznaje Andrea, Amalia zaś, spoglądając na nią w lustrze, odkrywa błąd, pomyłkę, a może właśnie jasny punkt twarzy, którą ma przed sobą. – Ostrzygłam się sama, ale wyszło, jak wyszło, dlatego przyszłam.

– I co mam zrobić? Wyrównać?

– Nie, obetnij mi na krótko. – W tym momencie Andrea przymyka oczy. – Na chłopaka.

– Na chłopaka? – Amalia spogląda na nią, analizuje rysy jej twarzy, dostrzega przymknięte oczy, dłonie wczepione w poręcz fotela, i nie pyta o nic więcej. – Dobrze, na chłopaka.

Kiedy pracuje nożyczkami, Andrea zaczyna płakać bezgłośnie, jakby zupełnie straciła kontrolę nad wielkimi jak grochy, bezszelestnymi łzami, które płyną jej po twarzy, nie zmieniając ani trochę jej wyrazu – usta półotwarte, policzki wilgotne, blade, błyszczące od płaczu.

Amalia tnie i tnie, i nie wie, co zrobić. Chciałaby podać jej chusteczkę, żeby otarła łzy, ale widzi dłonie zaciśnięte na poręczach fotela, palce niczym wbijające się w plastik szpony, podkulone nogi, zgięte kolana, stopy w powietrzu.

Amalia tnie i tnie, i patrzy na Andreę. Uświadamia sobie, że dziewczyna

przyjęła taką pozę, jakby właśnie ktoś wsadził ją siłą na najbardziej przerażające urządzenie w parku rozrywki, obracające się w powietrzu na wysokości kilkunastu metrów, składające się z siedzenia na długim metalowym ramieniu. Tak właśnie wygląda, ale Amalia nie wie, dlaczego płacze ani dlaczego zamknęła oczy.

Amalia tnie i patrzy, tnie i patrzy, pracuje nożyczkami, raz po raz spoglądając na klientkę, i w końcu rozumie przyczynę panicznego lęku Andrei.

Kiedy kończy, bierze jej głowę w dłonie, unosi ją, przygląda się jej w lustrze i teraz nie widzi nic dziwnego, nic niewłaściwego w twarzy, którą ma przed sobą.

– Otwórz oczy – mówi łagodnym tonem. – Przystojny z ciebie chłopak.

I nagle uświadamia sobie, że dzień przestał być dziwny.

Kiedy Marita odkłada słuchawkę, Begoña prycha urażona, zmienia zdanie, wybiera inny numer, ale okazuje się, że María rozmawia. Na pewno tamta wszystko jej opowiada, myśli podejrzliwie, a minutę później próbuje jeszcze raz i już nie jest zajęta.

– Cześć, Bego! Co się stało wczoraj? Nie było cię...

– Tak, pokłóciłam się z Fernandem, ostatnio nie można z nim wytrzymać, ma jakieś problemy w pracy czy coś, i przeszła mi chęć... – Teraz nie ma ochoty o tym mówić. – Marita opowiadała mi o tym, co zrobiła Sofía. Niezła desperacja, nie?

– Desperacja? – Oho, następna, która będzie szukać dziury w całym, myśli María. – Co przez to rozumiesz? Historię z Sebastiánem?

– Sebastiánem? To znaczy, że już wiemy, jak się nazywa?

– No jasne. Gdybyś wczoraj przyszła, też byś wiedziała.

– No, ale to jednak żalotne, że tak od razu poszła z nim do łóżka, z rodzicami w domu i w ogóle. Musiała być bardzo wyposzczona, nie?

– Nie wiem, za to teraz czuje się wspaniale. O szóstej rano przysłała mi wiadomość na whatsappie pełną trąbek, palców złożonych w znak wiktorii, tancerek flamenco i serpentyn, więc...

– Oj, nie wiem, ja jednak sądzę... On jest tylko stróżem, Marío.

– Nie, nie jest tylko stróżem, Bego. – Jej ton głosu staje się równie ostry jak Marity przed chwilą. – Jest kierownikiem budowy, który stracił pracę i pracuje jako portier. A poza tym, jakie to ma znaczenie? Sofí poznała faceta, przespała się z nim i jest szczęśliwa. Nawet gdyby był robotnikiem, w czym problem?

– No w tym, że jest kobietą zdesperowaną, nawet zwykły stróż to zauważył. A poza tym, żeby się całować jak nastolatki w przychodni, kiedy widzi to cała dzielnica? A jej godność?

– Godność, powiadasz... – Teraz to María prycha. – Słuchaj, Bego, rozłączę się, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, czeka na mnie pacjent, a po drugie, nie będę ukrywać, że mam wielką ochotę powiedzieć ci, żebyś nie wpierdalała się w nie swoje sprawy. Cześć!

Rzuca słuchawką, a Begoña nie znajduje sposobu, by oderwać się od swoich myśli i spróbować uciec z pułapki, w której się znalazła. W końcu postanawia wziąć prysznic, ubrać się i zejść do bankomatu, żeby wyciągnąć pieniądze na fryzjera, do którego wybiera się po południu.

Begoña prawie nigdy nie była szczęśliwa.

No, może jako mała dziewczynka, bo z tamtych czasów nie pamięta tej presji, tej kuli w żołądku, która od lat towarzyszy jej wszędzie jak natrętny, nieproszony gość, tak wrośnięty w jej ciało, że już nie odczuwa jej jako czegoś obcego.

Begoña nie jest szczęśliwa i nie wie dokładnie dlaczego. Żyje

w przekonaniu, że ciągle jej czegoś brakuje, że szczęście, tak hojne, a może nawet rozrzutne dla tych, którzy ją otaczają, wobec niej okazało się sknerą. Nie może pozbyć się tego wrażenia, które przyciemnia jej obraz jak ciemne okulary, barwi na szaro całą jej rzeczywistość, dom, który nigdy się jej nie podobał, meble, nie tak piękne jak te, które widzi w domach znajomych, samochód zawsze zachlapany na zewnątrz, a w środku pełen torebek po chipsach konsumowanych namiętnie przez jej dzieci na tylnym siedzeniu. I wreszcie własne odbicie w lustrze.

Nie należy może do piękności, ale nikt, z wyjątkiem niej samej, nie powiedziałby, że jest brzydka. Ma ładną twarz, nosi rozmiar czterdzieści, ma metr sześćdziesiąt sześć centymetrów wzrostu, ładne nogi, piersi na swoim miejscu, piękny głos i nieliczne zmarszczki, tylko tyle, ile powinno się mieć w jej wieku. Ale kiedy przegląda się w lustrze, widzi kobietę bez wyrazu, nieelegancką, której brakuje klasy. Podobnie jak jej domowi, jej mężowi, jej dzieciom, całemu jej życiu. I za każdym razem kiedy to stwierdza, kula w jej żołądku rośnie, staje się twardsza, cięższa i tak absorbująca, że odbiera jej powietrze do oddychania i chęć do życia.

Dlaczego ja?, zastanawia się często. Dlaczego nie ja? I próbując to naprawić, wybiega na ulicę po nieprzespanej nocy, jak opętana przez demona, po godzinach spędzonych na szukaniu w Internecie wyprzedaży w ekskluzywnych sklepach, które sprzedają tkaniny, dekoracyjne przedmioty, drobiazgi zdolne rozświetlić przytłaczającą szarość jej świata. Kiedy znajduje to, czego szukała, napięcie maleje, a uśmiech pozornej satysfakcji pojawia się na jej ustach, ale spokój trwa krótko, najwyżej kilka godzin. Potem znów przebiega wzrokiem przez starą tapicerkę, niemodny już stół, niemiecką lodówkę, dobrą i w miarę nową, ale mającą zamrażalnik na dole, a nie obok, jak w najnowszych modelach. W tym momencie niepokój podnosi krzyk, woła ją po imieniu, pyta, czy naprawdę sądziła, że uwolni się od niego tak łatwo. I cała zabawa zaczyna się od nowa.

Begoña nie potrafi być szczęśliwa, a jej długotrwała, głęboka frustracja unieszczęśliwia jej męża, jej dzieci i jej przyjaciół. Nie jest tego do końca świadoma, bo kula w żołądku wymaga zbyt wiele uwagi, jest jak dół wykopany na plaży, do którego wlewasz wodę, a on pochłania ją w całości i prosi o więcej, i pochłania następną porcję, a potem kolejną i jeszcze kolejną. Tak było do wczoraj. Bo wczoraj jej mąż zasypał dół jednym ruchem, bez żadnego ostrzeżenia, tak nagle, że Begoña postanawia nie przyjmować tego do wiadomości.

– Jak to, zamkną sklep?

– Begoño...

– Poza tym, przecież jesteś w świetnych stosunkach z szefem, prawda? Zawsze zaprasza nas do siebie na Boże Narodzenie, więc po prostu nie wierzę ci, to niemożliwe.

– Begoño, tłumaczę ci właśnie, że zamkną moją firmę. Zamkną ją, rozumiesz? Bardzo lubię swojego szefa, to prawda, zaprasza nas do siebie na Boże

Narodzenie. A dziś powiedział mi, że zamyka firmę. Zamyka. Koniec kropka.

Wydaje ten wyrok, od którego nie przysługuje odwołanie, i patrzy na nią tak samo jak w czasach, kiedy próbował przekonać żonę, że ma problem, w czasach, kiedy miał jeszcze odwagę używać słowa „terapia”, i czeka, aż do Begoñi dotrze sens tej wiadomości.

– Ale w takim razie – trwa to długą chwilę – co my teraz zrobimy?

– Myślałem...

Fernando zaczyna mówić, ale się waha, zastanawia się raz jeszcze, lecz w końcu wstaje z krzesła, siada obok żony i bierze ją za rękę.

– Zastanawiam się, czy nie przejąć firmy. Muszę się nad tym dobrze zastanowić, ale jeśli zainwestuję odszkodowanie za zwolnienie, uda mi się wynegocjować z dostawcami te same warunki, zredukuję personel, zamrozę pensje tych, co zostaną, i zrezygnuję ze swojej, a poza tym będę harował jak wół... To rentowny sklep ogrodniczy, przy odrobinie szczęścia za rok...

– Wspaniale! – Begoña nie chce wiedzieć więcej, więc całuje go szybko, żeby pożałował, że w ogóle próbował powiedzieć jej prawdę. – Więc będziesz teraz biznesmenem. To najlepsze wyjście, wszyscy tak mówią, założyć własną firmę. Gdyby wszyscy bezrobotni mieli tyle oleju w głowie co ty, nie borykalibyśmy się z tym kryzysem.

– Begoño...

Ale ona nie słucha. Mówi, że ma sporo rzeczy do zrobienia, potem bierze prysznic i szykuje się do wyjścia, myśli, że powinna jeszcze wyskoczyć na zakupy, zanim pójdzie na manifestację w obronie przychodni.

Kiedy znów spogląda na zegarek, jest za piętnaście dziesiąta, i uznaje, że już za późno.

Tego ranka przed wyjściem z domu całuje Fernanda pochylonego nad stołem teczek rozłożonych na stole w jadalni, laptopem i kalkulatorem ich najstarszego syna.

– Zaraz wrócę, kiedy dostarczą zakupy, powiedz, żeby zostawili wszystko na stole w kuchni, dobrze?

Przed bankomatem ustawiła się kolejka, wszystko idzie dobrze, póki nie nadchodzi jej kolej. Begoña wstukuje PIN, wybiera największą kwotę, jaką jednorazowo może wyjąć, wciska zielony guzik, ale zamiast pieniędzy dostaje niezrozumiałą wiadomość. Powtarza operację i wyskakuje jej ten sam komunikat. Wyjmuje więc kartę i wchodzi do oddziału.

– Nie, wszystko jest w porządku. – Pani w okienku uśmiecha się, jakby miała jakąś dobrą wiadomość do przekazania. – Limit dzienny pani karty to pięćdziesiąt euro. Większą kwotę może pani wyjąć tylko na kartę kredytową.

– Pięćdziesiąt euro? – To jedna dziesiąta tego, co zwykle wyjmuje z bankomatu. – To niemożliwe, musieli się państwo pomylić, nic nie rozumiem...

– Nie. – Uśmiech znika nagle z twarzy kasjerki. – Współwłaściciel konta...

– Dobrze, dobrze, dziękuję bardzo. – Zabiera kartę, odwraca się na pięcie i wychodzi bez słowa.

Begoña nie ma pojęcia, co zrobił jej mąż, ale myśl o tym, że jakaś obca osoba powie jej o tym przy innych ludziach, deprymuje ją jeszcze bardziej niż nowy limit na karcie. Postanawia pójść na spacer, żeby trochę ochłonać, potem wchodzi do kawiarni, zamawia tost i kawę, i uznaje, że Fernando to histeryk, ale jeszcze zdoła przemówić mu do rozumu.

Kiedy przynoszą jej rachunek, w pierwszej chwili chce zapłacić kartą, jednak nie ma odwagi, więc wyjmuje z portfela gruby banknot. Potem, skoro już go rozmięła, kupuje tuzin białych lilii, dużych, przepięknych, od Cyganki, która sprzedaje je codziennie przy wyjściu z metra.

Fernando nadal siedzi przy kuchennym stole nad swoimi teczkami, laptopem i kalkulatorem. Na widok żony rozsiada się głębiej na krześle i patrzy jej w oczy.

– Chyba trochę się zagalopowałeś. – Begoña uznaje to spojrzenie za frontalny atak. – Kto ci dał prawo, żeby wydzielać mi pieniądze? Kto ci pozwolił zmieniać limit mojej karty kredytowej, nie mówiąc mi o tym ani słowa? To szczyt wszystkiego! Tym razem przesadziłeś...

– Ja? – Fernando zapala papierosa i zaczyna się tłumaczyć. Furia malująca się na twarzy jego żony ustępuje miejsca zdumieniu. – Ja tylko...

– Od kiedy znów palisz?

– Od wczoraj.

Znów się zaciąga, wydmuchuje dym i patrzy na nią. Begoña wyczuwa w jego wzroku łagodność, ale nie ma odwagi zapytać go, czy aby nie zwariował, ani poprosić go, by nie robił głupstw, i nagle uznaje, że nie chce nawet wiedzieć, co stało się z jej kartą.

– Dobrze, pójde wstawić kwiaty do wazonu, bo...

– Usiądź, Bego, kwiaty nie uschną w dziesięć minut. Zapalisz? – Ona bierze papierosa, on go zapala i mówi dalej. – Nie skąpię ci twoich pieniędzy, próbuję ci tylko pomóc nimi gospodarować. Z wynajmu mieszkania, które odziedziczyłaś po swojej macosze, po odliczeniu czynszu zostaje tysiąc pięćset euro, nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę. Z patentów twojego ojca zyskujesz drugie tyle, ale wypłata jest raz do roku, w styczniu. Mamy kwiecień, a ty wydałaś już cztery razy tyle, ile zarobiłaś w tym roku. Tysiąc pięćset euro dzielone na trzydzieści daje pięćdziesiąt i daję ci w prezencie pięćdziesiąt euro w miesiącach, które mają trzydzieści jeden dni. – Popycha kalkulator po blacie stołu. – Możesz sprawdzić, jeśli chcesz. Do tej pory nie miało to wielkiego znaczenia, bo s płacałem twoje długi. Ale te czasy się skończyły, Bego. Dziś wstałem o szóstej rano, bo nie mogłem spać, sprawdziłem stan konta i zobaczyłem, że wczoraj wydałaś pięćset czterdzieści euro w supermarkecie.

– To zakupy na cały miesiąc. – Begoña zazdrości nagle ślimakom ich wspaniałej muszli, w której, w chwilach takich jak ta, mogą się schować.

– Pięćset czterdzieści euro po naszej rozmowie, pięćset czterdzieści euro, chociaż wiedziałas, że zamykają moją firmę, pięćset czterdzieści euro, Begoño... Wiesz, że niektóre rodziny za taką kwotę muszą przeżyć cały miesiąc?

– Dobrze, następnym razem...

– Nie o to chodzi, Bego. – Gdyby odważyła się spojrzeć na męża, zobaczyłaby, że krzywi się przy każdym wymawianym słowie, jakby sprawiało mu ból, ale z braku muszli Begoña zadowala się wpatrywaniem we własne dłonie. – Nie będzie już następnego razu. Już nie.

Przez chwilę oboje siedzą w bezruchu, na dwóch przeciwległych biegunach tego samego smutku.

– Więc jesteśmy biedni – podsumowuje ona, a łamiący się ton głosu zaskakuje nawet ją samą, jakby wydobył się z cudzego gardła.

– Nie o to chodzi, że jesteśmy biedni. Chodzi o to, że nigdy nie byliśmy bogaci. I na razie, póki sklep nie zacznie przynosić regularnych dochodów, będziemy musieli żyć z zasiłku dla bezrobotnych. Kiedy zapłacę za przejęcie firmy, mam nadzieję, że zostanie mi coś z odszkodowania, ale będziemy musieli oszczędzać, póki nie przekonamy się, jak nam idzie. Więc bardzo mi przykro, kochanie, ale fiesta się skończyła.

Begoña wstaje, odwraca się plecami do męża i zmierza powoli w kierunku drzwi.

– Kocham cię, Bego – słyszy za plecami.

– Nieprawda – odpowiada ona, nawet się nie odwracając.

Zamyka się w pokoju, dzwoni do fryzjerki, żeby odwołać wizytę, rzuca się na łóżko, wtula głowę w poduszkę i płacze.

Słyszy, że dzieci wracają ze szkoły, i płacze dalej.

Słyszy dochodzący z kuchni odgłos przestawianych garnków, ale nie przestaje płakać.

Słyszy szum wody w zlewie i pomruk silnika zmywarki, i nadal pochlipuje.

A potem zasypia.

Budzi się o siódmej wieczorem, głodna, wyczerpana, jakby właśnie rozładowała ciężarówkę, wychodzi z sypialni i przekonuje się, że w domu nie ma nikogo.

Nie ma ochoty gotować, więc robi sobie kanapkę z szynką serrano, gdyż otwarcie paczki ze znacznie droższą szynką iberyjską, którą kupiła wczoraj, napawa ją nagle niezrozumiałym lękiem, i zanosi ją do salonu. Tam siada na swoim miejscu, w ulubionym kącie kanapy, i doznaje niespodziewanego olśnienia. Po raz pierwszy od wielu lat podoba się jej to, co ma: przestronny, pełen światła dom, ładne meble, dzieci, które ją uwielbiają, mąż, gotowy wziąć na siebie wszystkie

obowiązki, który nigdy nie wyrzucał jej, że nie pracuje.

Oczy zachodzą jej łzami i czuje się lepiej, po chwili znacznie lepiej, a w końcu lepiej niż kiedykolwiek.

Kiedy wstaje z kanapy, zdaje sobie sprawę, że kula w jej żołądku zniknęła.

Oddycha głęboko, cieszy się z tego i zastanawia, jak prędko wróci tym razem.

W Niedzielę Palmową Diana zaprasza matkę na obiad.

Adela przynosi wino i deser, jak zawsze. Prędko zauważa, że zięć je niewiele, a mówi jeszcze mniej.

– Pomożesz mi sprzątnąć ze stołu, mamó?

Kiedy kończą kawę, Adela sądzi, że córka chce porozmawiać w kuchni o swoim mężu. Jej pierwsze słowa zdają się to przypuszczenie potwierdzać.

– Słuchaj, mamó, ja... – Otwiera zmywarkę, pochyla się, by zbadać jej zawartość, i dopiero ze środka dociera głos, który wyjaśnia: – Mam pewien problem.

– Zauważyłam. – Matka wkłada szklanki na górną półkę. – Pepe ma kłopoty?

– Pepe? – Córka patrzy na nią zaskoczona. Z blachy do pieczenia na wszystkie strony kapie woda. – Nic mu nie jest.

– Na pewno?

– Na pewno. – Kiwa głową energicznie i znów podchodzi do zmywarki. – Nie chodzi o niego, tylko o Sofię. Chce spędzić Wielkanoc nad morzem z tym swoim nowym narzeczonym, ale on zarabia tak mało, że nie może zapłacić za hotel, a ona nie chce płacić za wszystko, żeby nie poczuł się źle, zapytała więc, czy mogliby skorzystać z naszego domku na plaży.

– Ach! – Adela uśmiecha się, wkładając kolejne szklanki, bo Diana przypomniała jej właśnie, że ma o jeden problem mniej. – Wspaniale, bardzo się cieszę, twoja siostra bardzo tego potrzebuje.

– Tak, ale posłuchaj. – Diana opiera się o zlew, ścisną pięść i zaczyna odliczać na palcach. – W naszej sypialni będziemy spali my. W pokoju gościnnym moi teściowie, którzy zapowiedzieli wizytę już miesiąc temu. W pokoju dzieciennym Pablo i jego przyjaciel Felipe, gdyż Jose nie jedzie, powiedział, że zostanie w Madrycie, żeby się uczyć. Jeśli ulokuję Marianę w pokoju przy kuchni, Sofia i jej narzeczony mogą spać w jej pokoju, ale wtedy...

– Ale łóżka mają tylko osiemdziesiąt centymetrów szerokości...

– Tym się nie martwię, mamó. Są w takiej fazie związku, że nawet gdyby spali we dwoje w pojedynczym łóżku, i tak nie będą się skarżyć. Chodzi o to, że nie mam już więcej łóżek.

– I co z tego? – Adela nagle rozumie, o co chodzi córce. – Ach, chodzi ci o mnie? Nie martw się, córeczko, i tak nie miałam zamiaru ruszać się z Madrytu w te święta. Mam sporo rzeczy do zrobienia.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Powinnaś się raczej martwić o Pepego. Coś go gryzie, uwierz mi. Znam się na tym.

Kiedy mąż Adeli umiera, ona czuje, że nie zainteresuje się już niczym na świecie.

Bo traci nie tylko męża. Razem z nim odchodzi jej życie, jej chęć, by żyć dalej. Bez Miguela nie ma na nic ochoty, począwszy od soku na śniadanie, a skończywszy na spaniu każdej nocy. Każda sekunda jej życia dłuży się niemiłosiernie, wydaje się niepotrzebna, i tak przez całe tygodnie, miesiące, przez cały rok. Nie wie, co tu robi, nie wie, dlaczego żyje, nic jej nie interesuje, nic nie sprawia przyjemności, ma tylko ochotę palić papierosa za papierosem, żeby jak najszybciej umrzeć.

Córki tego nie rozumieją. Spodziewałyby się tego po każdej innej kobiecie, ale nie po swojej matce, tak aktywnej, tak zaangażowanej w różne sprawy, tak nowoczesnej – nie. Adela nie może już zliczyć wszystkich zajęć sportowych, wszystkich sanatoriów, które jej poleciły, kiedy dostrzega na monitorze komputera dziwne okienko, które miga i świeci jak żywa istota.

Niech spłonie Troja – ojczyzna Parysa, której Miguel i ona poświęcili życie, ponosi odpowiedzialność za to, że otrzymuje czasem spam, ale nigdy wcześniej nie widziała podobnej reklamy. Co to takiego?, zastanawia się.

Odkrywa natychmiast, że chodzi o grę, grę strategiczną, na pierwszy rzut oka banalną, a jednak bardzo trudną, która okaże się dla niej ratunkiem. Jej mąż, profesor Salgado, wykładowca greki na Wydziale Filologii Klasycznej Uniwersytetu Autonomicznego w Madrycie, autor tłumaczenia *Iliady* opatrzonego komentarzami, byłby z niej dumny, bo pierwszy raz kosztuje ją wiele wysiłku. Ponad dwa tygodnie zajmuje jej zmuszenie Agamemnona do kapitulacji, ale udaje się jej ocalić Troję, a przy okazji zaczyna jeść regularne posiłki, spacerować, czytać i kładzie się spać o zwykłej porze. Nigdy nie pogodzili się z Miguelem z finałem historii opowiedzianym przez Homera, zawsze byli miłośnikami Hektora i jego ludu. Dlatego kiedy musi wybrać imię w grze, decyduje się na Andromachę.

Potem zaczyna kolejną rozgrywkę. Przegrywa ją i przysięga sobie, że nigdy więcej nie zobaczy na swoim monitorze płonących murów Troi. Wkrótce gra robi się bardzo popularna. Pisze się o niej w gazetach, robi telewizyjne reportaże i w głównym menu pojawia się opcja: *Turniej! Niech spłonie Troja! Walcz z Grekami i Trojanami z całego świata...*

Kiedy postanawia spróbować swych sił, okazuje się, że prawie wszyscy uczestnicy sympatyzują z Grekami. Znajduje tylko jednego gracza, który przybrał imię Hektor, ale Adela zawsze pogardzała przywłaszczaniem sobie łatwej chwały zwycięzców.

– My dobrze wiemy, kto miał rację, kochanie.

Każdego popołudnia, kiedy nadchodzi godzina rozgrywki, bierze zdjęcie Miguela, całuje je i stawia obok siebie na biurku, wybiera swojego konia, hełm, zbroję, miecz, łuk i strzały.

– Zaraz mnie popamiętasz, przeklęty Achaju. – I zawsze podejmuje lepsze decyzje niż jej rywale.

Pewnej nocy, po kolejnym z rzędu zwycięstwie, na ekranie ukazuje się nowe okienko. To zaproszenie na turniej stacjonarny, który ma się odbyć w lecie, w hotelu przy Gran Vía. Jest tak zdenerwowana, że wychodzi na ulicę, spaceruje do upadłego, a potem wraca do domu i znajduje wymówki. Nie może w wieku siedemdziesięciu lat zjawić się tam i grać z jakimiś nastolatkami. Nawet jeśli spłonie Troja. Na szczęście Troja nie płonie, bo Hektor wygrywa turniej.

Niestety, kilka miesięcy później, podczas turnieju bożonarodzeniowego, Hektor przegrywa z Achillesem i na milionach monitorów na świecie płomienie zmieniają pałac Priama w kupkę popiołów.

– Hektorze, gdzie byłeś? – szepce z oczyma pełnymi łez. – Pójdę na ogólnokrajowe mistrzostwa – oświadcza fotografii męża. – Obiecuję ci, że pójdę.

Dlatego w Środę Popielcową, zamiast wyjechać nad morze z Pepem i Dianą, stawia się w największym salonie hotelu przy Gran Vía.

– Przepraszam panią – mówi do niej młody chłopak, który stoi na bramce – nie może pani tu wejść, mamy dziś turniej gier.

– Ach, przepraszam. – Staruszka szuka w torbie i wiesza na szyi identyfikator, który przesłano jej pocztą. – Teraz mnie pan wpuści, prawda?

– Andromacha? – Chłopak blednie, jakby Adela odmłodziła nagle o pięćdziesiąt lat, przywdziała białą tunikę i tuliła w ramionach wnuka Priama. – Pani jest Andromachą?

– Tak, to ja...

– Arturo! – krzyczy i wybiega z pomieszczenia. – Curro! Chodźcie tu, nie uwierzycie...

Trzy dni później, w dniu finału, to ona zblednie ze zdumienia.

Nie przegrała ani jednej bitwy, ale też nie została z innymi graczami, by świętować zwycięstwo – w jej wieku nie przystoi chodzić na piwo z młodzieżą. Druga grupa gra w innej sali i nie zna swojego rywala, ale wcale się go nie boi. Kiedy nadchodzi ostateczna rozgrywka, Adela zajmuje stanowisko naprzeciw gigantycznego monitora, wyjmuje z torebki fotografię Miguela i stawia ją obok siebie. Chwilę później ktoś podnosi zdjęcie.

– Cześć, babciu. – Odwracając się, widzi swojego wnuka, Josego, który przygląda się fotografii dziadka.

– Jose! – Patrzy na niego i ogarnia ją jakiś niewytłumaczalny lęk. – Co ty tu robisz? Czy mama o tym wie?

– Oczywiście, że nie, za kogo mnie masz? – Chłopak wybucha śmiechem i całuje ją na powitanie. – Powiedziałem, że zostaję w Madrycie, żeby się uczyć, bo nie chcę, żeby miała mnie za próżniaka. Mama by tego nie zrozumiała.

– Ale ty? – Adela stara się znaleźć wyjaśnienie inne niż to, które samo się nasuwa. – Ty...? – Może wnuk przyszedł po prostu obejrzeć finał. – Ty...? – Może przyszedł kibicować przyjacielowi. – Ty...? – Może przechodził obok i postanowił

zajrzeć, jako kibic. – Co ty tu robisz?

– Ja jestem Hektorem, babciu.

Adela przymyka oczy, a kiedy je otwiera, zbliża się do nich sędzia, żeby przekazać złą wiadomość.

– Mamy pewien problem.

– Phi... – Adela podnosi głowę i spogląda na niego. – Żeby tylko jeden.

– Tak. – Jose się uśmiecha. – Nie szkodzi, będę Achillosem.

– Nie ma mowy, z przyjemnością odstąpię ci...

– Nie zgadzam się, babciu. Jesteś lepsza ode mnie. Będiesz Andromachą i koniec.

– Babciu? – pyta sędzia, lecz żadne z nich nie odpowiada.

Nagle z głośników rozlega się głos bębnow i trąbek. Rozpoczyna się bitwa, ale tym razem finaliści nie ograniczają się do podania sobie ręki. Starsza pani i dwudziestoletni chłopak przytulają się, a publiczność bije brawo. Zanim zasiądą przed monitorami, Hektor, zmieniony w swojego wroga, nachyla się nad uchem Andromachy i szepce:

– Na pewno myślisz o tym, żeby dać mi wygrać. – Ona kręci głową, on jej nie wierzy. – Jeśli tylko spróbujesz, nie odezwę się do ciebie do końca życia, zobaczysz.

– Ale Jose, mnie jest wszystko jedno.

– A jemu? – I Jose wskazuje na zdjęcie, z którego spogląda na nich Miguel.

– Troja nie może spłonąć, babciu, po prostu nie może. Rozumiesz? Nie miej litości.

– Spokojnie, kochanie. – Tak, rozumie to. Wspina się na palce i całuje wnuka w policzek. – Postaram się nie mieć litości.

Trzy godziny później Grecy kapitulują.

Achilles jeszcze nigdy tak bardzo nie cieszył się z klęski.

Zachód słońca jest tak niesamowity, że zaczynają bić brawo, biorą przykład z zagranicznych turystów, którzy przyjechali tu uprawiać kitesurfing, a teraz zbierają swoje manatki z plaży.

Potem się całują. Pocałunki na świeżym powietrzu, bez martwienia się o to, czy ktoś zauważy czy nie, po całej zimie udawania, ukradkowych uścisków w pomieszczeniu z kserokopiarką w komisariacie, jest dla nich zupełną nowością. Inspektorka Fernández i agent Ferreiro spędzają swoją pierwszą wspólną noc z dala od Madrytu, na plaży otoczonej wydmami i lasami sosnowymi, zwykle pustej, a zwłaszcza teraz, kilka dni po Wielkanocy. Całują się i ciągle im mało, aż w końcu zapada zmrok i wiatr zmienia kierunek.

– Wracamy? – Ona poddaje się wcześniej, czując, że od zimna i wilgoci dostaje gęsiej skórki.

– Tak, późno się zrobiło. – On szuka telefonu w kieszeni spodni, których używali jako poduszki, a po chwili krzyczy ze zdumieniem. – Jest dziesiąta piętnaście!

Ale całują się jeszcze chwilę, a później wstają i wchodzą pod górę. Kiedy przechodzą obok baru na plaży, Miguel pyta brata, do której można zjeść kolację.

– O której chcecie. Zamykamy kuchnię koło pierwszej. To jest Kadyks.

Domek jest maleńki i uroczy, jak z bajki. Składa się z jednego pokoju, z łóżkiem przysuniętym do ściany, sofą obok łóżka, stojącym przed nią stolikiem i półką szerokości telewizora, który na niej stoi. Kącik kuchenny to dwie szafki, blat z kuchenką i lodówka. Duże jest jedynie łóżko, oni zaś nie potrzebują niczego więcej. Okno balkonowe wychodzi bezpośrednio na plażę, a właściwie na taras z tekowego drewna, wąski i długi; stoją na nim dwa leżaki, stolik, cztery krzesła i parasol. Na lewo od domku znajduje się bar Pedra Ferreiry. Ostatnim razem, kiedy przyjechał do Madrytu w Boże Narodzenie, zaprosił tu młodszego brata, ale kiedy dziś podawali z Auxi obiad ostatnim spóźniałskim, zjawił się z kobietą tak atrakcyjną, że aż opadły im szczęki.

– Tam może być? – Pedro wskazuje stolik w rogu, lustrując wzrokiem opiętą sukienkę z czerwonej lycry. – Zaraz opuszczę żaluzje, żeby wam nie wiało. – I podczas gdy kręci korbą, korzysta z okazji, by zajrzeć w dekolt Raquel.

Miguel zauważa to, ale nie denerwuje się na brata. Pedro jest, jaki jest: od czasu gdy zerwał z Sofią Salgado, kiedy oboje byli jeszcze na studiach, skacze z kwiatka na kwiatek, zalicza kolejne podboje. Tym razem bracia znajdują się jednak w niecodziennej sytuacji. Po raz pierwszy to Miguel ma dziewczynę ładniejszą niż dziewczyna Pedra, i w dodatku od niej starszą.

– Na co macie ochotę?

Auxi jest młodziutka i bardzo zabawna, okrągłutka, jakby jej skóra zachowała miękkość i gładkość nie tak odległego dzieciństwa. Ma twarz opalonej lalki, o drobnych, przyjemnych rysach, i ciało, które sprawia wrażenie pluszowego,

mimo wcięcia w pasie, okrągłe biodra i jędrne piersi, jak przystało na dwadzieścia parę lat. Na pierwszy rzut oka Miguelowi wydaje się, że jest mniej atrakcyjna niż połowa poprzednich dziewczyn brata, ale wieczorem, kiedy widzi, jak porusza się między stolikami, jakby tańczyła na palcach, zdaje sobie sprawę, że Auxi jest absolutnie urocza, to kobieta z gracją, tak nienachalnie, a jednocześnie nieodparcie atrakcyjna, że nie musi robić najmniejszego wysiłku, by kogokolwiek uwieść.

– Mogę cię o coś zapytać? – wali prosto z mostu Miguel już nad ranem, kiedy Auxi przysiada się do nich. – Czy to – i wskazuje palcem cały bar – jest legalne?

– A co? – Auxi wybucha śmiechem, który czyni ją jeszcze bardziej atrakcyjną. – Jesteś policjantem nawet na wakacjach, prawda?

– No... Obawiam się, że tak.

Bar na plaży założył dziadek Auxi. Wcześniej jej pradziadek miał w tym samym miejscu kiosk z jedzeniem dla pracowników przetwórnicy rybnej produkującej konserwy z tuńczyka, ale znikła wraz z wojną.

– Jutro możecie przejść się w stronę najbliższej osady, zobaczycie ruiny pośród wydm. To właśnie ruiny przetwórnicy.

Dziadek Auxi postanowił przekształcić przynoszący nikłe dochody rodzinny interes w skromny bar: kontuar, cztery stoliki i dach z trzciny, lecz wcale nie poszło mu lepiej. W połowie lat sześćdziesiątych, kiedy zaczęli tu zjeżdżać Brytyjcy i Niemieccy turyści, zwabieni perspektywą smażenia się na słońcu przez cały dzień, a wieczorami smarowania spalonych pleców kremem, ta niewielka plaża, owiewana bezlitośnie wiatrami ze wschodu i zachodu, nie ucierpiała wskutek inwazji. Właściciel baru nigdy nie tęsknił za obłędnym ruchem, jaki panował w kioskach na innych plażach, gdzie w sierpniu codziennie po południu brakowało już ryb, piwa i chleba.

Jego bar nigdy nie był zbyt popularny, ale za to on nie musiał się przepracowywać. Po co mi więcej, mawiał, w końcu dla mnie i dzieciaka zawsze wystarczy. Bo moja babcia zmarła przy porodzie.

Miał jednak wierną klientelę. Interesujących ludzi, którzy przychodzili na plażę po to, by po niej chodzić albo pływać, a nie tylko leżeć na ręczniku i panierować się w piasku. Łowcy owoców morza, prawdziwi rybacy, nie ci wakacyjni, którzy co roku wyciągają z piwnicy wędkę, by łowić wodorosty. Rodziny z La Línea i Algeciras, jedyne znające tę plażę, której nie pokazywały mapy. Ale bar na plaży w pobliżu Gibraltaru – najodważniejsi nie bali się pokonywać wpływ dystansu dzielącego ich od skały – żył głównie z kontrabandy. Był naturalnym terytorium, tutaj, jak w maleńkiej Szwajcarii z piasku i trzciny, przy kontuarze zasiadali na przemian przemysłowcy i funkcjonariusze Gwardii Obywatelskiej, a czasem jedni i drudzy naraz.

– Mój dziadek obsługiwał wszystkich, ale nie zwierzał się nikomu. Umiał

dochować tajemnicy i nigdy nie stracił klienta ani z jednej, ani z drugiej strony. Pod koniec lat siedemdziesiątych postanowił przejść na emeryturę i mój ojciec odziedziczył lokal, ale też nie miał zbyt wiele szczęścia. Wtedy przybyli hipisi i, według niego, wszystko zaczęło się psuć.

Ci spóźnieni, biedni hipisi, mający mnóstwo dzieci, podchodzili do baru głównie po to, by zamówić szklankę wody. Kobiety często opalały się nago, a ich widok czasem rekompensował cienkie portfele ich mężów. Ale kiedy skończyły się czasy kontrabandy i izolacji Gibraltaru, to właśnie nudyści ocalili od ostatecznej plajty bar ojca Auxi. Mężczyźni i kobiety, golusieńcy jak ich Pan Bóg stworzył, raczej starzy niż młodzi, raczej brzydzy niż ładni, ale za to bogaci, zaczęli wypełniać bar od maja do końca października, nie niepokojeni przez Gwardię Obywatelską, gdyż pierwszy demokratycznie wybrany burmistrz zdecydował zrobić z tej właśnie plaży plażę dla naturystów.

– Mój ojciec zniósł to z godnością. Ale pojawienia się surferów już nie wytrzymał. Odchodzę na emeryturę, oświadczył mi trzy lata temu, wszystko jest twoje, a ja powiedziałam, że super, chętnie zajmę się interesem.

Bo Auxi dorastała w tym bezhołowiu, miszmaszu ludzi gołych i ubranych, biednych i bogatych, sportowców i leniów, przestępców i stróżów prawa, koegzystujących bez większych konfliktów. Podobał się jej porządek ukryty za tym chaosem, trójki grubych kobiet przechadzających się po plaży z wnuczkami za rękę, pomiędzy parami naturystów, nie zawsze odmiennej płci, całujących się w usta kilka kroków od chłopaka w neoprenowym kombinezonie, montującego żagiel do deski, i grupki turystów smarujących się zielonym błotkiem, doskonałym dla skóry, a potem suszących się na słońcu.

– Tutaj już nie sposób się w niczym połapać, uważał mój ojciec, i nie brakowało mu racji. Ja też nie mogę się połapać, ale lubię to uczucie. Jestem stąd, tu jest Kadyks. Kto tu nie był, nie potrafi sobie nawet tego wyobrazić.

Kiedy ojciec oddał jej bar, Auxi spotykała się już z Pedrem, on prowadził wtedy swój na plaży w Tarifie, na której nie można było postawić stopy, by o coś się nie potknąć: deskę, żagiel, parasol... Plaża narzeczonej spodobała mu się o wiele bardziej; zaproponował, że zostanie jej współnikiem, i oboje na tym skorzystali.

– Pedro wpadł na pomysł, żeby wybudować dwa domki tam, gdzie stał wcześniej dom i kiosk mojego dziadka. I są legalne, działka do niedawna nie była nic warta i należała do mojej rodziny o wiele wcześniej, nim uchwalono ustawę o niezabudowywaniu linii brzegowej. Poza tym stoją ponad sto metrów od linii przypływu, chociaż teraz, kiedy skorumpowani politycy chcą pozwolić na budowanie na samej plaży, zobaczymy, co będzie.

– A bar?

– Stoi tylko w sezonie. Rozkładamy wszystko w maju, zwijamy

w październiku. W zimie wydaje się, że nigdy nie było tu żywej duszy.

O czwartej nad ranem uznają, że najwyższa pora się położyć.

Wszyscy klienci poszli już spać, bogaci nudyści, biedni hipisi, wędrowcy, rybacy, adepci windsurfingu i kitesurfingu, mieszkańcy Sewilli, którzy przyjechali na weekend, i lokalni plażowicze, zostało tylko ich czworo. Księżyc jest w nowiu, więc noc jest ciemna, nie widać horyzontu, a przy barze stoi tylko jeden samochód, oświetlony światłami lokalu, i jest to samochód Pedra.

A jednak, kiedy odnoszą szklanki na zaplecze, Auxi staje nagle jak wryta i unosi rękę, prosząc o ciszę. Chyba coś usłyszała, i za chwilę ten odgłos słyszą wszyscy. To odgłos kroków, dudnienie bosych stóp i towarzyszące im dziwne echo, jakby szorującego po piasku plastiku. Pedro odsyła wszystkich na zaplecze, gasi światła, przekręca klucz w kasie i kiedy opuszcza plastikowe żaluzje, widzi nieproszonego gościa.

To płetwonurek. W skafandrze i piankowym kostiumie, z tlenem na plecach i płetwami w rękę, podobny do tych, którzy wyławiają się od czasu do czasu z oceanu, tyle że ten ciągnie po piasku wielki plastikowy wór.

– To nurek – szepce swojej dziewczynie.

– Nurek? – odpowiada Auxi głośno. – Kto wyławia cokolwiek z Atlantyku o czwartej nad ranem?

Odgłosy nagle ustają.

– Auxi! – dobiega z ciemności głos nurka. – Auxi, to ty?

Ona nie odpowiada, kroki podchodzą coraz bliżej. W końcu z mroku wyłania się ciężka czarna sylwetka płetwonurka, oświetlona jedyną palącą się lampą na tyłach baru.

– Dobry wieczór. – Nurek zdejmuje skafander, a Pedro, rozpoznawszy jego głos, zapala z powrotem wszystkie światła.

– Kurwa, Aurelio, ale żeś nam stracha napędził.

– Nalej mi piwa, bracie, jestem wykończony.

– Dobrze, ale co ty tu robisz?

– A co mam robić? Przecież widzisz, że uprawiam sport. – I śmieje się, jakby rozbawił go własny dowcip. – A jak ci się wydaje? Zarabiam na życie.

Inspektorka Fernández i agent Ferreiro podchodzą do nich powoli, ze wzrokiem wbitym w plastikowy worek zabezpieczony, teraz to widzą, dwiema szerokimi gumkami tego samego koloru.

– Co mam zrobić? Mam dwoje dzieci, od sześciu lat nie mogę znaleźć pracy.

– Aurelio wypija pół kufła naraz, po czym zaczyna zdejmować piankowy kostium, opowiadając swoją historię. – Tutaj, sami wiecie, nie ma roboty, a ja tyram jak wół przez cały rok. W zimie łowię jeżowce, wiosną ślimaki, latem małże, krewetki, zbieram opuncje, ale mam z tego marne grosze... Kupujecie ode mnie, to sami wiecie, jakie są ceny. Uprawiam też ogród na działce dziadka i co jakiś czas, jak

ktoś mnie potrzebuje, pływam na statku. Mogę zostawić sobie połowę złowionych ryb, ale moje dzieci muszą czasami jeść mięso. Poza tym potrzebują ubrań, butów, od czasu do czasu słodyczy, a ja już nie pamiętam, kiedy skończył mi się zasiłek dla bezrobotnych. Dostaję tylko czterysta euro, te, które dają prawie każdemu, czasem starcza mi do końca miesiąca, a czasem nie. A kiedy nie wystarcza... – opróżnia pierwszy kufel i prosi o drugi – pożyczam skafander i butlę z tlenem od Jorgena, tego wysokiego Duńczyka, co mieszka przy ulicy Larga, dobry z niego chłopak. Oczywiście kostium jest na mnie o wiele za duży i cholernie niewygodny, ale bez niego nie dotarłbym na miejsce.

– Przyplynałeś tu pod wodą z Gibraltaru, z tym wielkim worem przytroczonym do pasa, nad ranem, w bezksiężycową noc, Aurelio? – pyta Auxi, a on tylko kiwa głową. – Kurwa, szacun!

– A mam inne wyjście? Skąd mam wziąć pieniądze, żeby dać żonie na zakupy?

Inspektorka Fernández i agent Ferreiro trzymają się mocno za ręce. Żadne z nich nie ma pojęcia, jak się zachować.

– Podwieziecie mnie do domu samochodem?

– No jasne, ale najpierw – Pedro wyjmując portfel – daj mi dwa kartony winstonów i dwa marlboro.

Aurelio odpina gumki i otwiera wór, przecina paznokciami folię zabezpieczającą, wyjmując cztery kartony papierosów i inkasuje należną kwotę od właściciela baru.

– Robimy interesy jak mój dziadek z twoim, co, Auxi?

– Nie mogę uwierzyć, że tamte czasy wróciły. Po prostu w głowie mi się to nie mieści.

Zanim zamknie swój wór, nurek przemytnik zwraca się do pary nieznajomych, którzy wreszcie otrząsnęli się z pierwszego wrażenia:

– A wy chcecie?

– Właściwie – Miguel się uśmiecha, bo w worze nie ma torebek z kokainą ani z haszyszem, a jedynie dwa tysiące opakowań papierosów z Gibraltaru – ja chyba też wezmę karton.

– To mój szwagier – przedstawia ich Auxi. – Młodszy brat Pedra. I jego narzeczona. Właśnie przyjechali i...

– I bardzo nam tu dobrze – przerywa Raquel, podnosząc ręce. – Jesteśmy na urlopie. Nic nie widzieliśmy, nic nie słyszeliśmy. Opalamy się na plaży, pijemy i staramy się zapomnieć o pracy.

Potem żegnają się i odchodzą w kierunku swojego domku. Aurelio odprowadza ich wzrokiem, a potem zwraca się do Auxi:

– Są trochę dziwni, nie?

– Tak, są z Madrytu.

– Rozumiem. – Aurelio zamyśla się, upija kolejny łyk piwa, nie odrywając spojrzenia od desek prowadzących do domku. – Ale trzeba przyznać, że nieźła z niej laska.

Podczas śniadania niewiele brakowało, żeby wyznał wszystko Dianie. Na szczęście w porę ugryzł się w język.

– Masz jakieś plany na dziś?

– Ja? – Pepe nie jest pewny, czy pytanie skierowane jest do niego, bo obok siedzi Pablo. O dziesiątej muszę iść do szpitala odebrać wyniki, myśli. – Nie. Czemu pytasz?

– Moglibyśmy coś razem zrobić, nie? Pójść do kina albo do teatru. – Diana stawia na stole tacę z tostami, sięga po oliwę i sól. – Nie wiem, skoro nie zanoszę się, żeby prędko zamknęli przychodnię. – Odgryza kęs grzanki ociekającej oliwą z pierwszego tłoczenia. Pepe wzrusza się, widząc jej zęby, jej usta, to, jak przymyka oczy, gdy je ulubione potrawy, żeby lepiej rozkoszować się smakiem. – Od tak dawna oszczędzamy, mam ochotę zrobić sobie jakąś przyjemność.

– Dobrze. – Pepe wstaje i całuje ją w czoło. – Zobacz, co grają, i zdecyduj, mnie jest wszystko jedno. – I nigdy w życiu jego słowa nie były bardziej prawdziwe.

Wychodzi z domu w samej koszuli, bo przecież jest już maj. Na ulicy zdaje sobie jednak sprawę, że jest zimno jak w marcu, ale nie wraca do domu po sweter, boi się, że przyniosłoby mu to pecha. Przyspiesza kroku, zaciska zęby. W garażu odbiera telefon.

– Powiedziałeś jej?

– Nie.

– Ale dlaczego? – María, która jest pielęgniarką i przyjaciółką Sofii, jest jedyną osobą, która wie, co czeka go tego ranka. – Nie rozumiem cię, Pepe, twoja żona jest lekarką. Zresztą nie mówię tego tylko ze względu na to, że mogłaby ci pomóc. Zobaczysz, kiedy się o wszystkim dowie, będzie wściekła.

Kiedy wychodzi z gabinetu gastrologa, po USG, które wykryło przyczynę dolegliwości męczących go od kilku dni, na korytarzu ośrodka zdrowia wpada na Marię.

– Ma pan w odbytnicy narośl, to najprawdopodobniej guz. – Lekarz zwraca się do niego per pan, bo nie ma pojęcia, że jest mężem Diany Salgado, a nie wie tego, bo jego pacjent mu o tym nie powiedział.

– Łagodny? – pyta pacjent, starając się opanować wewnętrzny dygot i dyskretnie zetrzeć z czoła krople potu. – Czy złośliwy?

– To badanie nie pozwala mi tego ustalić. – Lekarz uśmiecha się, a potem zaczyna stukać w klawiaturę. – Będzie pan musiał zgłosić się do szpitala na kolejne, bardziej specjalistyczne badania, tomografię komputerową, biopsję, zaraz wszystko panu wyjaśnię.

Wychodząc z gabinetu z naręczem świeżo wypisanych skierowań, wpada w korytarzu na Marię, bo nie patrzy, gdzie idzie. Ona z wyrazu jego twarzy natychmiast domyśla się, co się stało. Idzie z nim na kawę, próbuje go uspokoić,

namówić, by wrócił do przychodni i opowiedział wszystko żonie. Pepe odmawia, tłumaczy, że musi lepiej przemyśleć, w jaki sposób wyznaczyć jej prawdę. María próbuje jeszcze kilka razy podczas tych tygodni, kiedy staje się dla niego jedynym oparciem, jedyną powierniczką, a on cały czas upiera się, że nie znalazł jeszcze odpowiednich słów, dobrego momentu, by powiedzieć o wszystkim Dianie. Tego ranka również mu się nie udało.

– Pozwól, że powiem ci jedno. – María nie daje za wygraną. – Badania dowodzą, że pacjenci z rakiem, którzy mogą liczyć na wsparcie rodziny...

– Ja jeszcze nie wiem, czy mam raka, pamiętasz? Poza tym na pewno istnieją też badania, które mówią, że pacjent ma prawo robić to, co uważa za stosowne, prawda?

– Jasne – przyznaje María. – Chcesz, żebym poszła z tobą do szpitala?

– Nie, chcę być sam.

– Ale dlaczego?

– Dlatego że tak. – I jako że jest inżynierem, skończył czterdzieści osiem lat, dawno przestał wierzyć w Boga, nie mówi jej prawdy. – Tak wolę i już.

Pepe Martínez jest przekonany, że nie umrze, dlatego odsuwa od siebie rozmowę z Dianą.

Do tej pory pamięta, jak umierał jego teść, pamięta ten lęk, który przez długie miesiące zmieniał życie jego żony w prawdziwy koszmar.

Diana zawsze dowiadywa się pierwsza o złych wiadomościach, pierwsza je przekazuje, jej medyczna wiedza pozwala postawić diagnozę, właściwie zinterpretować niepokojące objawy, z dużym prawdopodobieństwem przewidzieć rokowania. To ona pierwsza się poddała. Pepe do dziś pamięta, jak płakała po nocach, sama w domu, nie musząc już pocieszać innych, jakby pokonana przez swój własny zawód. Głównie z tego właśnie powodu woli zaczekać, a jego decyzja nie jest wcale wyrazem odwagi ani wielkoduszności, raczej zwykłego przesądu. Jeszcze nie jestem chory, myśli, kiedy przyjdzie czas, wszystko jej powiem. Opowiedzieć o tym za wcześnie to jak kusić los, a skoro wierzę, że wcale nie umrę...

Pepe Martínez jest przekonany, że nie umrze. Przynajmniej do chwili, kiedy wchodzi tego ranka do szpitala.

– Proszę udać się do poczekalni. – Wskazuje mu drogę pielęgniarka, odbierając skierowanie. – Drugie drzwi po prawej. Zostanie pan wywołany po nazwisku.

W poczekalni, jak to zwykle w szpitalach, jest bardzo gorąco, ale na ulicy zmarzł tak bardzo, że do tej pory się trzęsie. Wybiera miejsce przy dużym oknie, przez które widać korony drzew w świeżej zieleni, odcinające się na tle cudownie błękitnego nieba, i słońce – jego promienie sączą się łagodnie przez chmurki niespiesznie sunące po niebie, przując się jak strzępki waty cukrowej.

– Dlaczego musiało mnie to spotkać akurat w maju? – mruczy pod nosem.

Bo kiedy przychodzi wiosna, człowiekowi trudniej się myśli, a on musi przemyśleć teraz wiele ważnych rzeczy.

Teraz, kiedy nadszedł czas, żeby dokonać bilansu, uświadamia sobie, że dobre rzeczy, ludzie, których kochał, ludzie, którzy kochali jego, chwile szczęścia i miejsca, gdzie tego szczęścia zaznał, wspomnienia śmiechów, pocałunków, empatii przyjaciół, odczuwania miłości, zapierającej dech w piersiach przyjemności, jaką daje seks, wypełniają prawie całą jego pamięć. To, co dobre, zajęło miejsce tego, co złe: luki po żalu, bólu, wściekłości, wszystkie te stare rozrachunki, pieczołowicie gromadzone rok po roku jak niewygodny, ale konieczny bagaż, teraz nagle nic a nic go nie obchodzą. Woli zacząć od radości. I tak właśnie robi.

Musi powiedzieć wielu ludziom, że ich kocha, i musi to powtórzyć wiele razy. Oczywiście w pierwszej kolejności żonie i dzieciom. Rodzicom, rodzeństwu, przyjaciołom, którzy są mu tak bliscy jak rodzina, ale także dalszym znajomym, tym, których nie widuje tak regularnie, kolegom z innych czasów, ciotkom, wujkom, kuzynom, ludziom, którzy wprawdzie nie dzielili z nim całego życia, ale zajmują w jego pamięci bardzo ważne miejsce.

Musi przeczytać od nowa kilka książek, obejrzeć kilka filmów, posłuchać wiele razy niektórych piosenek. Nie może odejść bez słów, obrazów, rytmów i kolorów towarzyszących mu przez całe życie. I zjeść truskawkową bezę. Już nie pamięta, kiedy ostatni raz jadł podobny deser...

Nie, natychmiast cenzuruje tę myśl, na to jeszcze nie czas, bo na myśl o bezie staje mu przed oczyma chłopiec ostrzyżony na jeża, z odstającymi uszami, ubrany w brązową budrysówkę i szalik w kratkę – to on, kiedy miał sześć, siedem, osiem lat i stawał przed witryną cukierni, i przyklejał nos do szyby. Ten chłopiec sprawia, że Pepe czuje w gardle gulę, więc uznaje, że nie, lepiej odwrócić wzrok od tego obrazu.

Fajnie byłoby, gdyby Atletico zdobył jakiś tytuł, ale w tej chwili nie bardzo może na to liczyć, będzie musiał zadowolić się pójściem na mecz na Estadio Calderón, tym razem nie z przyjaciółmi, ale z własnym synem Pablem, który zawsze narzeka – i ma rację – że ojciec nie dotrzymuje obietnic. Tej na pewno dotrzyma, wróci też z Dianą do hotelu, w którym spędzili pierwsze wspólne wakacje, chociaż tamta miejscowość rozrosła się tak bardzo, pełno w niej pizzerii i smażalni, że już w ogóle nie przypomina samej siebie. Ma jeszcze tyle rzeczy do zrobienia...

Trzeba uporządkować papiery, zrobić porządek z kontami bankowymi, zostawić proste instrukcje, by załatwić skomplikowane sprawy, kupić Marianie gitarę elektryczną, o którą prosi na Boże Narodzenie od czasu, gdy skończyła trzynaście lat. I tak nie nauczy się grać, bo słoń nadepnął jej na ucho, ale to nie ma

teraz najmniejszego znaczenia. Kupi jej tę gitarę, i nauczy Josego jeździć na swoim harleyu, chociaż sam powinien też kiedyś się przejechać, wybrać się w jedną z tych krótkich podróży, które kiedyś bardzo lubił. Dobrze, że nie sprzedał motoru, kiedy obniżyli mu pensję. Przypomina sobie, jak woził Dianę, jak przytulała się do niego, kiedy jeszcze nie byli małżeństwem.

Nie, nie tędy droga. Wydaje się, że wszystkie myśli prowadzą go w to samo miejsce, do tej samej guli w gardle, tego samego lęku, tej samej pustki, a w tej sali jest w dodatku tak gorąco. W końcu musi przyznać przed sobą, że gdyby nie uparł się tak bardzo, że wszystko zrobi sam, ta lista wyszłaby mu znacznie lepiej. I w ogóle wszystko byłoby prostsze. Ale nie ma ochoty myśleć o tym, co złe, chce pamiętać tylko to, co dobre.

Wówczas słyszy przez megafon swoje nazwisko i numer gabinetu.

Nogi ma ciężkie jak nigdy w życiu, ale na szczęście gabinet jest blisko. Kiedy naciska na klamkę, zauważa, że trzęsą mu się ręce, więc postanawia wziąć się w garść. Udaje mu się przekroczyć próg, normalnym tonem powiedziec dzień dobry. Siada naprzeciwko młodej, dość ładnej lekarki, która najwyraźniej postanawia skrócić mu torturę oczekiwania.

– Zmiana jest łagodna – oświadcza i dopiero potem się uśmiecha. – Wynik biopsji jednoznacznie wyklucza nowotwór złośliwy. Nie wiem tego na sto procent, ale patrząc na wynik tomografii i biopsji, z dużym prawdopodobieństwem mogę powiedzieć, że to zapalenie uchyłka. To oczywiście powoduje dolegliwości. Jeśli nie ustąpią, możemy pana zoperować, ale to łagodna zmiana.

– W takim razie... – Pepe jest tak poruszony, że nie bardzo rozumie słowa lekarki. – Nie będę potrzebował chemii?

– Nie, wystarczy ibuprofen. – I zanim wypisze receptę, spogląda na niego i mówi: – Teraz, kiedy wyjdzie pan na ulicę, proszę wejść do jakiegoś baru, zamówić kieliszek wina i wypić moje zdrowie. A potem do domu.

– Nie musi to być wino, prawda? Może być co innego?

– Oczywiście, cokolwiek, na co przyjdzie panu ochota.

Po wyjściu ze szpitala Pepe łapie taksówkę i podaje adres w pobliżu siedziby swojej firmy. Znajduje się tam ekskluzywna cukiernia, której witrynę mija kilka razy dziennie. W kącie stoi kilka stolików, przy których można rozkoszować się tutajszymi specjałami. Pepe siada przy jednym z nich, zamawia kieliszek cavy i truskawkową bezę, a potem wybiera numer Diany.

– Co tam?

Jej głos wydaje mu się tak cudowny, jak dwadzieścia pięć lat temu, kiedy woził ją na motorze.

– W porządku. A u ciebie?

– No, siedzę z moimi grubasami.

– I co? Chudną?

– Nie bardzo. Ale i tak ich kocham. Ciebie zresztą też. Z czym dzwonisz?

– Chciałem ci tylko powiedzieć... – I Pepe Martínez odkrywa, że pozostanie wśród żywych można świętować na różne sposoby. – Dziś wieczorem możemy zobaczyć, co tylko chcesz, ale błagam, niech to nie będzie Woody Allen, dobrze? Mam go dość, nie bawią mnie jego dowcipy, a poza tym powtarza się jak zdarta płyta.

– Ależ ty się zrobiłeś marudny, Pepe. – Diana śmieje się cichutko. – Muszę już kończyć. – Ale Pepe słyszy jeszcze przez chwilę jej głos. – Oj, Asun, Asun. Coś mi się wydaje, że znów przytyłaś.

Truskawkowa beza smakuje dokładnie tak jak te, które kupował po wyjściu ze szkoły.

Sofía zaczyna się martwić na początku czerwca.

Powinna była wymyślić coś wcześniej, ale przez ostatnie dwa miesiące całą jej uwagę absorbował Sebastián. Nie pożądała nikogo tak żarliwie od bardzo dawna, ani wcześniej, zanim jej mąż poderwał swoją osobistą trenerkę, i od bardzo dawna nie była w podobnym związku, tak intensywnym i skomplikowanym, jednocześnie łatwym i trudnym.

Jej facet jest mężczyzną zranionym, który opowiada o swoich bliźnich. Często wspomina o swoich dzieciach, o Javim i Elenie, za którymi tęskniły tak bardzo dzieci nad morzem ubiegłego lata, ale odkąd się spotykają, wspominał swoją żonę kilka razy, nigdy nie nazywając jej po imieniu. Sofía wie, że ma na imię Elena, tak samo jak córka, bo raz o to zapytała, ale nie rozumie powodów tego systematycznego milczenia. Może boli go ten temat, może boi się, że straci kontrolę i powie coś, czego by później żałował, myśli. Z początku wydaje się jej, że ta rezerwa wynika z tego, iż nadal kocha żonę, ale niekiedy wyczuwa w jego tonie pogardę, niejednokrotnie ocierającą się wręcz o mizoginię, której jednak natychmiast żałuje, bo patrzy na nią, uśmiecha się i prosi o wybaczenie. Przepraszam, nie myślałem o tobie. To zdanie pomaga jej się upewnić, że ma szczęście, przekonuje, że jego czujność wynika z innych pobudek, ale to, że nie chce obrażać żony, by nie zagrozić ich relacji, nie pomaga jej zrozumieć go lepiej.

Nie wie również, czy Sebastián ma skomplikowaną osobowość, czy też jest zupełnie prostolinijnym człowiekiem, schwytanym w konfliktową sytuację. Czasem wydaje się, że to pierwsze, ale zmienia zdanie w ciągu zaledwie kilku sekund. Niełatwo zdecydować, gdyż on jest raczej małomówny, lubi za to słuchać, chociaż kiedy jest w dobrym nastroju, potrafi długo mówić o swojej przeszłości albo na tematy niezwiązane z kryzysem, swoją dawną czy aktualną pracą. Sofía przypuszcza, że zanim zaczął stróżować w budce Agencji Nieruchomości Prisma, jej partner nie był gadułą, ale też prawdopodobnie nie był tak zamknięty w sobie i ponury jak teraz. Stara się za wszelką cenę sprawić, by dawny Sebastián, bardziej pewny siebie, zadowolony z życia, zdolny do przeżywania szczęścia, powrócił, ale to bardzo trudne, gdyż poza łóżkiem nigdy nie poznała tego mężczyzny, którego szuka. Zakochała się w innym człowieku – Sebastián bywa nim, kiedy zapomina o swoim położeniu, ale gdy pozwoli dojść do głosu swojej melancholii, zmienia się w swój własny cień.

W samym sercu tej łamigłówki Sofía Salgado, kołysana zmiennymi prądami przyjemności i niepokoju, czuje, że mknie do przodu, jakby niosły ją spłoszone konie. Próbuje za wszelką cenę ściągnąć wodze i na dłoniach wyskakują jej pęcherze, ale czuje też początki równowagi. Miłość jest dla niej wycieńczającym wyzwaniem, szaleństwem, od którego uzależnia się jak od jakiegoś nowego nałogu. Jednak zdarzają się też pierwsze momenty spokoju.

Kiedy przechodzą obok sklepu zamkniętego z powodu kryzysu, Sebastián

nie popada w posępne milczenie; mogą robić razem zakupy i płacić na przemian, a on nie ma wyrzutów sumienia; mogą fantazjować o egzotycznych podróżach, w które nigdy nie pojadą. Aż pewnego dnia, wchodząc do szkoły, Sofia nagle zdaje sobie sprawę, jaki jest dzień i jaki miesiąc.

Tego samego dnia idzie porozmawiać z dyrektorką. Nie obiecuje sobie po tej rozmowie zbyt wiele i zwierzchniczka jej nie rozczarowuje.

– Nie.

Sofia się nie poddaje, próbuje ją przekonać, że szkoła wcale nie musi udostępniać stołówki ani kuchni, prosi tylko o salę, jakąkolwiek, ona zaś zajmie się całą resztą, znajdzie ludzi, którzy przygotują posiłki, dowiozą je na miejsce, ochotników, którzy nakryją do stołu, zajmą się dziećmi, posprzątaj.

– Nie.

Sofia mówi dalej, pyta na głos, dlaczego właściwie nie – szkoła będzie otwarta przez cały lipiec, rano będą się tu odbywać zajęcia z lata w mieście, bezpłatne warsztaty dla grup wsparcia, judo, teatr, mnóstwo ludzi będzie się kręcić po szkole. Nikt nie musi się dowiedzieć, a to, o co prosi, to nie kaprys, przecież wiadomo, że sprawa jest bardzo ważna.

– Powiedziałam, że nie, a „nie” znaczy „nie”. – Dyrektorka wstaje, żeby dać do zrozumienia, że spotkanie się skończyło. – Wytoczne wydziału oświaty są w tym względzie jednoznaczne. Nie mogę narażać szkoły na kary z powodu twoich dzieciaków.

– To nie moje dzieciaki.

– To twoje dzieciaki, Sofio. Są twoje, bo wzięłaś na siebie cudze obowiązki. Rozmawiamy o tym przez cały semestr. To, co się dzieje, jest naprawdę smutne, ale rozwiązanie tej sytuacji nie leży w naszych rękach. To jest szkoła, placówka oświatowa, a nie organizacja pozarządowa. Proponuję, żebyś przekonała te rodziny, że powinny poszukać pomocy gdzie indziej.

– Uprzejmie dziękuję za radę.

Sofia podnosi się z krzesła, odwraca na pięcie i bez słowa wychodzi z gabinetu dyrektorki.

Pierwsze dzieci Sofii Salgado chodzą do jej klasy. Wszystko zaczyna się pewnego listopadowego ranka, na dużej przerwie.

– Zaraz, zaraz, zaraz!

Wychodzi na boisko i widzi, że Hugo przewraca na ziemię Manuela. Już ma zamiar usiąść na nim okrakiem, kiedy Sofia łapie go za kołnierz i podnosi.

– Co się tutaj dzieje? – pyta, nie wypuszczając Hugona z uścisku i podając drugą rękę Manuelowi, żeby pomóc mu wstać.

– Manuel nie chce się podzielić.

– To moja kanapka – protestuje zaatakowany, podnosząc kanapkę z szynką, wamiętą, ale nienaruszoną. – Chcę spokojnie zjeść swoją kanapkę.

– Oczywiście, kochanie. – Sofia gładzi go po głowie, a potem zwraca się do Hugona, kuca obok niego, żeby nie przemawiać z góry: – Ty też masz rację, trzeba umieć się dzielić, dzielić się książkami, zabawkami, ale w szkole musicie ciężko pracować, o tej porze jesteście zmęczeni, głodni i każdy musi zjeść swoją kanapkę. Gdzie masz swoją kanapkę?

– Nie mam.

– Nie przyniosłeś? Nie szkodzi. Zaraz poszukam ci czegoś do jedzenia.

Sofia wraca po chwili z bananem, którego zabrała bez pytania ze stołu ze śniadaniem dla nauczycieli. Zauważyła wprawdzie, że Hugo pochłania go z prędkością odkurzacza, ale nie przywiązuje do tego zbytnej wagi. Wielu dzieciom zdarza się przyjść do szkoły bez drugiego śniadania, każdej matce może się zdarzyć, że w ostatniej chwili zostawi śniadaniówkę na blacie, zapomni włożyć ją do tornistra. Ale następnego dnia, po dzwonku na przerwę, Hugo znów podchodzi do jej biurka i mówi:

– Dziś też nie mam kanapki.

– Nic nie szkodzi, słonko.

Tego ranka daje mu magdalenkę, którą Hugo pożera równie żarłocznie, więc o piątej po południu Sofia czeka przy szatni na jego matkę i tłumaczy, że jej syn powinien jeść na przerwach drugie śniadanie.

– Ale on – i spuszcza głowę, by nie napotkać wzroku nauczycielki – je przecież obiady, najada się.

– To prawda. – Sofia zaczyna się domyślać, w czym tkwi problem. – Ale ważne, żeby mógł coś zjeść także w południe.

– Ale ja teraz nie mogę, proszę pani. – Hugo, na widok zmartwionej miny matki, wybucha płaczem. – Teraz nie dam rady, ja...

– Nic się nie stało, proszę zapomnieć o tej rozmowie. – Sofia kładzie rękę na jej ramieniu. – Postaram się coś z tym zrobić.

Począwszy od następnego dnia, Sofia zabiera z domu drugie śniadanie dla Hugona i, na wszelki wypadek, wrzuca do torby kilka kartoników mleka i soku.

– A dla mnie nic pani nie ma? – Pierwszy zbiera się na odwagę Stalin, niziutki, ciemnowłosy, peruwiańskiego pochodzenia, noszący to samo imię co wszyscy pierworodni synowie w tej rodzinie od trzech pokoleń. – Ja też nie przyniosłem nic do jedzenia.

– Oczywiście, proszę bardzo. Lubisz mleko?

Stalin się uśmiecha, kiwa głową, czeka, aż nauczycielka włoży słomkę na miejsce, a potem biegnie się bawić z innymi dziećmi. I tak powoli biurko Sofii zmienia się w spiżarnię.

Kiedy wyławia te dzieci spośród innych, odkrywa też ich upodobania i dramat każdej z rodzin. Rodzice na bezrobociu, rodziny po eksmisjach, rodzice chorzy, pozbawieni prawa do godnych zasiłków, dziadkowie dzielący skromną

emeryturę pomiędzy dwoje, troje, czasem nawet czworo dzieci, które zostały bez pracy, zachorowały lub padły ofiarą eksmisji. I tak bez końca.

– Bardzo się martwię nową dziewczynką – zwierza się jej pewnego dnia Susana, wychowawczyni równoległej grupy. – Nie wiem dlaczego, ale czuję, że jej rodzina ma problemy. Jest łagodna, miła, lecz unika innych dzieci. Jest tu już od dwóch tygodni, a nie zawarła żadnej znajomości. Trzeba by coś z tym zrobić, prawda?

– Pewnie tak, ale nie bardzo rozumiem, dlaczego mi o tym mówisz.

– No bo wiesz, ona nigdy nie przynosi kanapek, a ty podobno się tym zajmujesz...

– Ja się tym zajmuję?

Sofia stara się być dyskretna, jednak wiadomości roznoszą się na podwórku lotem błyskawicy i wkrótce podchodzą do niej inne dzieci, a czasem nawet ich matki.

– Przepraszam bardzo, czy to pani rozdaje kanapki?

I nie mija wiele czasu, a przynosi do szkoły szesnaście drugich śniadań: trzynaście dla dzieci z grup przedszkolnych, trzy dla uczniów podstawówek. Mało tego, musi jeszcze znosić codzienne uwagi podczas śniadań w pokoju nauczycielskim.

– Sofío, uważam, że przesadzasz – tak twierdzi dyrektorka.

– Nie możemy brać na siebie takiej odpowiedzialności – zastępca dyrektora.

– Gdybyśmy pracowali w Vallecas, może mogłabym cię zrozumieć, ale w naszej dzielnicy nie ma nędzy – nauczycielka wychowania fizycznego.

– Wykorzystują cię – wychowawczyni innej grupy przedszkolaków.

– Kiedy ludzie dowiedzą się, że coś jest gratis... – kucharka, która podaje im kawę.

– Niezłe z nich cwaniaki – sama Susana. – Na twoim miejscu nie wierzyłabym we wszystkie te historie.

– Czy wy naprawdę nie widzicie, że te dzieciaki chodzą głodne? – irytuje się Sofia. – Czy są mniej głodne dlatego, że mieszkają tutaj, a nie w Vallecas? Nie rozumiecie, że głodne dzieci to nasza wspólna porażka, porażka tego społeczeństwa?

Zapada cisza.

– Poproszę jeszcze trochę kawy – odzywa się w końcu dyrektorka.

– Te drożdżówki są lepsze od poprzednich – zastępca dyrektorki.

– Nie wybraliśmy jeszcze tematu na tegoroczny bal karnawałowy – nauczycielka wychowania fizycznego.

– No właśnie, najwyższy czas o tym porozmawiać – wychowawczyni innej grupy przedszkolaków.

Sofia przestaje w końcu jeść śniadania z kolegami i koleżankami. Zgłasza się

na ochotnika, żeby na długiej przerwie pełnić dyżury na podwórku.

– Ja się tym nie zajmuję – cedzi Sofia przez zęby, odpowiadając wychowawczyni Luny zaraz po powrocie z bożonarodzeniowych ferii. – Robię tylko to, czego nie chce się podjąć nikt inny.

– Wiem i bardzo cię wspieram.

– Ty mnie wspierasz?

– Oczywiście. – Susana patrzy na nią obrażona. – A jak myślisz, dlaczego opowiadam ci o Lunie?

Kiedy po raz pierwszy słyszy o tej dziewczynce, Sofia ma już wsparcie, którego potrzebuje.

– Oczywiście, że tak – zgadza się Marita. – Po to właśnie założyliśmy stowarzyszenie. Ile ci potrzeba?

– Na razie nie ma potrzeby, żebyście zwracali mi wszystko. Sama robię te kanapki, kupiłam też na wyprzedaży bidoniki, do których rozlewam mleko...

– Trzysta euro miesięcznie?

– Nie, bez przesady. Sto pięćdziesiąt spokojnie mi wystarczy.

I pewnego styczniowego ranka Sofia przygotowuje jedną kanapkę z chorizo więcej, napełnia mlekiem jeden bidonik więcej i na przerwie podchodzi do dziewczynki, która siedzi sama i rozgląda się dookoła wielkimi oczami.

– Cześć. – Dziewczynka patrzy na kanapkę owiniętą w folię aluminiową, na bidonik, ale nic nie mówi. – Ty jesteś Luna? – Kiwa głową. – Ja mam na imię Sofia i jestem wychowawczynią klasy, która jest obok twojej.

– Wiem.

– Przyniosłaś dziś drugie śniadanie? – Luna kręci głową. – A masz ochotę na kanapkę? – Dziewczynka przytakuje. – A na mleko?

– Dziękuję. – Dziewczynka bierze z jej rąk kanapkę, rozpakowuje ją, gryzie i spogląda na Sofię. – A pani nie jest głodna?

– Nie – odpowiada nauczycielka. – A ty?

Luna znów kiwa głową i gryzie kolejny kęs.

Po południu Sofia nie spuszcza z niej wzroku. Przychodzi po nią kobieta sporo po pięćdziesiątce, najpewniej babcia. Tegoroczne doświadczenie zrobiło z Sofii specjalistkę od problemów socjalnych. Tu na pozór nie widać żadnego, ale ona wie, że to nie znaczy wcale, że ich nie ma, raczej, że trudno będzie je rozwiązać.

– Tak, jestem babcią Luny. – Jest dobrze ubrana, w sztruksowy płaszcz, w całkiem dobrym stanie, z broszką w kształcie pająka w klapie. Paznokcie ma pomalowane na czerwono, brwi pociągnięte brązowym ołówkiem, tylko jej buty wydają się bardzo znoszone. – Tak, moja córka woli nie robić jej śniadań, bo potem nie dojada obiadu.

– Wie pani, dziś dałam jej kanapkę na przerwę i rzuciła się na jedzenie.

Może w domu nie je zbyt dużo, ale w szkole powinna...

– Chyba nie chce pani powiedzieć, że zna moją wnuczkę lepiej niż jej własna matka?

Babcia Luny uśmiecha się, a Sofii wcale się ten uśmiech nie podoba.

– Nie, oczywiście, że nie. – Nauczycielka unosi kąciki ust, starając się odpowiedzieć uśmiechem na uśmiech. – Będę ją obserwować przez kilka dni w stołówce, a potem wrócimy do tej rozmowy, dobrze?

Przez cały tydzień Luna zjada cały swój obiad, a do tego kanapkę, którą dostaje od Sofii.

– Proszę pani, może pani myśli, że skoro posłaliśmy dziewczynkę do państwowej szkoły, jesteśmy biedakami jak ci cudzoziemcy, którzy rozpanoszyli się w naszym kraju?

Od pierwszej rozmowy z Sofią babcia Luny zaczyna nakładać sobie coraz mocniejszy makijaż, ubiera się staranniej, wkłada na szyję grube łańcuchy z połączanego metalu, które nawet z daleka nie przypominają złota, i tak wystrojona przychodzi po wnuczkę do szkoły.

– Ale skąd w ogóle taki pomysł? – Sofia jest teraz naprawdę zdenerwowana. – Nigdy nic podobnego przez myśl mi nie przeszło.

– Mam wrażenie, że pani trochę przesadza. Nie chcemy, żeby Luna jadła drugie śniadanie na przerwie, bo potem nie dojada obiadów. Ile razy mam to pani powtarzać?

– Chcę tylko pomóc.

– Ach tak? Więc bardzo prosimy, niech pani zostawi nas w spokoju i zajmie się swoim życiem.

Przez cały semestr pani od kanapek codziennie przynosi Lunie drugie śniadanie. Powoli Luna zaczyna zaprzyjaźniać się z innymi dziećmi, brać udział w zabawach na podwórku. I pije mleko spokojniej, nie tak zachłannie jak kiedyś.

– Co ci jest, Sofio?

Są sami, bo Nacho spędza weekend z ojcem; leżą nadzy w łóżku. Okno jest otwarte, za nim cudowna czerwcową noc.

– Jesteś tak milcząca, jakbyśmy zamienili się rolami.

Zostało tylko dziewięć dni zajęć, ale stołówka będzie otwarta do końca czerwca, dzięki łaskawej decyzji dyrektorki i Rady Rodziców, która pokryje połowę kosztów ostatniego tygodnia. Sofia zorganizowała całą resztę, lecz jej narzeczony nie ma o niczym pojęcia. Wie tylko, że przez ostatni tydzień była bardzo zajęta i ciągle się z kimś umawiała. Sytuacja dzieci wydaje się jej drażliwym tematem, nie potrafi myśleć o czym innym, więc milczy. Kiedy Sebastián pyta, co się dzieje, opowiada mu wszystko, nie zastanawiając się dwa razy. On słucha jej bez słowa.

– Postawiłam na nogi pół dzielnicy, wiesz? Zrobiłam tabelkę z jadłospisem

na cały tydzień, namówiłam do współpracy moją matkę, teściową Diany, moją przyjaciółkę Begoñę, która nie pracuje, Maritę. Kiedy pojawiają się prawdziwe problemy, w ludziach uaktywnia się chęć pomocy, naprawdę. María Gracia, moja gosposia, która ostatnio była okropnie zgaszona, myślałam nawet, że cierpi na depresję, zaoferowała, że przygotowuje pierwsze danie w mojej kuchni. Amalia, fryzjerka, która nie ma przerwy na sjęstę i nie może gotować, zaproponowała, że kupi deser, lody, owoce, budyń, codziennie co innego. No, ale naprawdę zdumiał mnie Pascual. Gdyby nie on... I pomyśleć tylko, że na początku tylko się krzywił, i wcale mu się nie dziwię, bo potrzebujemy stolika dla dwadzieściora dzieci. I chociaż sami będziemy przygotowywać jedzenie i je podawać, toapełnialibyśmy mu pół sali jadalnej, a on nie zarobiłby ani grosza. Ale kiedy mieliśmy już wychodzić, nagle znalazł rozwiązanie. O której godzinie miałyby jeść twoje dzieci? Poczulaam, że niebo się przede mną otwiera. A o której byłoby ci najwygodniej?, zapytałam, a on odparł, że jeśli do wpół do drugiej posprzątamy po obiedzie, to on dołoży pieczywo. Rozmawiałam też z moją siostrzenicą Marianą, która spędza całe dni na skłocie, głównie pali tam trawę, chociaż twierdzi, że jest wolontariuszką. Namówiłam ją, by mi pomogła podawać do stołu, mnie albo komuś innemu, bo w końcu dwoje innych nauczycieli zgłosiło się do współpracy. Oczywiście potrzebujemy więcej ochotników, ktoś będzie musiał zanieść jedzenie na miejsce, wstąpić do zakładu fryzjerskiego po deser... Chociaż jak teraz o tym myślę, może sami gotujący mogliby przynieść posiłek do baru? Wszyscy mieszkają w pobliżu...

W tym momencie Sofia uświadamia sobie, komu to wszystko opowiada, odwraca się, cały czas w jego ramionach, i przeprasza.

– Wybacz, być może nie powinnam ci o tym mówić, ale zastanawiam się nad wszystkim od rana. Nie pomyślałam...

– A czemu nie mielibyśmy o tym rozmawiać? Bo straciłem pracę? Bo pracuję jako stróż? – Sebastián uśmiecha się, nie przestając jej obejmować..

– No nie wiem, bo... – Sofia nie bardzo wie, co powiedzieć. – Może dlatego, że... – I nie znajduje wymówki, która zabrzmiałaby lepiej niż prawda. – Zawsze boję się rozmawiać z tobą na te tematy.

– Nie mam nic przeciwko temu, żebyś mi o tym opowiadała. Wręcz przeciwnie. Podziwiam cię za to, co robisz. Nie rozumiem tylko, dlaczego nadal się martwisz, skoro już wszystko załatwiłaś.

– Zostało mi najgorsze, bo... rodzice jeszcze o niczym nie wiedzą.

– Aha...

– A nie wyobrażasz sobie, jacy są niektórzy z nich.

– To akurat potrafię sobie dokładnie wyobrazić.

Sebastián zmienia pozycję, odwraca się na plecy. Sofia kładzie mu nogę na brzuchu, układa głowę na jego ramieniu i nie widzi jego twarzy, kiedy Sebastián mówi:

– Trzeba być bardzo odważnym, żeby poprosić o pomoc, wiesz? Ale trzeba być jeszcze odważniejszym, żeby ją przyjąć.

Następnego dnia, podczas wręczenia świadectw, Sofia dokładnie wykonuje instrukcje Sebastiána.

Sama układa tekst: aseptyczny, neutralny i krótki. „Stowarzyszenie Sąsiedzi przeciw Kryzysowi organizuje letnią stołówkę dla dzieci w wieku od lat trzech, które nie będą mogły podczas wakacji korzystać ze szkolnej stołówki. Zainteresowani proszeni są o kontakt telefoniczny”. I podaje swój numer telefonu.

Drukuje dwadzieścia kopii wiadomości: szesnaście dla dzieciaków, którym przynosiła kanapki, i czterech wskazanych przez wychowawcę szkoły podstawowej, który zgłosił się do współpracy. Oboje zamykają się w sekretariacie i wkładają kartki do kopert zaadresowanych imionami i nazwiskami wybranych dzieci. Zanim Susana zniknie w swojej klasie, Sofia wręcza jej kopertę Luny.

– Przyjdzie jej babcia, prawda?

– Tak myślę, bo matki nie widziałam jeszcze nigdy w życiu.

– Tam w środku jest ogłoszenie. – Otwiera kopertę, pokazuje tekst. – Namów ją, ja nie będę miała okazji z nią porozmawiać.

– Pośle mnie do diabła, wiesz o tym, prawda?

– Tak. – Sofia wzdycha. – Na pocieszenie powiem ci, że mnie wysyłała tam już setki razy.

Letnia stołówka okazuje się wielkim sukcesem. Dziewiętnastu małych klientów zmiata z talerzy wszystko, zachowuje się bardzo grzecznie, a w dodatku zabiera ze sobą podwieczorek dzięki przebiegłości Amalii, która potrafi skutecznie zbierać datki od swoich klientek. Ale jest ich tylko dziewiętnaścioro, bo krzesło Luny zawsze stoi puste.

Sofia dzwoni do jej babci, próbuje ją przekonać, napotyka opór, trzaskanie drzwiami, rzucanie słuchawką, obelgi, aż w końcu udaje się jej umówić na wizytę w jej domu któregoś wieczoru. W ostatniej chwili postanawia zaczekać do ósmej, pójść po Sebastiána do pracy i poprosić go, żeby jej towarzyszył.

– Co się stało, boisz się?

– Czy się boję? Nie wiem. No dobrze, prawdę mówiąc, tak, trochę się boję.

Ale babcia Luny nawet nie wpuszcza ich do środka.

– Wie pani, dlaczego pozwoliłam pani przyjść? – Ma rzęsy zlepione tuszem, usta i ich okolice umalowane karminową szminką, metalowe pierścionki na wszystkich palcach. – Bo ta wizyta bardzo mi się przyda do tego, co mam zamiar zrobić. Jestem Hiszpanką, umiem się bronić, znam adwokatów. Oni wyjaśnili mi, jakie mam prawa, i poradzili, żebym oskarżyła panią o uporczywe nękanie. I tak właśnie zrobię, jeśli jeszcze raz ośmieli się pani do mnie zadzwonić. Czy to jasne?

– Ale... ale...

Nie zdoła powiedzieć nic więcej, bo Sebastián ciągnie ją za rękę, zmusza,

żeby się odwróciła, zeszła z pierwszego schodka.

– Wystarczy już, Sofio – mówi głośno. – Niech się pierdoli, głupi babsztyl!

– Uf! – Babcia Luni wychodzi na klatkę schodową. – Czy mówił pan o mnie?

– Tak, proszę pani. Może pani złożyć na mnie doniesienie. Powiemy sędziemu, kto karmił pani wnuczkę przez cały semestr.

Potem słyszą trzaśnięcie drzwiami. I nic więcej.

Tego samego wieczoru Sofía dzwoni do Hawy i mówi, że w stołówce zostało jeszcze jedno wolne miejsce i od jutra może przyprowadzać do baru Pascuala również swojego starszego syna, chociaż on chodzi do innej szkoły.

Hawa odpowiada strumieniem niezrozumiałych dźwięków. Błogosławi Sofię w swoim ojczystym języku, czyli bambara z Mali. Sofía rozumie tylko tyle, że Hawa jest bardzo zadowolona.

Tydzień później dzwoni do niej Susana. Tego ranka poszła na przecenę do sklepu z materiałami, który lubi, i widziała bardzo długą kolejkę na chodniku naprzeciwko. Kiedyś mieściła się tam firma sprzedająca znaczki, która zbankrutowała, pamiętasz? Teraz lokal zajęła skrajnie prawicowa organizacja. Na elewacji wisi wielki afisz z hasłem: Jeśli jesteś Hiszpanem, możemy ci pomóc. Podeszłam, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Rozdawali jedzenie. Nie zgadniesz, kto stał pierwszy w tej kolejce.

– Proszę, Susano, nie chcę tego wiedzieć.

– Luna i jej babcia.

– Mówiłam ci, że nie chcę wiedzieć.

Chociaż w głębi duszy domyślała się wszystkiego od pierwszej rozmowy.

Jaime nie ma odwagi jej o tym powiedzieć.

Spotykają się zaledwie od dwóch tygodni, ale on jest przekonany, że jeśli tylko ona będzie tego chciała, spędzą ze sobą całe życie. Jest też pewien, że nie potrafi się zdobyć na to wyznanie.

Poznaje ją w barze, nad ranem, cudownym zbiegiem okoliczności. Bo chociaż został zaproszony na urodziny Consuelo ponad miesiąc wcześniej i bezmyślnie zaproszenie przyjął, poszukałby sobie pierwszej lepszej wymówki, by nie iść na tę kolację. Ale obiecał Ernestowi, innemu analitykowi z szóstego piętra, że podrzuci go samochodem.

– Zastanawiasz się tak długo, Jaime – powiedziała mu z uśmiechem, nie przechodząc nawet przez próg jego gabinetu. – To tylko kolacja, nie zwabiam cię w żadną pułapkę.

Wstydzi się odmówić, dlatego przyjmuje zaproszenie. Z tego samego powodu obiecuje podrzucić Ernesta. Kiedy są na miejscu, Jaime odkrywa, że powiedziała mu tylko połowę prawdy. Chociaż zaproszonych jest kilkunastu gości, to ona decyduje, gdzie kto ma siedzieć. Sadza Jaimego po swojej prawej stronie, Ernesta po lewej. Sąsiadami Jaimego jest para programistów z czwartego piętra, młodziutkich i bardzo inteligentnych. Jaime rozmawia z nimi i nie ustępuje pola swojemu koledze. Do tej pory rozumie wszystko.

Nie ma właściwie obiektywnych powodów, dla których pozwala się wyciągnąć do baru, gdzie Consuelo chce dalej świętować. Wypił wprawdzie szklaneczkę whisky po kawie, ale nie jest pijany. Zainteresował go bardzo projekt pary z czwartego piętra, ale mógłby umówić się z nimi na obiad któregoś dnia, żeby pogadać o szczegółach. Wychodzą na ulicę, upał jest tak koszmarny jak zwykle w czerwcowe madryckie noce, on jednak dobrze znosi skwar.

Jaime nie rozumie, dlaczego przyjmuje za swoje argumenty, którymi większość biesiadników – no nie daj się prosić, tylko na jednego drinka, jutro sobota, ten lokal jest dwa kroki stąd, pójdziemy piechotą, noc jeszcze młoda – bombarduje Ernesta, on zaś chce jak najszybciej uwolnić się od Consuelo. Jaime decyduje się przyjść mu z pomocą, gdyż w nagłym przypływie nocnego natchnienia, za sprawą wina, whisky i analizy danych, pojmuje w jednej chwili, że Ernesto jest gejem, chociaż nie wyszedł jeszcze z szafy.

– Niech robi, co chce, cholera. Jesteśmy tu wszyscy dorośli.

Mógłby sobie oszczędzić tej interwencji, bo nie udaje mu się nawet skończyć zdania, kiedy Ernesto dostrzega z daleka zielone światelko wolnej taksówki, desperacko macha na nią i znika w samochodzie.

Jaime powinien pójść za jego przykładem, ale, sam nie bardzo wie czemu, daje się zaciągnąć do tego baru, który jest tak blisko, dwa kroki stąd, na następnym rogu.

Jest już całkiem pijany, kiedy zauważa grupkę nowych gości, a wśród nich

dziewczyne, która wydaje mu się bardzo szczególna. Jest ładna, ale ważna wydaje mu się nie uroda sama w sobie, tylko harmonia, z jaką w jej twarzy łączą się rysy, zwykle niewystępujące razem. Ma orientalne oczy i okrągłą twarz, lecz nos, oczy ani usta nie wydają się egzotyczne. Jest wysoka, jednak nie tak bardzo, jak wydawało mu się w pierwszej chwili, raczej szczupła niż przy kości. Trzeba się jej uważnie przyjrzeć, żeby to stwierdzić, bo jej ciało, szerokie ramiona, ładne, choć mocne nogi, wydatny biust i wąska talia, w tym właśnie połączeniu należą raczej do rzadkości. Jaime uznaje, że zarówno defekty, jak i mocne strony jej wyglądu są jedyne w swoim rodzaju. To właśnie czyni ją w jego oczach tak atrakcyjną, przynajmniej pod wpływem alkoholu i nachalnych zaczepk Consuelo, która ostrzegła wyraźnie, że chce sobie podarować w prezencie urodzinowym faceta, z którym spędzi dzisiejszą noc. W pewnym momencie ma jej po dziurki w nosie, nie może uwierzyć w to, że kiedyś był w niej zakochany. Ale ta myśl przyjdzie mu do głowy nieco później. W pierwszej chwili w ogóle nie myśli. Czuje tylko, że dziewczyna, która właśnie weszła do baru, bardzo mu się podoba. Przeprasza na chwilę, mówi, że idzie do łazienki, po czym zajmuje odpowiednie miejsce przy barze, z którego może bezkarnie ją obserwować, śledzić, przyglądać się jej i po chwili okazuje się, że i ona od czasu do czasu rzuca w jego kierunku ukradkowe spojrzenia. Consuelo krzyczy do niego i pyta, co tam robi. W odpowiedzi Jaime wstaje ze stołka i idzie wprost do dziewczyny.

– Cześć, mogę cię o coś zapytać?

– Tak. – Uśmiecha się do niego. – Ale od razu uprzedzam, że nie, nie znamy się.

– Nie, nie o to chodzi. Chciałem tylko zapytać, czy dziś zrobiłaś już jakiś dobry uczynek.

– To zależy.

I Jaime wie już, że jest nie tylko ładna, ale również inteligentna, chociaż nie zastanawia się, jak to się stało, że zebrał się na odwagę, żeby do niej podejść.

– Tak tylko pytam, bo może chciałabyś mnie uratować. Widzisz tę kobietę w czarnej sukience? No więc uczepiła się mnie jak rzep psiego ogona. – Z minuty na minutę czuje się coraz bardziej elokwentny. – Bo wiesz, to byłby naprawdę dobry uczynek.

– Naprawdę chcesz przed nią zwiać? – Dziewczyna wybucha śmiechem. – Przecież jest prześliczna.

– Gdzie tam...

W tym momencie rozpoczyna się doskonała noc, a ta doskonałość przenika wszystko: nieśmiałość i wstyd, pijaństwo i kaca, wspomnienia i wątpliwości, czas i przestrzeń.

Zasypiają bardzo późno, a właściwie bardzo wcześnie, bo kiedy zamykają oczy, za oknami wstaje świt i senność ogarnia ich natychmiast, prawie w tej samej

chwili. Budzą się objęci. Wyplątują się z tych objęć, bo czują się zawstydzeni, że spali w ten sposób, a kiedy wyciągają się na łóżku, każde po swojej stronie, zdają sobie sprawę, że tęsknią za tym uściskiem. Ona miała wcześniej narzeczonego, chociaż idylla nie trwała długo, on nie miał nawet takiego doświadczenia. Oboje mają już za sobą pierwsze noce spędzone z kimś. Oboje są bliżej trzydziestki niż dwudziestu pięciu lat, ale żadne nie wie, co powiedzieć. W końcu ona znów odwraca się do niego, całuje, uśmiecha się i oświadcza, że zrobi śniadanie.

Jaime tymczasem rozgląda się po pokoju, patrzy na otaczające go meble, boleśnie świadom, że ten dom nie należy do niego. Spogląda na swoją kochankę i ogarnia go słodko-gorzkie uczucie, ambiwalentne, coś między zaskakującym poczuciem szczęścia i niepokojem związanym ze znalezieniem się w obcej scenerii. Kiedy otworzył oczy, dziewczyna wydała mu się o wiele piękniejsza niż wczoraj. Kiedy odprowadza ją wzrokiem, a ona znika w drzwiach, nie jest już niczego pewien. Nie wie, czy powinien zachować dystans, czy też dać się ponieść, cieszyć się każdą wspólną chwilą, czy się wystraszyć, przyjąć czy odrzucić to, co go właśnie spotkało. Wie tylko, że nigdy nie był zbyt dobry w te klocki. Przechodzi mu nawet przez myśl, żeby ubrać się i wyjść, ale po chwili uznaje, że to najgłupsza myśl w całym jego życiu. Wówczas nabiera głęboko powietrza, wdycha otaczający go zapach, pozwala, by wniknął mu głęboko w nozdrza, oświał jego umysłem, zabronił mnożyć wątpliwości. To pod jego wpływem włoży spodnie i koszulkę i podąży jego śladem, wyjdzie boso z sypialni i stanie w progu kuchni.

Ona nie odwraca się, stoi do niego tyłem i patrzy na patelnię, na której smażą się podłużne paski chleba.

– Robię picatostes. – Teraz odwraca się do niego; ma na sobie tylko o wiele za dużą koszulkę i fartuch. – Lubisz?

– Uwielbiam. – Jaime podchodzi do niej i opiera się o blat. – Moja babcia, matka mojego ojca, która zmarła w zeszłym roku jesienią, robiła mi je na podwieczorek, kiedy byłem mały.

– Moja mama też umarła pięć miesięcy temu. Na raka. – Teraz unika jego wzroku. – To okropnie niesprawiedliwe, była jeszcze taka młoda. Kłóciłam się z nią ciągle, ale ją uwielbiałam, bardzo za nią tęsknię. Dlatego lubię robić rzeczy, których nauczyłam się od niej. Kiedy byłam mała i chorowałam albo było mi smutno, albo byłam bardzo zmęczona, zawsze robiła mi czekoladę i picatostes. A w dobre dni, kiedy miałyśmy powód do świętowania, to samo. – Znów patrzy mu w oczy. – Mam zamiar uczcić mój wczorajszy dobry uczynek.

– Ale nie ma czekolady. – Jaime nie bardzo wie, dlaczego wzruszenie ściska go za gardło.

– Nie, bo jest za gorąco. Ale otwórz lodówkę! No, śmiało...

– Sama to zrobiłaś?

– Oczywiście. Zanim zaczęłam smażyć chleb.

Jaime wyjmuje z lodówki dwie wysokie szklanki wypełnione po brzegi spienionym, zimnym koktajlem czekoladowym i stawia je na stole kuchennym. Ona stawia na środku talerz z picatostes, siada naprzeciwko niego i się uśmiecha.

- Mam na imię Adriana.
- Adriana...
- Tak, w nocy nie zapytałeś.
- W nocy to nie miało znaczenia.
- A teraz ma?
- Tak, teraz ma.

Ona wybucha śmiechem, bierze kawałek smażonego chleba, gryzie i parzy się w język. Śmieje się znowu, a Jaime zaczyna akceptować wszystko, co mu się przytrafiło, na początku z niedowierzaniem, potem z wdzięcznością, a w końcu z tą naturalnością szczęściarzy, do których do tej pory żadną miarą nie mógł się zaliczyć.

Od tej chwili wszystko okazuje się proste: jedzenie picatostes, picie koktajlu, powrót do łóżka, przyjęcie prezentu, który zrobiło mu życie, stawiając na jego drodze tak wspaniałą dziewczynę, spędzenie całego weekendu w jej domu.

W poniedziałek rano, kiedy się żegnają, Jaime nie ma odwagi opowiedzieć jej, że w sobotę rano, na widok stojących w lodówce dwóch doskonałych koktajli, zwieńczonych koronami z pianki, uświadomił sobie kilka rzeczy, poważnych, zdumiewających i nieuchronnych.

W tej chwili zrozumiał, że zakocha się w Adrianie bez pamięci. A chwilę potem, że gdyby czekały na niego tosty i kawa z mlekiem, wszystko byłoby inne, gorsze, smutniejsze i bardziej niepewne.

Nie ma odwagi jej o tym powiedzieć, gdyż boi się, że źle zrozumie jego słowa, ale od tamtej chwili czeka go wiele letnich poranków, wiele zimowych popołudni, kiedy będzie przymykał oczy, czuł cudownie słodki aromat, uśmiechał się bezwiednie i coraz bardziej utwierdzał w przekonaniu, że jego narzeczona, miłość, a nawet szczęście, mają ten sam smak.

Smak czekolady i pokrojonego w paseczki smażonego chleba.

Stoi tam, gdzie stał zawsze, przy szosie, na niegościnnym płaskowyzu rozciągającym się na peryferiach miasteczka.

Begoñi od pierwszej chwili wydaje się, że jest nie tylko o wiele większy, ale również o wiele brzydszy niż kiedyś. Jednopiętrowy zajazd, który ojciec Socorro wznosił pięćdziesiąt lat temu, rozbudowywano stopniowo i w sposób niekontrolowany, zmieniając go w betonowy moloch, pociągnięty absurdalną warstwą pomarańczowej farby, co upodabniało go do domku z kloc-ków. Cała reszta – ganek wyłożony terakotą w kolorze taniej szynki, zielona barierka, metalowe meble niestarannie wykończone, z wystającymi ostrymi kantami, i markizy wyblakłe od słońca – prezentuje się jak zwykle żałośnie, a może nawet gorzej niż kiedyś.

– Bego... – Socorro również niewiele się zmieniła. – Świetnie, że przyjechałaś!

W tej chwili czuje się bardziej załamana niż kiedykolwiek, żałuje, że uległa naciskom męża, dzieci i matki.

– Nie pojedziemy na to wesele, mamó. Nie mamy pieniędzy, sama wiesz, w jakiej sytuacji się znaleźliśmy...

– Co ty w ogóle mówisz, córeczko? Przecież to twój brat.

– To niech weźmie ślub w Madrycie, jak wszyscy.

Ale nie. Brat jest uparty, chce wziąć ślub w małej miejscowości w Almerii, gdzie jeździli na wakacje jako dzieci. Dom ich dziadków ze strony matki już nie istnieje, został tylko kawałek plaży z przyległymi intensywnymi uprawami pod folią, na które przerwali się mieszkańcy, widząc w nich szansę na pewniejsze zarobki niż te, które przynosiła turystyka. Dlatego w samej miejscowości nie ma hoteli ani pokoi, które można by wynająć na kilka nocy. W pobliżu, owszem. Pobliskie plaże oferują wiele różnych możliwości, ale Fernando uznał, że ich na to nie stać.

To matka Begoñi proponuje, żeby zatrzymali się w hotelu Socorro. Przekonuje, że z nią rozmawiała i że dawna przyjaciółka bardzo chętnie ją przyjmie. Begoña wcale nie jest wdzięczna za tę mediację. Do ostatniej chwili ma nadzieję, że matka, jedyna posiadająca prawo dożywotniego użytkowania majątku ojca, zaprosi ich do hotelu, w którym sama się zatrzyma, podobnie jak zaprosiła jej dzieci. Chce nawet poprosić ją o pożyczkę, by wymusić to zaproszenie, ale jej mąż zdecydowanie oponuje.

– Ależ Bego, motel twojej przyjaciółki jest dla nas jak znalazł! – Czyżby rozmawiał ze swoją matką?, zastanawia się Begoña podejrzliwie. – Sprawdziłem w sieci, tam rosną nie tylko pomidory. Jest też sporo upraw kwiatów i roślin ozdobnych. Już umówiłem się na kilka spotkań, podobno motel przyjaciółki jest najlepszą opcją noclegową w okolicy, więc jeśli chcesz, moglibyśmy zostać tam kilka dni dłużej. Ty będziesz chodzić z dziećmi na plażę, ja będę się spotykał

z dostawcami, odliczymy sobie część kosztów, co ty na to?

Begoña milczy, ale rozumie, że ta parodia wakacji jest ściśle powiązana z ostatnim projektem Fernanda, od kilku miesięcy jest bowiem właścicielem sklepu ogrodniczego, którym wcześniej zarządzał. Odwiedza go często w pracy, bo odkąd zmienił jej limit na karcie, mąż zaczął też poświęcać jej znacznie więcej uwagi. Wciąż jednak siedzi w pracy i tylko tam może ją czymś zająć.

Na początek prosi, by została jego doradczynią. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, chciałby poszerzyć ofertę o meble ogrodowe i inne elementy dekoracyjne. Ona to lubi i ma do tego smykałkę, oboje o tym wiedzą. Przez jakiś czas Begoña zwiedza centra handlowe, w których wcześniej robiła zakupy, by podpatrzeć pomysły. Ale kilka tygodni przed ślubem brata sprawa robi się naprawdę poważna. Begoña pewnego popołudnia tłumaczy mężowi z entuzjazmem, jak mógłby wyglądać dział z oświetleniem ogrodowym, a on, ni z tego, ni z owego, proponuje, żeby zaczęła z nim pracować od początku września, bo kasjerka jest w bliźniaczej ciąży i ktoś będzie ją musiał zastąpić. Begoña nie odpowiada od razu. Mówi, że musi się zastanowić. Wsiada do samochodu i jedzie do Leroy Merlin, przez dwie godziny ogląda różne rzeczy, a potem wraca do ich sklepu, by zabrać Fernanda do domu.

– Jedno pytanie. – Zbiera się w końcu na odwagę, kiedy zjeżdżają z autostrady. – Chodzi o tę pracę, o której wspomniałeś wcześniej. Dostawałabym pensję?

Teraz to on zwleka z odpowiedzią.

– Nie, Bego. – A ona widzi bolesny grymas, który pojawia się na jego twarzy od czasu, gdy zaczął się dla nich osobisty epizod tego kryzysu, za każdym razem, kiedy rozmawiają o czymkolwiek, co ma związek z pieniędzmi. – Nie płaciłbym ci, ale weź pod uwagę, że ja też nie dostaję pensji. O to właśnie chodzi, żebyśmy zaoszczędzili sobie wypłacania tej pensji. – Ona zwraca uwagę na pierwszą osobę liczby mnogiej, jakiej używa Fernando, i zastanawia się, czy rzeczywiście ma do tego prawo. – Nie wiem, lubisz pieniądze i pomyślałem, że może zechcesz spróbować. Bo jeśli będę musiał znaleźć zastępstwo, będziemy dłużej czekać na zyski.

– Nie powiedziałam, że nie. – Chociaż pomysł wstawania codziennie o siódmej rano, żeby jechać do Algete, siedzieć za kasą i pobierać opłaty za rośliny w doniczkach, wcale się jej nie uśmiecha. – Poza tym wiesz, nigdy nie pracowałam, nie jestem pewna...

– Praca za kasą jest bardzo łatwa, kochanie. – I Fernando się uśmiecha, bo zna swoją żonę na wylot. – Nie miałabyś z tym żadnego problemu, zapewniam cię. A skoro już będziesz na miejscu, mogłabyś zająć się organizacją nowych działów. Może nawet sprawi ci to przyjemność.

Begoña to egoistka, jest impulsywna, kapryśna i uparta, ale zarazem jest

dobrym człowiekiem. Jej mąż wie, że chociaż ciągle balansuje na linie, w końcu zawsze podejmuje trafne decyzje i robi to, co powinna.

Sofia ze zdumieniem przyjmuje ją jako ochotniczkę do obsługi swojej stołówki. Begoña nie wspomina jej, że to pewnego rodzaju eksperyment, ale odkrywa przy okazji, że praca dobrze jej robi. Nie mówi jednak o tym nikomu, a zwłaszcza mężowi.

– Dobrze, jeśli naprawdę chcesz, możemy się zatrzymać u Socorro. Skoro mam siedzieć przy kasie, jest mi już wszystko jedno. Ale nie masz pojęcia, co to za dziura. Nawet sobie nie wyobrażasz.

Socorro pomaga im zapakować bagaże do windy – to drobiazg, którego Begoña się nie spodziewała, niestety, niespecjalnie poprawia jej humor.

– Chodźcie, pokażę wam pokój. A co z dziećmi? Nie zabraliście ich?

– W końcu zostały z moją matką w El Paradiso. Razem z kuzynami...

Jej dzieci są z babcią w czterogwiazdkowym hotelu, w którym następnego dnia ma się odbyć wesele, w hotelu, na który, zdaniem jej męża, nie mogą sobie pozwolić.

– Ale tylko do wesela, pojutrze je przywieziemy – wtrąca Fernando. – Masz dla nich wolny pokój, prawda?

– Oczywiście, obok waszego. To nasze najlepsze pokoje, ale i tak nie róbcie sobie zbyt wielkich nadziei. To skromne miejsce. Zwykle nocują u nas kierowcy TIR-ów i sprzedawcy pestycydów, sami rozumiecie... Ale zarezerwowałam dla was najlepsze, z widokiem na morze.

Ich dzieci ze swojego pokoju nie zobaczą morza, mogą tylko usłyszeć jego szum. Zobaczą za to ogrody, baseny, piękny krajobraz pełen kwitnących bugenwilli i połyskujące białą ściany, myśli Begoña, podczas gdy Socorro podnosi rolety, by ukazać im widok rozciągający się z okna ich pokoju: widok na obrzydliwy ocean białego plastiku, kończący się gdzieś daleko, bardzo daleko rachitycznym niebieskim pasmem, które łatwo pomylić z niebem.

– No, nie jest tak źle. – Fernando, jak zwykle, uparł się dostrzegać same pozytywy. – Mamy nawet klimatyzację. Za trzydzieści euro... Uszy do góry, kochanie.

Drzwi łazienki się nie domykają. Kabina prysznicowa jest tak maleńka, że kiedy ją zamkniesz, nie ma już miejsca, by poruszać prysznicem, a jeśli masz biust, woda nie zmoczy ci stóp. Olbrzymi telewizor podwieszono pod sufitem, jakby instalująca go osoba chciała, żeby obraz widać było z pięćdziesięciu metrów. Meble zrobione są z metalu i taniego, lakierowanego drewna, chłonnego wilgoć, lepkiego, do którego przylepia się kurz. W niewielkiej szafie znajdują się cztery plastikowe wieszaki. Podłoga pachnie chlorem, a powietrze przesycone jest najsmutniejszym na świecie zapachem tanich hoteli.

– Idziemy na plażę? – Zanim Begoña zdoła otrząsnąć się z szoku, jej mąż

zaczyna się przebierać. – Skoro już tu jesteśmy.

– Na plażę? – Na ustach żony pojawia się złośliwy uśmiezek. – To dwadzieścia minut drogi. Musimy przejść przez szosę, obejść te wszystkie szklarnie.

– Co z tego? Do wieczora i tak nie mamy nic lepszego do roboty.

Fernando już stoi nagi. Żona patrzy na niego z podziwem, ale nie zachwyca jej jego uroda, raczej jej brak. Nigdy nie miał brzydkiej twarzy, ani specjalnie pięknej też nie, nie wyłysiał, chociaż zrobił się szpakowaty, lecz uwagę Begoñi przykuwa raczej brzuch mężczyzny po czterdziestce, który pije za dużo piwa, mięśnie ramion ma rozwinięte o wiele bardziej niż te w pozostałych partiach ciała, brązowe, opalone ręce i białe paski od sandałów na stopach, reszta ciała przeraźliwie blada. A jednak stoi niewzruszony, w kąpielówkach, przed lustrem, w którym musi nieuchronnie widzieć swoje odbicie.

– Co tak stoisz? Przebieraj się!

– Co mam włożyć?

– No, chyba kostium kąpielowy.

Przywiozła ze sobą tylko bikini oraz tiulowe poncho, bardzo eleganckie, doskonale na basen w hotelu Paradiso, ale zupełnie nieodpowiednie na przechadzkę między szklarniami.

– Myślisz, że głupio w tym wyglądam?

– Gdzie tam głupio! Wyglądasz bardzo ładnie. Ale pospiesz się, bo stracimy cały ranek.

Kiedy wychodzą z pokoju, Begoña zastanawia się, co pomyślą na ich widok ludzie: wyglądają jak bogata kobieta, która wdała się w romans ze swoim ogrodnikiem. Chociaż pewnie nikt nie wybrałby podobnego hotelu, by spędzić w nim noc z ukochaną. Nie ma okazji się o tym przekonać, gdyż nikt im się nie przygląda. W korytarzu mijają parę emerytów, wystarczająco zaaferowanych dźwiganiem leżaków, toreb plażowych i parasola. Na ganku para z dziećmi przygotowuje się do tej samej przeprawy. Begoña zagląda jeszcze do baru po prowiant: dużą paczkę chipsów i wodę mineralną, Socorro tłumaczy, że droga na plażę nie zmieniła się od lat. Idą więc wzdłuż szosy, w rzędzie niezrażonych niczym amatorów plażowania. Kwadrans później widzą wreszcie Morze Śródziemne.

Plaża jest tak mała, że natychmiast wypełnia się po brzegi, a że jest daleko, ludzie przynoszą ze sobą rozkładane stoliki i przenośne lodówki, które stawiają pod parasolami. Fernando szybko rozkłada ich parasol; okazuje się, że łatwo go wbić w kamieniste podłoże, ale kiedy Begoña kładzie pod nim maty, kupione w ubiegłe wakacje na Majorce, wyskakują na nich bąble jak na smażących się naleśnikach.

– Co za koszmar! – mruczy, próbując wyjąć największe kamienie i stworzyć w miarę płaskie legowisko. – Jak ludzie mogą tu spędzać wakacje?

– Sama je tak spędzałaś, Begoña, zanim twój ojciec założył firmę budowlaną. – Fernando kładzie się na swojej macie i spogląda na żonę. – A może już tego nie pamiętasz?

Begoña niby pamięta, ale nie rozumie swoich własnych wspomnień.

Wie, że Fernando mówi prawdę. Kiedyś Socorro była jej najlepszą przyjaciółką, a ta kamienista plaża wydawała się jej tropikalnym rajem, rodzinne miasteczko rodziców było najwspanialszym miejscem na świecie, ale nie wie, do kogo należą te odczucia. Bo tamta dziewczynka też miała na imię Begoña González Uriz, a jednak nie zna jej, nie potrafi rozpoznać w niej siebie. Dopiero kiedy udaje się jej trochę zrelaksować, przyzwyczajają się do słońca, zaczyna traktować je jak błogosławieństwo, a nie jak wroga, powraca do niej dawne poczucie zadowolenia, przyjemności wcześniejszej niż gula, która ulokowała się w jej żołądku i rządziła nią przez wiele lat.

– Masz ochotę na chipsy? – Odgłos szeleszczącej torby też wydaje się znajomy, i ten smak, słony, chrupiący, który zawsze kojarzył się z morzem, niebieskim, czystym, przezroczystym, tym samym co teraz.

Tej nocy, kiedy umawiają się z rodziną na kolację w małej restauracyjce w porcie, Begoña mówi niewiele, za to bacznie przygląda się dzieciom.

– Ale dlaczego nie możemy być z wami? – pyta młodszy z rodzeństwa, Raúl. Ma dopiero siedem lat i chyba tęskni za mamą. – Tutaj nie pozwalają nam skakać na bombę do basenu.

– W naszym hotelu nie ma nawet basenu, więc sam widzisz.

– Wszystko mi jedno, wołałbym zostać z wami.

– Ja też. – Fer, jego starszy brat, niespodziewanie przypuszcza atak z drugiej flanki.

Następnego dnia, po weselu, zabierają ich ze sobą do hotelu Socorro. A tydzień później, przekręcając klucz w stacyjce, Fernando odwraca się i patrzy na swoich synów: opalonych, wypoczętych, trochę podrapanych i trochę smutnych.

– No i co? Który hotel bardziej wam się podobał? Ten, gdzie byliście z babcią, czy nasz?

– Nasz! – krzyczą zgodnym chórem.

Bo chociaż nie ma tu basenu, to motel jest na tyle mały, że zaprzyjaźnili się z innymi dziećmi, a droga na plażę między szklarniami wydała im się przygodą jak z filmu. Spodobało im się jedzenie kanapek na kamieniach i zabawa z nowymi przyjaciółmi na tarasie w nocy. Mogli przez całe dni latać w kąpielówkach i klapkach. Przywiązali się do psa Socorro. Uwielbiali, jak ona polewała ich szlauchem, kiedy upał był nie do wytrzymania, bo chociaż powiedziano im, że w tym roku z wakacji nici, to nie tylko pojechali na wakacje, ale w dodatku bawili się świetnie.

– Możemy tu przyjechać za rok? – pytają w końcu. – Możemy?

Fernando spogląda na żonę.

– Możemy?

– Mama zdecyduje.

Begoña wspomina i już potrafi zrozumieć swoje własne wspomnienia, nie zgadza się tylko wiek. Gdybym miała siedem lat, albo chociaż jednaście, myśli, wszystko byłoby takie proste.

– Jeszcze porozmawiamy...

Dzieci krzyczą i klaszczą na tylnym siedzeniu, bo znają ją bardzo dobrze, prawie tak dobrze jak jej mąż.

– Ale o co chodzi twojemu ojcu? Zupełnie nie rozumiem, co go ugryzło.

Marisa zachowuje dokument w katalogu książka, na pendrivie, znów w katalogu książka i znad klawiatury rozmawia z mężem.

– Nie wiem, ale powiedział, że jeśli nie zmieści się do samochodu, pojedzie autobusem – odpowiada Roberto.

Są w Cercedilli, spędzają lato w willi Araceli, starym kamiennym budynku, z niewielkim, dobrze utrzymanym ogrodem. Ojciec Roberta mieszka tu przez cały rok od czasu, gdy został wdowcem.

– Będzie nam bardzo ciasno, nie wiem, czy zmieścimy w bagażniku wszystkie manatki.

– Próbowałem go przekonać, ale wiesz, jaki jest. Kiedy się uprze, nie ma na niego siły.

Ángel słyszy ich rozmowę z ogrodu. Wie, że ani syn, ani synowa go nie rozumieją, że uznają jego upór za objaw starczej demencji, zapowiedź jakiejś katastrofy, podobnej do raka, który zabrał Araceli, a przedtem wycieńczył ją psychicznie i fizycznie, ale nie ustępuje. Cercedillę dzieli od lotniska Barajas około siedemdziesięciu kilometrów, samochód syna nie jest zbyt duży, a w bagażniku rzeczywiście może zabraknąć miejsca na walizki wnuczki, niewykluczone, że w drodze powrotnej trzeba będzie wieźć torby na kolanach, ale on ma swoje powody, żeby się upierać, powody, których ani syn, ani synowa nie mogą zrozumieć.

W przeciwieństwie do Laury. Dlatego tak ważne, żeby spotkała go w hali przylotów.

W lecie 1964 roku Ángel był bardzo młody, niewykształcony, odważny i nierozsądny.

– Masz – powiedział mu aptekarz z jego rodzinnej wsi, wsuwając mu w dłoń tysiąc pięćset peset. – Jeśli naprawdę kochasz moją córkę, weź te pieniądze, jedź ze swoim kuzynem do Szwajcarii i wróć, kiedy będziesz jej miał coś za zaoferowania. W przeciwnym wypadku możesz zapomnieć o sprawie. Nie pozwolę, by Carmencita wyszła za ciebie. Prędzej pošlę ją do klasztoru.

Ángel był synem, wnukiem i prawnukiem parobków bez ziemi, nie był jednak głupi. Zdawał sobie sprawę, że te pieniądze to pułapka, cena za jego ślub z córką jednego z najzamożniejszych posiadaczy ziemskich w okolicy, ale rozumiał też, że taka okazja może się nigdy nie powtórzyć. A przecież był pewny swoich uczuć i miłości swojej narzeczonej.

– Pracę na pewno znajdziesz, z tym nie będzie problemu. – Lucas podrapał się w głowę, kiedy zwierzył mu się ze swoich zamiarów. – Ale nie masz papierów, bez tego nie wjedziesz do Szwajcarii.

– Jeszcze zobaczymy.

Następnego dnia złożył wniosek o paszport i kupił bilet na pociąg za

oszczędności, jakie zostały mu z ostatniego winobrania. Dwudziestego ósmego sierpnia wsiadł do autobusu i ruszył do Madrytu, podczas gdy Carmencita płakała rzewnymi łzami. Dwudziestego dziewiątego znalazł się w pociągu, który przejechał przez pół Europy. Wsiadł w Genewie, w towarzystwie licznych rodaków wyposażonych w rozmaite dokumenty.

Ángel zdał sobie sprawę, że jest jedynym w całej kolejce Hiszpanem bez dokumentów. Wyciągnął szyję i zobaczył te same słowa: „Umowa o pracę” w różnych językach, ale się nie przestraszył. Cokolwiek się stanie, obiecał sobie, nie zamierzam wracać do domu z pustymi rękoma. Pewnym krokiem dotarł do okienka i wytrzymał spojrzenie starannie ubranego, profesjonalnie uprzejmego urzędnika imigracyjnego. Ten zadał mu pytanie, z którego nie zrozumiał nawet przecinków.

– Co on mówi? – zapytał Lucasa.

– Pyta, co masz zamiar robić w Szwajcarii.

– Powiedz, że przyjechałem w celach turystycznych.

Kuzyn spojrzał na niego tak, jakby kompletnie oszalał.

– Zgłupiałeś doszczętnie? Nigdy w to nie uwierzy. Wystarczy na ciebie spojrzeć.

– Powiedz mu tak, proszę.

Szwajcarski urzędnik zachował twarz pokerzysty. Zapytał, jak długo Ángel ma zamiar pozostać w kraju, usłyszał, że trzy miesiące, zapytał, ile ma przy sobie pieniędzy, ten odparł, że dwa tysiące peset. Na końcu urzędnik poprosił o paszport i zaczął wbijać do niego stempelki, po czym oddał go tym samym, pełnym sterylnej uprzejmości gestem.

– Co to znaczy? – Właściciel paszportu pokazał te dwa słowa: *faux touriste*, wstemplowane na wszystkich stronach dokumentu.

– Znaczy, że schrzaniłeś sprawę, Ángelito.

Potem musieli się rozstać. Lucas pomachał mu jeszcze na pożegnanie z hali dworca, a potem ruszył na swój peron, z którego odchodził pociąg do Lucerny, jego ostatecznego celu podróży, Ángel zaś dał się poprowadzić policjantowi do okienka, w którym wręczono mu bilet powrotny do Hiszpanii na trzecią klasę. Ale on nie chciał wracać do swojej wioski z pustymi rękami, więc wysiadł na pierwszej stacji za francuską granicą, w miejscowości, która, nigdy tego nie zapomni, nazywała się Bellegarde.

Przemierzył ją wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu dźwigów. Wiedział bowiem, że obecność dźwigów zawsze oznacza budowę, a w tamtych czasach na każdej budowie pełno było hiszpańskich robotników. Liczył na ich pomoc.

– Spójrz na tego, jego żona właśnie urodziła, na pewno potrzebuje forsy. Mówisz po francusku?

– Nie.

– Chodź ze mną, przetłumaczę.

Tamten Algierczyk zapytał go tylko – zgadzając się na dwa tysiące pięćset peset za podróż – czy umie prowadzić samochód.

– Jasne... – odparł pewny siebie Ángel robotnikowi z Lugo, który zgodził się służyć za tłumacza. – Nie miałem jeszcze dziewięciu lat, gdy ojciec nauczył mnie prowadzić traktor.

– Tak, ale... – zapytał Galisyjczyk – czy masz prawo jazdy?

– Ach, nie. Prawa jazdy nie mam...

– Tego mu nie powiemy.

Ostatecznie Ángel miał więcej szczęścia niż rozumu. Dwa kilometry przed przejściem granicznym, niewielkim i mało uczęszczanym, Algierczyk ustąpił mu miejsca za kierownicą. Miał nadzieję, że tablice rejestracyjne wozu, z przygranicznego miasteczka, odwiodą szwajcarskiego urzędnika straży granicznej od sprawdzenia dokumentów, a przynajmniej, że zadowolony się dokumentami pasażera. I tak się stało. Urzędnik pomachał tylko ręką i pozwolił im jechać. Kilka kilometrów dalej znów zamienili się miejscami i dotarli do umówionego miejsca, do Genewy. Tam Ángel zaczekał na pociąg, w który powinien był wsiąść poprzedniego dnia, a potem zamknął się w ubikacji. Tak dojechał do Lucerny. Złapał taksówkę i podał adres gospodarstwa, w którym pracował jego kuzyn.

– Ale co ty tu robisz? – Lucas był tak zdumiony, jakby zobaczył ducha. – Jak tu dotarłeś?

– Później ci powiem – odparł Ángel. – Zapłać, proszę, taksówkarzowi, nie mam już ani grosza.

– I po co opowiadasz mi to wszystko, dziadku?

Upłynął prawie rok, odkąd Laura zadała mu to pytanie w tym samym ogrodzie w willi Araceli, w którym słyszy dziś rozmowę swoich rodziców przez otwarte okno.

– Żebyś wiedziała, co to znaczy emigrować – odpowiada Ángel. – Żebyś się zastanowiła, czy jesteś gotowa zrobić to samo co ja, czy jesteś równie zdesperowana.

– Ale moja sytuacja nie ma nic wspólnego z twoją. – Wnuczka uśmiecha się do niego i spogląda tak, jakby wiedziała o wiele więcej o świecie.

– A ja sądzę, że ma. Ty też nie masz umowy o pracę.

– Dobrze, ale zamierzam się zgłosić do agencji pracy, która zajmuje się znajdowaniem zatrudnienia absolwentom uniwersytetów. Poza tym mówię po niemiecku. A tobie w końcu w Szwajcarii nie było tak źle.

– Nie?

Przez pierwsze trzy miesiące obracał rusztem, na którym piekły się kurczaki; było to jedyne zajęcie dla nielegalnego imigranta. Spał w pokoju kuzyna, na

materacu rozłożonym na podłodze, i musiał przemykać się do niego ukradkiem, o jedenastej w nocy, żeby nikt go nie zobaczył. Z tego samego powodu wstawał punkt pięta, trzy godziny przed rozpoczęciem pracy.

Po trzech miesiącach pobytu w Szwajcarii udał się do konsulatu, żeby spróbować zalegalizować pobyt. Tam poznał Araceli, urodzoną w małej miejscowości w Asturii, z której nie miała żadnych wspomnień, bo jej rodzice wyjechali, kiedy była niemowlęciem. Ángel spodobał się sekretarce konsula, znalazła mu lokum u hiszpańskiej wdowy, która nie pytała o dokumenty, i trochę lepiej płatną pracę w warsztacie samochodowym, którego właściciel zadowolony był zaświadczeniem od konsula potwierdzającym, że Ángel czeka na wydanie pozwolenia na pracę. Zanim uzyskał nowy paszport i prawo stałego pobytu, Ángel wysłał list do Carmencity, w którym wyjaśnił, że zakochał się w innej kobiecie, i prosił ją o wybaczenie. Nigdy nie otrzymał odpowiedzi. Potem, kiedy byli już z Araceli parą, zatrudnił się w fabryce samochodów, a że był zdolny, szybko awansował.

– Wzięliśmy ślub, urodził się twój ojciec, potem babcia zaszła w drugą ciążę, i w trzecim miesiącu nagle zachciało jej się wrócić do Hiszpanii.

– A ty nie chciałeś?

– Oczywiście, że nie. Zdobycie papierów kosztowało mnie tak wiele wysiłku. Chciałem zostać, było mi tam dobrze. Ty nie pamiętasz już Hiszpanii, Araceli, powtarzałem jej. Nie masz nawet pojęcia, jak tam jest... Ale ona się uparła: jeśli nie wrócimy, dzieci będą Szwajcarami, mówiła, a ona nie chce, żeby nimi były, i tak codziennie, płakała i wymiotowała, wymiotowała i płakała, co miałem robić? Wróciliśmy. I mówiąc prawdę, Lauro, poszło mi tu lepiej niż w Szwajcarii.

– Ale tylko dlatego, że wcześniej wyjechałeś – protestuje wnuczka, która zna tę część historii. – Gdybyś nie pracował wcześniej w tamtej fabryce, nie mógłbyś zostać jej przedstawicielem handlowym, nie zdołałbyś ich przekonać, żeby otworzyli fabrykę tutaj.

– To prawda. Ty natomiast mogłabyś zrobić studia podyplomowe, o których marzysz, i wyjechać później. Zapłacę ci za nie, wiesz dobrze.

– Nie ma mowy, dziadku. Mama powtarza mi to samo, że zapłaci mi z pieniędzy, które dostała jako odszkodowanie, kiedy ją wyrzucili z pracy, i bardzo wam dziękuję, ale w tej chwili to dla mnie zbyt duża odpowiedzialność. Jeśli sytuacja się nie poprawi, co będzie z Carlosem, który jeszcze studiuje? A moi kuzyni? Wyobraź sobie, że ciotka Teresa straci pracę, albo jej mąż, albo mój tata. To nieuczciwe, żebyście wydawali tyle pieniędzy na mnie. Lepiej spokojnie poczekać, zobaczyć, co będzie. Ja na razie wyjeżdżam do Niemiec. Mam kilku znajomych, którzy znaleźli tam pracę. Postaram się zaoszczędzić, ile się da. Nie rób takiej żalostnej miny, dziadku.

Ángel nie może nic na to poradzić.

Laura ma dwadzieścia trzy lata, tytuł magistra biologii molekularnej i dyplom z wyróżnieniem.

Ale jej dziadek wie, że we Frankfurcie nie będzie szczęśliwa.

Z początku, kiedy dzwoni raz na tydzień, żeby opowiedzieć o swoich problemach, jest spokojny.

– Rozmawialiśmy z Laurą przez Skype'a – relacjonował mu syn takim tonem, jakby Ángel wiedział, co to takiego. – Jest całkiem zadowolona. Narzeka wprawdzie, że jest bardzo trudno, że nie tak sobie wszystko wyobrażała, że mieszka w pokoju, którego nie lubi, a nie stać jej na nic lepszego.

Ángel nie ma pojęcia, co to jest Skype, ale wie, co czuje Laura, i na razie nie martwi się o nią zbyt.

– Laura znów dzwoniła – mówi Roberto – chociaż rozmawialiśmy przedwczoraj. Jest w dobrej formie. Znalazła dwie prace, jedną rano, drugą wieczorem. Nie płacą jej zbyt wiele, ale zdawało mi się, że miewa się lepiej.

Niedobrze, myśli Ángel, ale nie mówi tego głośno. Niedobrze, że ciągle dzwoni, niedobrze, że przekazuje dobre wiadomości. Z tego powodu trzeci etap nie jest dla niego zaskoczeniem.

– A co u Laury? – Tym razem to on musi zapytać Roberta, gdyż temat wnuczki przestaje pojawiać się w rozmowach. – Mieliście od niej jakieś wiadomości?

– Nie bardzo – przyznaje Roberto. – Teraz telefonuje bardzo rzadko, o wiele rzadziej niż na początku.

– Sama nie wiem... – wtrąca synowa, która nigdy nie uważała, że to dobra decyzja. – Skarżyła się, że bardzo za nami tęskni, że brakuje jej słońca, że często robi się jej smutno.

– Ale dobrze sobie radzi, prawda?

– Tak – potakuje Marisa bez przekonania. – Przynajmniej tak mówi.

– No dobrze, jeśli któregoś dnia napomknie o tym, że chce wracać, przekonajcie ją, żeby wracała, niech nie waha się ani chwili, my też bardzo za nią tęsknimy.

– Ale co ty mówisz? – oburza się Roberto. – Teraz ma wracać? Teraz, kiedy znalazła pracę, jest zadowolona, ma nowych przyjaciół? Nie ma mowy, nie powiem jej tego.

– Posłuchaj mojej rady – upiera się Ángel.

I zachowuje dla siebie to, że nie wierzy ani w dwie prace, ani w nowych przyjaciół, ani tym bardziej w to, że jest zadowolona.

Dlatego kiedy Laura telefonuje z wiadomością, że znalazła tani przelot i wraca do domu trzydziestego pierwszego lipca, w samolocie pełnym turystów, dziadek upiera się, że wyjdzie po nią na lotnisko.

I dlatego kiedy go widzi, rzuca mu się na szyję, jeszcze zanim ucałuje matkę i uściska ojca.

Pierwszego sierpnia po południu Pepe Martínez znajduje wreszcie odpowiednią chwilę, żeby powiedzieć żonie o swoich problemach zdrowotnych.

Kiedy wraca z komisariatu, Diana jest sama. Siedzi na podłodze, na ganku, oparta plecami o elewację domu, którego zawsze tak bardzo pragnęli, a który teraz tak bardzo skomplikował im życie.

Diana płacze.

Nic nie mówi, nie skarży się, nie przeklina. Po prostu płacze.

Złodzieje wypalili pilnikiem dziurę w płocie, jeepem na wstecznym biegu stratowali żywopłot, przymocowali łańcuch do kraty kuchennego okna, wyrwali ją, a potem zbili szybę, żeby dostać się do środka.

– Mają państwo alarm? – pyta funkcjonariusz spisujący protokół.

– Tak.

– Z kamerami?

– Nie. Zwykły stary alarm, był już w tym domu, kiedy go kupowaliśmy i... – Pepe myśli głośno. – Żona uznała, że wystarczy nam wydatków.

– Prawdę mówiąc, pewnie by wiedzieli, jak go wyłączyć. Co zabrali?

Pepe wyjmuje z kieszeni kartkę i zaczyna recytować przedmioty z listy, którą sporządzili wspólnie. Telewizor. Ekspres do kawy na kapsułki. Elektroniczną wagę kuchenną. Dwie maszynki do golenia. Blender. Żelazko i grill elektryczny. Drukarkę. Dwa depilatory elektryczne. Miniwieżę.

– W sumie niewiele – podsumowuje na głos. – Wszystko razem, wyłączając może telewizor, jest warte mniej, niż zapłacimy za wymianę szyby i nowe kraty.

– Jasne, ale złodzieje o tym nie wiedzieli. Są państwo ubezpieczeni? – Pepe kiwa głową. – Bardzo dobrze. – I policjant podsuwa mu do podpisania protokół. – Musi go pan dołączyć do wniosku o odszkodowanie.

Dwadzieścia lat wcześniej odkryli przypadkiem to niezwykle miejsce w prowincji Alicante, przy granicy z Murcją. Nigdy wcześniej nie słyszeli nazwy tej niewielkiej malowniczej miejscowości, położonej u podnóża góry, ze wspaniałą plażą, ale od tamtej pory trzymają kciuki, żeby nikt nie wymówił przy nich tej nazwy, zdradzają ją tylko najbliższej rodzinie i przyjacielom: El Pilar de la Horadada, to tu spędzają każde lato, najpierw w niewielkim apartamencie, potem w wynajętym domu, a potem własnym: willi na uboczu, z daleka od gwaru wioski, ale dostatecznie blisko morza, by chodzić pieszo na plażę. Kiedy dowiadują się, że dom wystawiono na sprzedaż, nie mają najmniejszego zamiaru go kupować, oglądają z czystej ciekawości i są zachwyceni. Szczególnie Diana, więc nie zastanawiają się zbyt długo, bo w Hiszpanii w 2008 roku nikt specjalnie nie myśli. Potem nadchodzi kryzys: najpierw obniżają pensję Dianie, to samo spotyka później Pepegó, i kredyt zaciągnięty na ten dom staje się ciężarem, który każe im zrezygnować z wielu przyjemności, ale nie narzekają. Letnie wakacje są czasem szczęścia, a szczęściem jest dla nich ten dom, który właśnie okradziono.

W sumie nie ma się czym martwić, myśli Pepe, gdy wraca do domu z kopią doniesienia o przestępstwie. Trochę zawracania głowy, no tak, ale już znalazł szklarza, który obiecał wziąć wymiary nazajutrz rano i po południu wstawić nową szybę, znalazł też firmę, która wstawi nowe kraty najpóźniej w przyszłym tygodniu. Zakład ubezpieczeniowy ma prędko przysłać rzeczoznawcę i jeśli nie będzie żadnych problemów, mogą liczyć na szybką wypłatę odszkodowania. Wraca więc do domu w dobrym nastroju, wysiada z samochodu, siada na podłodze obok żony i opowiada o wszystkim, co załatwił. Dzieci tymczasem wyjmują z garażu meble.

– O nie! – wykrzykuje Mariana. – Zabrali też ten stolik na kółkach, z którego korzystaliśmy, żeby podawać do stołu.

– Skurwysyny – kwituje Jose, a potem zwraca się do rodziców: – Co z wami? Nie moglibyście usiąść na kanapie? Może byłoby wam trochę wygodniej, co?

– Nie chcę. – Diana nie przestaje płakać. – Nie mam ochoty siedzieć, nie mam ochoty stać, nie mam ochoty na nic. Chciałabym wrócić do Madrytu, tylko tego chcę, i żeby już był wrzesień... To niesprawiedliwe, cholernie niesprawiedliwe... Nie rozumiem. Po co kupiliśmy ten dom, wywaliliśmy na niego tyle kasy, a teraz nie jest wart nawet połowy tej kwoty, ten kredyt, comiesięczne raty, które są jak pętla na szyi, teraz jeszcze i to! I tak okradają nas banki! A na dodatek jeszcze zwykli włamywacze... Nie chcę tu być, nie chcę, żeby było lato, mam dość, jestem załamana, to niesprawiedliwe, wisienka na torcie po tym całym parszywym roku niepewności, zamkną przychodnię, a może nie zamkną, czy będę miała gdzie pracować, czy wypłacą mi pensję, a może tylko połowę, a może w ogóle nic, bo stracę pracę. Parszywy, gówniany rok, gówniana hipoteka, a teraz jeszcze to...

Diana nie patrzy na nikogo, zawiesza wzrok na jakimś bliżej niezidentyfikowanym fragmencie ogrodu, jakby w ogóle się nie przejmowała reakcją reszty rodziny na ten niespodziewany wybuch.

Jej dzieci są przerażone, nigdy wcześniej nie widziały matki w takim stanie. Jej wybuchy złości są inne: to zwykle krótkie krzyki, kiedy wszyscy wstają od stołu i nikt nie kwapi się, żeby sprzątnąć naczynia i włożyć je do zmywarki. Wtedy wrzeszczy: któregoś dnia coś z tym zrobię, pójdę sobie w świat bez słowa pożegnania, może wtedy coś zrozumiecie! Tak, do tego są przyzwyczajeni, wielokrotnie byli świadkami podobnych scen, wiedzą, że to szybko przejdzie, kwestia kilku minut, ale nigdy wcześniej nie widzieli Diany płaczącej w ten sposób, przynajmniej od śmierci jej ojca, chociaż to jest inny szloch, mniej w nim smutku, a więcej lęku.

Adela też jest poruszona, chociaż nie tak bardzo jak rodzice jej zięcia. Lepiej zna swoją córkę, pamięta jej burzliwy okres dojrzewania, tamte nawracające

sekwencje złości, powtarzane jak mantra „nic chcę i już”, które musiała znosić przez ładnych kilka lat. Wtedy przyczyny tych wybuchów były trywialne, teraz jest podobnie, ale niepokoi ją, że sama córka nie zdała sobie z tego sprawy, co świadczy o tym, że rzeczywiście ma za sobą ciężki rok i znalazła się na skraju załamania nerwowego.

Pepe za to jest bardzo spokojny. Jego rodzice, dzieci, teściowa spodziewaliby się raczej po nim tego wybuchu. To bardziej pasuje do niego niż do Diany. Zawsze był bardziej niecierpliwy, drażliwy, ale odkąd zaczął znów jeść truskawkowe bezy, nic na świecie nie jest w stanie wyprowadzić go z równowagi. Nawet to, co mówi teraz Diana.

– Sprzedajmy ten dom. Sprzedajmy go, spłaćmy kredyt, pieprzmy to wszystko.

Pepe wstaje, bierze żonę za rękę, prowadzi do domu, gdyż rozumie, że nadarzyła się właśnie okazja, na którą czekał od miesięcy.

– Chodź ze mną, muszę ci coś powiedzieć.

– Czyś ty kompletnie zwariował? Upadłeś na głowę? – Diana siedzi na krawędzi łóżka i patrzy na niego okrągłymi ze zdziwienia oczami.

– No, widocznie zwariowałem. – Pepe się uśmiecha. Siedzi na podłodze i opiera się o nogi żony.

Na początku nie słuchała go zbyt uważnie. Kiedy Pepe pyta, czy pamięta ten dzień, kiedy wybierali się do kina, a on zadzwonił koło południa, żeby powiedzieć, że wszystko, tylko nie Woody Allen, Diana prosi, żeby dał jej spokój, bo nie ma teraz nastroju na głupoty. On wyjaśnia, że to nie żadna głupota, że tego ranka odbierał w szpitalu wyniki i dowiedział się, że nie ma wcale raka jelita, co podejrzewano, tylko zwykłe zapalenie uchyłka.

– I nie powiedziałaś mi o wizycie u gastrologa ani o tomografii, ani o biopsji? Zrobiłeś to wszystko sam? Bez niczyjej pomocy? – Mąż kiwa głową w odpowiedzi na każde pytanie. Cieszy się, że żona wreszcie przestała płakać. – Ale dlaczego?

– Bo... – śmieje się – sama powiedziałaś, że mi odbiło. Poza tym ty przez cały czas się martwiłaś, co będzie z twoją przychodnią. Pamiętałem też, jak było ci trudno, kiedy umierał twój ojciec. Pomyślałem, że jeśli to rak, przyjdzie czas, by o tym porozmawiać.

– Nie rozumiem.

– W dodatku bałem się, że jeśli zacznę o tym mówić, okaże się na pewno, że to rak, więc postanowiłem milczeć.

– No tak, ale to przesąd. Coś jak ludzie, którzy denerwują się, kiedy ktoś rozsypie sól. – Nie kończy zdania, tylko patrzy na niego i coś sobie przypomina. – Jak ty.

– Właśnie. Dokładnie jak ja.

Diana milczy. Patrzy w okno, w sufit, na swoje kolana, w końcu na męża.

– Ale czy ty w ogóle wiesz, co zrobiłeś? – Diana się uśmiecha, chociaż jeszcze chwilę wcześniej wydawało się jej, że na zawsze utraciła tę zdolność. – Masz żonę lekarkę, mogłam ci pomóc, załatwić konsultację, wyjaśnić, uspokoić, dać leki, wspierać. Wiesz, że jesteś idiotą?

– A ty? – Pepe całuje ją w kolano, najpierw jedno, potem drugie. – Wiesz, że też jesteś skończoną idiotką?

– Ja? – Diana znów poważnieje. – Dlatego że nie zauważyłam, że coś ci jest? Nie potrafiłam postawić diagnozy?

– Nie, nie dlatego. Dlatego że załamałaś się z powodu jakiegoś cholernego telewizora, miksera i maszyny do golenia. Już chciałaś rzucać wszystko, wracać do Madrytu, wpadłaś w histerię. – Jego dłonie wędrują pod spódnicę żony. – Czy to nie gorszy idiotyzm od mojego?

– Nie sądzę. – Diana się nie odsuwa. – Bo rzeczywiście może zrobiłam aferę na wyrost, ale ty mogłeś już nie żyć.

– Właśnie. – Popycha ją delikatnie, kładzie na łóżku i sam kładzie się obok niej. – Ale żyję. I tylko to się liczy. Prawda?

Całując się, nie słyszą odgłosu silnika ani odjeżdżającego samochodu.

Trochę ponad godzinę później Jose parkuje samochód z powrotem na swoim miejscu.

Na pomysł wyprawy do miasteczka wpadła Adela. Kiedy Pepe zabrał Dianę do domu, spojrzała na zegarek, zobaczyła, że jest siódma, i podeszła do wnuka.

– Zawieź mnie do miasteczka, Jose.

– O tej porze? Po co?

– Bo zamierzam kupić twojej matce telewizor.

– Świetny pomysł. – Aurora od razu rozumie Adelę. – Wstawaj, Pepe, my też jedziemy.

– Jedziemy? – Jej mąż nie podchodzi do tego pomysłu z entuzjazmem. – Dokąd?

– Do miasteczka.

– Teraz? – W odpowiedzi rozsiada się jeszcze wygodniej w fotelu. – Niedawno przyjechaliśmy z Madrytu, mam dość samochodów.

– Posłuchaj, Pepe – mówi do niego tonem, jakim przemawia się do małego dziecka. – Nie wiem, czy zauważyłeś, ale okradli twojego syna. Nie mamy ekspresu do kawy, blendera i kilku innych rzeczy. I pojedziemy je teraz kupić, rozumiesz?

– Ale babciu... – Jose spogląda najpierw na jedną, potem na drugą babcie. – Nie ma takiej potrzeby. Dom jest ubezpieczony, wypłacą nam odszkodowanie.

– A kto robi jutro śniadanie? Może ubezpieczenie? – Aurora jest nieugięta. – Nie mam zamiaru się rujnować, twoi rodzice oddadzą mi na pewno pieniądze, ale

w tej chwili musimy rozwiązać problem, odkupić rzeczy, które skradziono, prawda? – A potem zwraca się do męża: – Ruszysz się wreszcie, Pepe? Umrzeć można z takim człowiekiem.

– Nie mów tak, babciu – broni go Mariana.

– Kiedy mam rację. Twój dziadek jest porządnym facetem, wiem o tym, ale jak się uprze, to nie ma mocnych.

Adela kupuje telewizor. Pepe i Aurora maszynkę do golenia, mikser, grill i ekspres do kawy. Kiedy wychodzą z centrum handlowego, Pablo sugeruje, żeby kupić jeszcze kilka kwiatów doniczkowych, które na pewno poprawią mamie humor. Jest gotów dołożyć się do zakupu, wyjmując więc z kieszeni dwa euro. Resztę dorzuca jego rodzeństwo.

Kiedy wracają do domu, nie znajdują rodziców ani w kuchni, ani w salonie, ani w ogrodzie, chociaż drugi samochód stoi zaparkowany na swoim miejscu. Wszyscy są zdziwieni, póki Mariana nie próbuje otworzyć drzwi do ich sypialni i stwierdza, że są zamknięte na klucz.

– No ładnie – burczy Pablo. – Mogłem nie wydawać tych dwóch euro.

Przed wejściem do baru wuja Andrés przegląda się w szybie i ogarniają go dwa sprzeczne uczucia o podobnej intensywności.

Oczywiście nie pierwszy raz znalazł się w podobnej sytuacji, ale nigdy nie widział tego ciała i tej twarzy odbitych w tej właśnie konkretnej szybie. Zawsze mu się wydawało, że kiedy nastanie wreszcie ten moment, będzie się nim rozkoszował jak ostatnim kęsem najsmaczniejszego deseru, jednak niedokładnie tak jest. Podoba mu się własny wizerunek, ale jednocześnie ogarnia go strach. Strach tak wielki, że przyćmiewa zadowolenie.

Gdyby decyzja należała do niego, nigdy nie zamieszkałby w tej dzielnicy, lecz propozycja pracownika opieki społecznej, który zlokalizował go w barze w Santiago de Compostela, gdzie pomagające mu stowarzyszenie znalazło mu pracę na lato, była zbyt kusząca.

– Mam ci do zaproponowania jedno z najlepszych mieszkań socjalnych w Madrycie, tyle ci powiem. Nie jest może bardzo duże, ale ma świetny rozkład. Idealne dla jednej osoby. Okna wychodzą na ulicę, czterdzieści pięć metrów, salon z wnęką kuchenną, sypialnia, łazienka i niewielki balkonik. Sam budynek ma tylko czternaście lat, ratusz postawił go w miejsce wyburzonego galeriowca, a potem chciał sprzedać funduszowi spekulacyjnemu, ale sąsiedzi się zmobilizowali, znaleźli fantastyczną adwokatkę, wygrała, nie pamiętam już, osiem czy dziewięć procesów, nazywa się Marita, kiedyś ci ją przedstawię. To ona dała mi cynk. Podobno ratusz na razie dał sobie spokój, ale sąsiedzi nie chcą, żeby którekolwiek z mieszkań stało puste, więc... No cóż, Andrés, masz wielkie szczęście.

– Wspaniale. – Andrés nigdy dotąd nie miał w życiu okazji przekonać się, co to znaczy szczęście, więc nie ma jeszcze odwagi się cieszyć. – A w jakiej dzielnicy?

– To najlepsze ze wszystkiego... – I zawiesza głos, by spotęgować efekt. – Uliczka odchodzi od ulicy Fuencarral, stacja metra Tribunal, pięć minut spacerkiem od ronda Bilbao, a dziesięć do Gran Vía, co ty na to?

Andrés nagle milknie. Asystent socjalny trzy razy wymawia jego imię, żeby się upewnić, że nic ich nie rozłączyło.

– Jesteś tam?

– Tak, tak, ja tylko... A w innej dzielnicy nic by się nie znalazło?

– Myślę... – Pracownik opieki społecznej zwleka z odpowiedzią. – Oczywiście, jeśli chcesz, mogę poszukać czegoś innego. – I Andrés rozumie, że jego rozmówca jest zirytowany, może nawet obrażony, gdyż interpretuje jego prośbę jako niezrozumiały kaprys. – Ale muszę być z tobą szczery. Jest nam coraz trudniej. Władze rzucają nam kłody pod nogi, obcinają dotacje, nie wiem, jak długo potrwa program, w którym pracuję. Nie zdziwię się wcale, jeśli zlikwidują go z dnia na dzień. Więc na twoim miejscu zastanowiłbym się dwa razy.

Nie możesz wciąż się chować, Andrés, to do niczego nie prowadzi, mówił

pierwszy psycholog.

Celem terapii jest to, żebyś wrócił do dawnego życia w swoim rodzinnym mieście, pojawiał się w tych samych miejscach, zachowywał się jak dawniej, żebyś pozostał sobą, szczęśliwszą wersją samego siebie, powtarzała druga psychołożka.

Twoje własne odbicie, które widzisz w lustrze, to jedyna prawda. I to samo zobaczą inni: zwykłego, normalnego chłopaka, dodawał psychiatra.

– Dobrze, biorę je.

– Świetnie. Jedyne problem w tym, że musisz podpisać umowę w przyszłym tygodniu. Mógłbyś przyjechać na dzień do Madrytu? Jeśli chcesz, daj mi swojego szefa, wszystko mu wytłumaczę.

Ale jego szefowe, Candi i Sole, para lesbijek i dobrych przyjaciółek przewodniczącego stowarzyszenia, nie tylko nie mają nic przeciwko temu, lecz w dodatku załatwiają mu darmową podróż do stolicy.

Wraca do Madrytu nocą, drzemiąc na łóżku w kabinie ciężarówki-chłodni. Handlujący rybami hurtownik, który obsługuje restaurację, jest skarbnikiem galisyjskiej federacji stowarzyszeń LGBT i przyjacielem Candi. Dwa razy w tygodniu jeździ do Madrytu i obiecuje, że Andrés będzie z powrotem przed upływem dwudziestu czterech godzin.

W ostatni poniedziałek sierpnia pogoda jest prawie jesienna, jakby samo słońce zmęczyło się tym ciągłym prażeniem albo zasłoniło oblicze woalką z gazy. W mieście jest znów pełno ludzi, gdyż od czasu, gdy zaczął się kryzys, nie pustoszeje już tak bardzo w sierpniu, a puste stoliki w ogródkach restauracji składają się na obraz łagodnej, nieokreślonej melancholii, który dobrze współgra z nastrojem Andrésa.

Mieszkanie bardzo mu się podoba, pierwszym przymiotnikiem, który przychodzi mu do głowy, jest „cudne”, ale nie ma odwagi wymówić go na głos. I przypomina sobie swoich psychologów, swojego psychiatrę, myśli o powracającym w ich rozmowach wątku normalności i wyjątkowości, instynktów i przyswojonych pojęć, o sinusoidzie wlotów i upadków towarzyszącej każdej tego typu przemianie. Udaje mu się przewyciężyć pragnienie, by do kogoś zadzwonić, ale nie potrafi się uspokoić. Kiedy spotykają się z adwokatką w biurze asystenta socjalnego, jest tak zdenerwowany, że raz po raz unosi wzrok znad umowy, by spojrzeć na nią ukradkiem. W końcu adwokatka pyta, czy się skądś znajdują. On odpowiada, że nie, ale bardzo mu kogoś przypomina.

Oczywiście, że ją zna, widywał ją wiele razy w barze w sobotnie wieczory, kiedy była jeszcze bardzo młoda i spotykała się tam z przyjaciółkami, śmiała się głośno i popijała drinki. Wtedy Andrés spędzał w tej dzielnicy prawie wszystkie weekendy, bo lepiej czuł się w domu wujków niż w swoim własnym. I nie chodziło tylko o to, że nie przepadał za swoimi rodzicami i nie cierpiał brata, tak naprawdę nie lubił samego siebie i nie przepadał za nikim, z wyjątkiem swojej kuzynki Lucii.

Dlatego tu przyjeżdżał, żeby być z nią, i dlatego chciałby mieszkać w innej dzielnicy, nie w tej, gdzie musi spędzić dziś dzień. Jest o wpół do pierwszej i nie ma tu nic do roboty – Nie może wejść do nowego mieszkania, dopóki ratusz nie odeśle mu podpisanej umowy, a ciężarówka, która zawiezie go z powrotem do Galisji, ma przyjechać po niego dopiero o czwartej.

Chciałby odwiedzić matkę, ale nie ma odwagi – wciąż nie czuje się na siłach, żeby wrócić do domu w Pozuelo, który opuścił trzy lata temu. Poza tym może wcale już tam nie mieszka. Kiedy dowiedział się z prasy, że wsadzili ojca do więzienia, napisał do niej list, lecz nie doczekał się odpowiedzi, więc postanawia pójść na spacer i nogi same niosą go do baru wujka Pascuala.

Kiedy stoi przed jego witryną, ogarnia go chęć, by natychmiast zatrzymać taksówkę, uciec do metra albo ruszyć na piechotę do parku Retiro, wszystko jedno dokąd, byle znaleźć się jak najdalej od miejsca, gdzie ktoś mógłby rozpoznać w nim – młodym, całkiem przystojnym facecie, niezbyt wysokim, ale dobrze zbudowanym, pomimo długich palców, które każą przypuszczać, że jest albo przynajmniej był kiedyś pianistą – małą dziewczynkę, towarzyszkę dziecięcych zabaw.

Ma zamiar uciec, ale wciąż tu stoi, jakby stopy wrosły mu w ziemię, patrząc na swoje odbicie, dopóki nie poczuje na języku smaku gorzkiej, zimnej wilgoci.

Upłynęły już cztery miesiące, odkąd zdecydował się na ostatni etap swojej przemiany, ale dotąd nie rozumie, dlaczego płakał tak bardzo, kiedy ściął włosy. Ta gęsta czupryna ze złotymi refleksami, której tak bardzo zazdrościły mu szkolne koleżanki, chociaż może mówiły tak tylko po to, by powiedzieć mu coś miłego, tak naprawdę nigdy do niego nie należała, podobnie jak inne fizyczne cechy, ale zawsze miał długie włosy, nigdy nie odważył się ściąć ich na krótko, aż do tamtego dnia. Zadanie wydawało się proste, lecz kiedy spróbował ostrzyć się sam, ręce odmówiły mu posłuszeństwa, jakby protestowały, jakby nie chciały brać w tym udziału. Efekt był tak żalospny, że jeszcze tego samego dnia umówił się do fryzjera i wybrał zakład, w którym strzygła się ciotka Mari i który widzi teraz, stojąc przed barem. Podjął taką decyzję, bo zawsze lubił tę fryzjerkę, nigdy nie zadawała wścibskich pytań i nie wtrącała się w nie swoje sprawy. Samo wejście do fryzjera napawało go lękiem, chociaż Amalia nigdy go nie zawiodła i potraktowała go równie dobrze jak dawniej. Kiedy pierwsze kosmyki zaczęły spadać na podłogę, poczuł się tak, jakby stanął na skraju przepaści, przepaści bez kształtu i dna. Nigdy, nawet przed operacją, nie czuł takiego strachu.

Być może dlatego ten lęk powraca teraz, kiedy znalazł się w dzielnicy kojarzącej mu się z tamtym życiem, tamtą historią, niewyobrażalnym cierpieniem, które jak sądził, ma już za sobą. Ale po chwili to uczucie mija. Andrés przypomina sobie słowa swoich psychologów, swojego psychiatry, i rozumie, że los dał mu szansę. Droga była długa, ale cykl musi się zamknąć, nie może wiecznie pozostać

niezakończony. Z tego powodu poprawia sobie kołnierzyk koszuli, wsuwa lewą rękę do kieszeni, a prawą naciska na klamkę i wchodzi do baru.

Widok, który ukazuje się jego oczom, jest zupełnie inny, niż się spodziewał. Jest poniedziałek, wielu sąsiadów nie wróciło jeszcze z wakacji, przy barze nie ma prawie nikogo, w jadalni grupka dzieci je obiad. Andrés nie ma pojęcia, co to za dzieci, ale rozpoznaje dwie krzątające się przy nich kobiety, które nalewają im wody, wycierają buzie serwetkami; one też piły drinki z adwokatką piętnaście lat temu.

Nie zwracają na niego uwagi, on nie rozpoznaje nikogo poza nimi. Podchodzi do baru, zamawia piwo u starszego kelnera, do którego nie ma odwagi zwrócić się po imieniu, kiedy z kuchni wychodzi jego brat Cristóbal. Na jego widok Andrés zakrywa sobie dłonią policzki, jak za każdym razem, gdy tęskni za brodą, która nie zaczęła jeszcze rosnąć, i spuszcza głowę.

– Ktoś już przyjął zamówienie? – pyta Cristóbal, wcale na niego nie patrząc, ale kiedy Braulio stawia na kontuarze piwo, odpowiada sam sobie. – Rozumiem.

Potem stawia przed nim tapas i znów znika w kuchni, Andrés zaś ma wrażenie, że jego serce wybuchnie, że zaraz się rozsypie na drobne kupki śrubek i kółek zębatach. Odwraca się plecami do baru, opierając na nim łokcie, znów wspomina swoich psychologów i psychiatrę: według nich to, co właśnie zrobił, jest wielkim osiągnięciem, ale on postrzega to inaczej. Pierwszy łyk piwa smakuje raczej wilgocią niż świeżością, ma sfermentowany, zimny, śmierdzący posmak. Odstawia szklankę na kontuar, wyciąga z kieszeni drobne i wtedy dostrzega Lucię wchodzącą do baru ojca.

Kuzynka zatrzymuje się na chwilę, obrzuca go baczny spojrzeniem, robi kilka kroków naprzód, znów przystaje. Wtedy go rozpoznaje i biegnie mu na powitanie.

– Świetnie wyglądasz. – Obejmuje go, całuje w policzek, potem w drugi. I nie wypuszcza go z objęć, kiedy odchyła głowę do tyłu, żeby przyjrzeć mu się jeszcze uważniej. – To tak jakby... Nie wiem, jak to wytłumaczyć, jakbyś wreszcie był sobą, jakbyś nie był sobą wcześniej... – I przymyka oczy, po czym otwiera je znowu i wybucha śmiechem. – To naprawdę ty! Nareszcie! Nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę, że cię widzę! Dlaczego nie uprzedziłeś, że do nas zajrzesz?

– Bo... – Odwzajemnia jej uścisk. Czuje, że szczypią go oczy, i nie może wykrztusić z siebie nic więcej.

– Nie szkodzi – mówi Lucía, jego ukochana kuzynka, zdolna zaakceptować tę dziwną dziewczynkę, która nigdy nie miała zostać kobietą, dla niej nic nie ma znaczenia, bo nadal będzie go kochać. – Wszystko jedno, najważniejsze, że znowu się zjawiłeś. – I nachyla się nad twarzą kuzyna, żeby zadać mu jedyne sensowne pytanie: – Jak się teraz nazywasz? Andrés?

On kiwa głową, uśmiecha się i przez chwilę czuje się pewny siebie, silny,

niemal szczęśliwy.

Zza kontuaru jego brat Cristóbal obserwuje wszystko z rozdziawioną gębą.

III. PÓŹNIEJ

Rodzina Martínez-Salgado wraca z wakacji w tej samej chwili co większość madryckich rodzin. Dzielnica powoli się zapełnia.

Tu się z nimi żegnamy, w dzielnicy Madrytu, w której mieszkają, ale która nie różni się zbyt wiele od innych dzielnic wielu hiszpańskich miast, ze swoimi wąskimi i szerokimi ulicami, eleganckimi budynkami i tymi skromnymi, ze swoimi placami, drzewami, zaułkami, swoimi bohaterami, świętymi i swoim kryzysem na barkach.

Tutaj pożegnamy jej mieszkańców: całe rodziny, pary mające psy i pary bez psów, pary z dziećmi, pary bezdzietne, ludzi samotnych, młodych, dojrzałych, starszych, cudzoziemców i Hiszpanów, którzy czasem są szczęśliwi, a czasem nie, najczęściej jednak bywają szczęśliwi od czasu do czasu, ale tym razem pod słońcem kolejnego września.

Dorośli, którzy mają pracę, wracają do niej, dzieciom kończą się szkolne wakacje, a życie toczy się dalej.

Dla niektórych nie zmienia się wiele.

Dla Guanyin i Zhanga tak, bo mają syna Quiao, który wydaje im się najcudowniejszym dzieckiem na świecie, chociaż znów czeka ich przeprowadzka, tym razem do mieszkania dla małżeństw z dziećmi, należącego oczywiście do ich wspólnego szefa.

Amalia nie musi wyrzucać swojej uczennicy, ale wciąż nie stać jej na podwyższenie pensji, chociaż niektóre dawne klientki znów do niej wracają.

Diana Salgado uczy się żyć z niepewną sytuacją ośrodka zdrowia, ale przestaje farbować włosy w domu i jest o wiele szczęśliwsza. Za kilka miesięcy, kiedy sąd wyższej instancji sparaliżuje prywatyzację, uczci to blond pasemkami, chociaż wie, że wspólnota autonomiczna Madrytu z pewnością odwoła się od wyroku.

Pascual nadal stoi za kontuarem, ale nie będzie w stanie zaoszczędzić na drugiej pensji. Kiedy jego siostrzeniec Cristóbal oświadcza mu, że odchodzi, z dnia na dzień i nie wyjaśniając powodów, Lucía poleca mu fantastycznego chłopaka, młodego, pracowitego, który wrócił do Madrytu i potrzebuje pracy. Pascual poznaje go od razu, ale nie daje tego po sobie poznać, dopóki chłopak sam nie opowie mu, że był kiedyś jego siostrzenicą Andream.

Siedziba Agencji Nieruchomości Prisma mieści się nadal w tym samym budynku, zmieniają się tylko niektórzy jej pracownicy.

Dla Sebastiána Alonso nadchodzi okres poważnych zmian. Śmierć jego matki ma słodko-gorzki smak, bo kładzie kres długiemu cierpieniu. Mieszkanie z ojcem, pogrążonym w wielkim smutku, niezdolnym cieszyć się drobnymi przyjemnościami, których musiał się wyrzekać przez dwadzieścia lat, żeby opiekować się chorą żoną dwadzieścia cztery godziny na dobę, staje się trudne do zniesienia. Venancio w dodatku nie lubi Sofii, a Sebas z każdym dniem kocha ją

coraz bardziej. Ona stara się, żeby wszystko nie potoczyło się za szybko, przede wszystkim cieszy się z nowej oferty pracy, którą otrzymuje Sebas od Tomasa: stanowisko o dumnie brzmiącej nazwie w dużej firmie zajmującej się produkcją glazury.

Sebastián od samego początku zdaje sobie sprawę, że przyjął pracę sprzedawcy, chociaż umie rysować plany, ale pensja jest znacznie lepsza niż w stróżówce, może sam decydować, w jakim ubraniu zjawi się w pracy, a poza tym nie musi oglądać codziennie mężczyzny, który pograżył w długach jego własną firmę. Już to wystarcza mu do szczęścia, chociaż w gorszych momentach wspomina propozycję, którą złożyła mu Ana, kiedy jej siostra przeprowadziła się na wieś.

Remont domu Charo musi jeszcze trochę poczekać. Ale teraz, kiedy spaceruje wieczorami na szczyt wzgórza, Charo nie widzi dziur po wykarczowanych drzewach ani rozkopanej ziemi, lecz gaje oliwne, winnice i obsiane pola. W ogrodzie warzywnym pomidory obrodziły tak bardzo, że sama zaczyna je przetwarzać w swojej własnej kuchni. Z początku rozdaje przetwory znajomym, ale wszyscy chwalą je tak bardzo, że po kilku miesiącach, z pomocą córki Rosy, odważa się wystawiać co weekend stoisko na targu na obrzeżach Madrytu i w sobotę przed południem sprzedaje całe zapasy przecieru z pomidorów.

W wolnych chwilach, nie mówiąc o tym nikomu, robi małe rozpoznanie rynku, by zastanowić się nad eksportem swoich produktów do Europy. Kiedy się jej to uda, Pascual pojedzie z nią do Stuttgartu, gdzie odwiedzą grób ojca.

Przed kolejną firmową kolacją bożonarodzeniową namiętna żądza, jaka połączyła agenta Ferreiro i inspektorkę Fernández, ulatnia się nagle jak powietrze z przedziurawionego balonika. Żadne z nich nie wie, dlaczego tak się stało, i żadne z nich specjalnie się tym nie przejmuje, gdyż znudzili się sobą jednocześnie. Ona zaczyna flirtować z agentami w garniturach od Armaniego, on z kolei przyłapuje się od czasu do czasu na tym, że rozmyśla o Auxi, zastanawiając się nad tym, że byłaby dla niego równie świetną parą, co Raquel dla jego brata, chociaż stara się cenzurować podobne myśli.

Marisa kończy swoją książkę *23 lutego, historia pewnej miłości* na jesieni. Pierwszym czytelnikiem jest Roberto, który nie tylko zachęca ją do wydania, ale nawet umawia z kilkoma wydawcami powiązanymi z gazetą, w której sam pracuje. Rozmowa zawsze przebiega tak samo i kończy się zawsze tym samym, zarazem śmiesznym i przerażającym finałem. Wszyscy wydawcy uznają, że to świetna książka: mocna, wciągająca, napisana wartkim stylem, znakomita powieść. Ale to nie fikcja, oponuje autorka, to reportaż, opisałam coś, co naprawdę przeżyliśmy z mężem 23 lutego 1981 roku.

W tym momencie każdy kolejny szef wydawnictwa odwraca wzrok, zaczyna przekładać papiery na biurku, patrzy w wyświetlacz telefonu i wyznaje, że jako

fikcję chętnie by opublikował, ale w innym przypadku, z nazwiskami, które się w książce pojawiają, kwestiami wypowiedzianymi przez te postacie, przy obecnym układzie sił politycznych byłby to skandal, zbyt duże ryzyko, wydawnictwo zostałoby pozwane do sądu.

Potem Marisa wstaje, podnosi swój manuskrypt i skreśla następne nazwisko na kurczącej się z dnia na dzień liście. Ale się nie zraża, bo przecież jest Hiszpanką, zna dobrze swój kraj i jest coraz bardziej pewna, że napisała dobrą książkę. Być może dlatego jej matka tym razem postanawia poczekać do grudnia z ubieraniem choinki.

Toni, mistrz operacji na ułamkach dziesiętnych, zapisuje się na początku roku szkolnego do szkoły. To kurs korespondencyjny dla dorosłych, który pozwoli mu uzyskać tytuł absolwenta szkoły średniej w zaledwie rok i nie musi rezygnować z pracy. I musi za to zapłacić swoją cenę.

Kiedy zaczyna zamykać się co noc w swoim pokoju, żeby uczyć się do kolejnych egzaminów, narzeczona szybko się nudzi, a absztyfikantów jej nie brakuje. Toni zamierza się poddać, ale Jaime, który umawia się z nim od czasu do czasu, by pomóc w matematyce, mówi, że nie ma mowy, i ostrzega, że nie da mu spokoju, dopóki nie zrobi matury.

Czasem towarzyszy mu Adriana, która przeprowadziła się do Jaimego trzy miesiące po tym, jak się poznali.

Toni patrzy na nią i myśli, że jest bardzo ładna. Pomaga mu to zapomnieć o Lorenie.

Begoña pracuje w sklepie ogrodniczym. Ma lepsze i gorsze dni. W te pierwsze wprowadza dobre, korzystne zmiany, które pomagają rozsądnie przeorganizować przestrzeń. W te drugie wyżywa się na palmach. Podnosi doniczki, przestawia je, potem z powrotem ustawia na poprzednim miejscu, to ją uspokaja. Ale najlepiej bawi się w piątki po południu i w soboty, kiedy nie może ani na chwilę odejść od kasy, bo ciągle napływają nowi klienci, którzy płacą, płacą i płacą.

Pepe Martínez, który potrafi dotrzymywać obietnic, chodzi na stadion Calderón z synem Pablem od początku ligowych rozgrywek. Na pierwszym meczu Pablo jest bardzo szczęśliwy. Na drugim jeszcze bardziej. Podczas trzeciego nie mówi jednak zbyt wiele, a Pepe rozumie, że tęskni za swoimi przyjaciółmi, którzy kibicują Atletico w barze Pascuala, chociaż Felipe jest kibicem Realu. Pablo tęskni za ich przekomarzaniem się, wspólnym komentowaniem, za Albą i Felipe. Tak często sprawdza whatsapp, że nie patrzy nawet na boisko. W końcu Pepe pyta, czy miałby coś przeciwko temu, żeby na kolejny mecz poszedł bez niego, a jego syn odpowiada, że absolutnie nie.

Pepe zapewnia, że jeśli znów będzie chciał pójść z nim na stadion, wystarczy, że mu o tym powie.

Ale do końca rozgrywek ligowych Pablo go o to nie prosi.

María Gracia żałuje, że obcięła włosy. Nadal tyra jak wół, sprząta domy i je śniadania w tym samym barze obok stacji metra, ale nie ma już specjalnej ochoty, żeby dalej żyć.

Laura natomiast przezwyciężyła załamanie. W końcu zdecydowała się na wymarzone studia podyplomowe, które opłacił jej dziadek. Uparł się, że nie pozwoli tego zrobić nikomu innemu. Nie czuje się winna, próbowała zrobić coś innego, spędziła prawie rok we Frankfurcie, zmywała naczynia, pracowała jako kelnerka i na stacji benzynowej ze świeżo zdobytym dyplomem biologii molekularnej. Teraz rozumie, że się pomyliła, że wyjazd był błędem, że nie miała ani przygotowania, ani sił, żeby to wszystko znieść, ale wyznacza sobie pokutę: uczy się non stop i nie rozmawia o tym z nikim.

Ángel oczywiście wie o tym wszystkim, ale nic nie mówi. Nie potrzebuje słów, żeby porozumieć się z wnuczką.

Adela i Jose też ich nie potrzebują, zwłaszcza odkąd zaczęli grać w parze w *Niech spleonie Troja*.

W zimie wygrywają mistrzostwa Hiszpanii, które odbywają się w Walencji. Tam Hektor poznaje Ifigenię, która nie gra wprawdzie zbyt dobrze, ale jest urocza. Andromacha czuje, że jej panowanie nie potrwa długo, lecz cieszy się z tego tak bardzo, jak kiedyś Achilles ze swojej porażki.

Luna zmieniła szkołę, a Sofia wspomina ją codziennie. Na każdej przerwie zastanawia się, gdzie teraz jest, czego się uczy, co opowiada jej babcia o tej okropnej nauczycielce, która nękała ją przez cały zeszły rok.

Sofía próbowała o niej zapomnieć, robiła wszystko, żeby nie czuć się winna. Jednak tak właśnie się czuje.

Jeszcze gorsze poczucie winy dręczy Maritę.

Wszystkie sukcesy stowarzyszenia Sąsiedzi przeciw Kryzysowi, które w dużej mierze są jej zasługą, nie potrafią jej osłodzić całkowitej klęski, jaką poniosła w sprawie Fátimy i Mohameda. Ich umowa jest jedną z najbardziej niekorzystnych dla klienta, jaką widziała w całej swojej karierze, ale to nie jedyny problem. Bank, który udzielił im pożyczki, upadł, bank, który go przejął, nie chce odpowiadać za tamte długi, dyrektor oddziału nie żyje, a rodzice Ahmeda przegapili okazję, żeby przyłączyć się do procesu zbiorowego, który toczy się od dwóch lat.

Marita umawia się wielokrotnie z pełnomocnikami, którzy reprezentują klientów w podobnej sytuacji, rozmawia z członkami stowarzyszenia broniącego praw klientów banków, tłumaczy, że reprezentuje imigranta z Maroka, który praktycznie jest analfabetą, nie czyta gazet, nie wiedział, co powinien zrobić, ale nie pozwalają jej przyłączyć się do procesu zbiorowego, bo upłynęły już wszystkie terminy, nie chcą też zaczynać procesu od nowa, z włączeniem w sprawę jej

klienta, gdyż opóźniłoby to wyrok. Nie ma innego wyjścia, jak spróbować zrobić coś w pojedynkę, ale chociaż prosi o przysługę wszystkich możliwych znajomych, nie udaje się jej osiągnąć zbyt wiele. Pół Hiszpanii ma podobny problem, Mario Antonio, musisz uzbroić się w cierpliwość, bo to jeszcze długo potrwa.

Tymczasem rodzice Ahmeda co miesiąc spłacają kredyt, żeby nie wydalono ich z kraju. Zostają natomiast wyrzuceni z pokoi opuszczonego hotelu, gdzie ostatnio mieszkali, i chociaż stowarzyszenie szuka im tymczasowego lokum w trzech różnych mieszkaniach, a potem zajmują nowy pustostan, ich nowe mieszkanie jest o wiele gorsze od poprzedniego: jeden wspólny, bardzo skromny pokój.

Marita czuje się tak bardzo winna, że zwraca się nawet o pomoc do syna Edu, przyjaciela Ahmeda. Prosi, żeby mu przekazał, że sprawa ich rodziców nie daje jej spać po nocach, że nie spocznie, dopóki nie znajdzie jakiegoś rozwiązania.

Syn mówi, że spróbuje z nim porozmawiać, ale ostatnio Ahmed zrobił się jakiś dziwny i nieczęsto go widuje. Kilka miesięcy temu zaczął chodzić z rodzicami do meczetu i spędza tam coraz więcej czasu. I każdego wieczoru przesiaduje w kawiarenkach internetowych.

Tam, po wielogodzinnych poszukiwaniach, Ahmed znajduje wreszcie organizację rekrutującą ochotników na wojnę w Syrii, bo nie chce dłużej być zmuszony całować chleb.

Ale to, chociaż ma związek z naszą opowieścią, to już zupełnie inna historia.

